WLB
in
Łódź

- Kim był i co głosił Jezus? — str. 4
- Historia więziennego tramwaju — str. 5
- Bazar na Górniaku w wolną sobotę — str. 6
- Jubileusz Wandy Karczewskiej — str. 8
- Życie człowieka uczciwego — str. 13

Nr Indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 2 (1502) ROK XXX 10 STYCZNIA 1987 ROKU CENA 20 ZŁ

Foto: Witold Werner

W Pabianicach codziennie mężczyzna w okularach przemierza ulice a teraz przysłuchiwał się z uwagą rozmowie...

Wizytówka z baranami

RYSZARD BINKOWSKI

Pabianice dzielą się podobno na Stare Miasto i na tych „zza rzeki". Ale ci ostatni twierdzą z kolei, że to Stare Miasto jest „zza rzeki", no i w wyniku kontrowersji nie ma kto uregulować Dobrzynki. Podczas roztopów wody rzeki wlewają się do kanałów, zamiast odwrotnie, dzięki czemu między Bugajem a „Pamotexem" Dobrzynka jest jeszcze względnie czysta. Dopiero za „Polfą" nad rzeką wykwita feeria barw i zapachów od których mąci się w oczach i w głowie.

Ja należę chyba do tych „zza rzeki". Ale południowo-zachodniej dzielnicy miasta, gdzie mieszkam od kilkunastu lat, zwanej „Piaskami", nie zagraża przemysł ani wylew rzeki. Jest tutaj spokojnie, zielono, słychać śpiew ptaków, tylko czasem tę oazę zieleni niszczą awaryjne lub nieprzemyślane wykopy.

W DZIELNICY „PIASKI"

brakuje jednej szkoły podstawowej. Szkoła nr 14 przy ul. Ostatniej wymaga remontu i jest tak przepełniona, że lekcje trwają tam do szóstej wieczorem. A nauczyciele z I LO narzekają na upływ ciepła przez nieszczelne ramy okienne i domagają się przyłączenia szkoły do miejskiego ciepłociągu. Natomiast mieszkańcy bloków przy ul. Ostatniej złorzeczą, że marzli całymi tygodniami, ponieważ Pabianicka Spółdzielnia Mieszkaniowa na początku sezonu grzewczego zabrała się do wymiany grzejników panelowych na żeberkowe. Lekkie, estetyczne panele produkcji czeskiej, jeszcze nie skorodowane, od czternastu lat żadnej awarii, a teraz tony żeliwa w żeberkach. Spółdzielnia jest samofinansująca się, mówią złośliwcy, więc prowadzi oszczędności materiałowe...

A w Pabianicach brakuje ciepła, z konieczności w pierwszym rzędzie ogrzewa się mieszkania. Jedyny ratunek w rozbudowie ciepłowni przy ul. Konstantynowskiej.

Do szkoły nr 14 wstępowałem zaledwie kilka razy, i to bynajmniej nie w sprawach moich dzieci, bo uczyły się nieźle, więc cały splendor spływał zawsze na matkę, tylko w celu spełnienia obywatelskiego obowiązku, tj. oddania na kogoś głosu. Tego popołudnia dzięki inicjatywie Rady Miejskiej PRON miałem możność zobaczyć człowieka, którego sam wybierałem.

Ponieważ nigdy nie byłem prymusem, postanowiłem zająć miejsce w ostatniej ławie, aby swobodnie spisywać, tzn. notować swoje wrażenia ze spotkania, ale okazało się, że w świetlicy nie ma ławek. Z tyłu i pod oknami stały nakryte ceratą stoły, które okupował wyż demograficzny ze szkół ponadpodstawowych, stanowiący połowę zebranych. Z prawej rozmawiały ze sobą na ścianie wesołe warzywka w niemal naturalnych barwach, jak gdyby żywcem zbiegłe ze straganu. Pośrodku ciągnęły się rzędy nagich drewnianych krzeseł, przy czym dwa frontowe miały czerwone obicia z przeznaczeniem dla lepszych gości. Na lewo od zielonego stołu siedział protokolant, a w tle uśmiechały się lalki na półkach i pędził kolorowy pociąg z armatą na ostatniej platformie. Zasuwane drzwi wyciszały hałas na przerwach i utrudniały ucieczkę ze spotkania, gdyż ciężko się rozsuwały.

Ze względu na moją modną fryzurę a la Marek Walczewski zająłem miejsce pośród młodzieży, w pobliżu zaś przysiadł uśmiechnięty mężczyzna w okularach, który bez względu na pogodę przemierza każdego dnia ulice miasta, ocenia stan sanitarny i odwzajemnia ukłonem pozdrowienia mieszkańców, którzy go znają. Jest to prezydent Pabianic na emeryturze, który pragnie dziś wysłuchać z satysfakcją, jakie to bezproblemowe życie mają jego następcy.

Spotkanie otwiera mężczyzna w granatowej marynarce, o pogodnej twarzy i lekko falujących włosach — Zbigniew Dychto, przewodniczący Rady Miejskiej PRON, przedstawiając zebranym posła Władysława Janeckiego, który w ponad rok od uzyskania mandatu powinien podzielić się swymi doświadczeniami z pracy w Sejmie i ocenić realizację wniosków i postulatów z kampanii wyborczej.

POSEŁ JEST BRUNETEM W ŚREDNIM WIEKU

o śniadej cerze i pełnej powagi twarzy z szerokimi kośćmi policzkowymi. Ma na sobie ciemny garnitur ze złotym znaczkiem w klapie, ciemny krawat do jasnej koszuli, używa okularów w ciemnej oprawie i należy do sejmowej komisji przemysłu. Po zwiedzeniu licznych zakładów pracy w kraju wnioskuje, iż przemysł pabianicki znajduje się pośrodku, tzn. nie jest ani przestarzały, ani nowoczesny. Ale są zakłady pracujące w niezwykle ciężkich warunkach, toteż kieruje się dezyderaty do premiera, aby ludziom ulżyć.

Poseł Janecki opowiada o klubach, kołach i komisjach sejmowych. Sejm VIII kadencji uchwalił ponad dwieście aktów prawnych, a sejm IX kadencji w ciągu roku zaledwie 10—12 ustaw, co nie znaczy, iż posłowie narzekają na brak zajęć, ponieważ wiele poprzednich ustaw trzeba usprawniać i modyfikować. Wystarczy nadmienić, że w ciągu roku do kancelarii Sejmu wpłynęło 10 tys. skarg i wniosków, w tym około tysiąca anonimów.

Poseł stwierdza ład i porządek w Pabianicach, to najlepiej układa mu się współpraca

7

Był wrażliwy na ludzką niedolę. Z przeciwnikami postępował jak dżentelmen. Wydawał pisma nie tylko w Łodzi. Uciekł z niewoli.

Dwa rozdziały życia

TADEUSZ GICGIER

Leży przede mną maszynopis autobiograficznej powieści Tadeusza Sarneckiego pt. „Anna", której akcja rozgrywa się w czasie powstania warszawskiego.

KIM BYŁ TADEUSZ SARNECKI?

Był poetą, prozaikiem, publicystą, redaktorem i wydawcą, animatorem życia kulturalnego Łodzi w okresie międzywojennym. Mówi jego pierwsza żona Hildegarda:

— *Mąż był łodzianinem, synem śródmieścia Łodzi. Urodził się 9 maja 1911 roku przy ulicy Wólczańskiej. Ojciec jego był stolarzem, a matka pracowała przez pewien czas w fabryce Kunitzera jako szwaczka. Tadeusz opowiadał mi, że jego ojciec brał udział w roku 1905 w strajku łódzkim, matka zaś w strajku na terenie fabryki Kunitzera, którego robotnicy zabili. Po tym wypadku długo nie mogła znaleźć pracy.*

Szkołę powszechną ukończył w roku 1924, Miejskie Gimnazjum im. J. Piłsudskiego — w roku 1930. Potem studiował polonistykę na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1933 uzyskał dyplom magistra filologii polskiej, złożył dodatkowy egzamin z zakresu historii i literatury klasycznej To były podwaliny, na których opierał potem swą działalność publicystyczną.

Na czwartym roku studiów został asystentem. Pasjonował się szczególnym rodzajem badań, przeznaczonych dla aktorów i pracowników sceny. Badania te wiązały się z pracą serca przy występach scenicznych, recytacjach i deklamacjach. Robił wiele nagrań, napisał —

13

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 19. H-2.

Przegląd prasy

Noworoczne oraz bożonarodzeniowe wydania dzienników i czasopism przyniosły wiele interesujących artykułów, wywiadów, reportaży, opowiadań. Na mnie jednak największe wrażenie wywarł materiał opublikowany w przedświątecznej „KULTURZE" (nr 51). Jest to przemówienie Władysława Gomułki wygłoszone 16 kwietnia 1970 roku — czyli 8 miesięcy przed tragicznymi wydarzeniami grudniowymi na Wybrzeżu — na zakończenie wspólnego posiedzenia Rady Ministrów i kierowniczego aktywu partyjnego PZPR. Przedmiotem obrad były sytuacja ekonomiczna kraju oraz projekt nowego planu pięcioletniego.

W swoim wystąpieniu Władysław Gomułka (1905—1982) dokonał niezwykle krytycznej oceny ówczesnego stanu gospodarki narodowej i zapowiedział radykalne

ZMIANY ORGANIZACYJNE I KADROWE.

Przemówienie to nie było dotąd nigdy publikowane. Nie chciano prawdopodobnie niepokoić społeczeństwa. A później nowa ekipa przywódcza wolała chyba przemilczeć fakt, że były I sekretarz KC ostro skrytykował pracę aparatu państwowego i partyjnego.

Na wstępie Gomułka stwierdził, że sytuacja gospodarcza Polski nie poprawia się, lecz pogarsza. Pokazują to wyraźnie obliczenia zawarte w raporcie dla Biura Politycznego opracowanym przez Józefa Pajestkę. Po przedstawieniu danych porównawczych dotyczących produkcji czystej przemysłu, wzrostu środków produkcji, technicznego uzbrojenia pracy i wydajności, mówca dał następującą diagnozę: *„Te syntetyczne wskaźniki ilustrują stan gospodarki, wskazują one, że wszelkie nasze uchwały o intensyfikacji procesu produkcji stają się pustymi sloganami. To się kompletnie mija z życiem. (...) Podstawowa przyczyna tkwi w tym, że cały nasz aparat administracyjno-gospodarczy a także kierowniczy aparat partyjny tkwi po uszy w starych metodach pracy. Nie potrafiliśmy przełamać tej bariery psychologicznej i przestawić ludzi na nowy system myślenia. Na nowy sposób myślenia. Oni wszyscy nauczyli się różnych sloganów i nieraz uszy już bolą słuchać, kiedy je wygłaszają. (...) Jest u nas, towarzysze, dużo pustych sloganów w prasie, radiu i telewizji, a nie ma konkretności. Zresztą słyszeliśmy to dzisiaj tu także z ust niektórych towarzyszy ministrów".*

Następnie I sekretarz KC PZPR oskarżył rząd o ignorowanie poleceń kierownictwa partii oraz ukrywanie przed nim prawdziwego obrazu rzeczywistości. *„To czego ja domagam się* — mówił — *bardzo często nie jest realizowane. Przeciwnie — robi się wbrew temu, co ja chcę. I to przecież nie o mnie chodzi, bo ja jestem członkiem określonego kolektywu. Bardzo często podejmuje się decyzje sprzeczne z uchwałami Biura Politycznego. Aparat rządowy podejmuje swoje własne decyzje, gdyż przywykł do starych metod pracy. (...) Aparat administracyjny usiłuje kryć przed Komitetem Centralnym, przed tym gmachem różnego rodzaju nieprawidłowości, niekorzystne wskaźniki, a nawet różnego rodzaju nadużycia. Zresztą niektórzy towarzysze ministrowie też się nie orientowali, jak zagadnienia wyglądają. Jestem przekonany, że większość I sekretarzy komitetów wojewódzkich też na ten temat nie wie. A co to znaczy? No właśnie, jeśli ja czegoś nie wiem, oznacza to, że ja się tym nie interesuję".*

Na przykładzie warszawskich Zakładów Optycznych, o których pisano w „Życiu Gospodarczym", Władysław Gomułka pokazał, jak lekceważy się w naszym kraju

ELEMENTARNE ZASADY EKONOMICZNE.

Przedsiębiorstwo funkcjonowało coraz gorzej, lecz nie miało to wpływu na płace, fundusz zakładowy i premie pracownicze. *„A co mielibyśmy, towarzysze* — pytał — *gdybyśmy tych wszystkich premii i odpisów na fundusz zakładowy nie dali? Rzecz jasna mielibyśmy oburzenie. Mielibyśmy oburzenie robotników, mielibyśmy oburzenie administracji. Mielibyśmy krzyk, ale to byłby zdrowy krzyk. Być może nawet doszłoby do strajku, ale byłby to zdrowy strajk, który zmuszałby warszawską organizację partyjną, zjednoczenie i wszystkie nadrzędne ogniwa do poważnej analizy sytuacji. A co było w rzeczywistości? Wszyscy umyli ręce i cichaczem wprowadzili planowy deficyt po to, by płacić premie".*

Podobne przykłady, zdaniem Gomułki, można mnożyć. Tak dzieje się w całym aparacie administracyjnym. I wszyscy do tego przywykli. Teraz jednak musimy znaleźć jakieś wyjście. *„Konieczność zmian* — czytamy dalej — *nie wynika z tego, że ktoś się ich domaga. Wynika z tego, że zmiany te muszą nastąpić. Sprawa jest bardzo prosta. Albo się ludzie przestawią, albo trzeba przestawić ludzi. Inaczej mówiąc, nie będzie absolutnie innego wyjścia jak tylko szeroko i masowo trzeba będzie zdejmować ludzi ze stanowisk".*

Bardzo krytycznie ocenił mówca sytuację w dziedzinie inwestycji. Nadmiernie wydłużone cykle budowy i rozruchu powodują nieopłacalność całych przedsięwzięć oraz sprawiają, że wyroby polskie nie wytrzymują konkurencji na rynkach zagranicznych. *„Przecież to jest prosta droga* — podkreślał — *do katastrofy. Jeszcze parę lat na tej drodze, a stajemy się krajem, z którym nikt się nie liczy. Nie tylko nie mamy możliwości rozwoju, ale tracimy naszą niezależność polityczną".*

PROBLEM SUWERENNOŚCI KRAJU

powiązał Gomułka również z bilansem w handlu zagranicznym. Według jego oceny *„żyliśmy na cudzy rachunek, i trochę na kredyt".* W sprzyjających warunkach można brać kredyty inwestycyjne, lecz należy wystrzegać się konsumpcyjnych. Nie wolno żyć z *„cudzego garnuszka".* Powinniśmy kupować za granicą tylko wtedy, gdy wygospodarowaliśmy własne środki. Import musi mieć pokrycie w eksporcie. A tak nie zawsze się dzieje. *„Fundusz rezerwowy* — mówił I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR — *już w połowie został rozdrapany. Można rozdrapać jeszcze resztę, jeszcze zaciągnąć kredyt na jeden, dwa, trzy czy pięć miliardów złotych dewizowych. Można i wcale nie tak trudno to zrobić! Tylko przestańmy wówczas myśleć, że jesteśmy suwerennym krajem, gospodarzami w naszym domu. Wówczas trzeba pójść na pasku tego, który dał pieniądze, a więc na pasku kapitalizmu. Ale to już nie za mnie!"*

W formie dygresji warto tu podać, że zadłużenie Polski w walutach wymienialnych krajów kapitalistycznych wyniosło w 1971 roku zaledwie 1,0 mld dolarów. A potem rosło następująco: 1975 r. — 8,4 mld, 1980 r. — 25,5 mld, czerwiec 1986 r. — 31,3 mld dolarów. W połowie ubiegłego roku statystyczny Polak był winien zagranicy aż 837 dolarów.

Na temat osobowości i polityki Władysława Gomułki pisano dobrze i źle. Ostatnio jednak coraz częściej spotykamy opinie pozytywne. Na szczególną uwagę zasługują wyznania Jana Ptasińskiego, który był sąsiadem Gomułki (mieszkał piętro niżej) i rozmawiał z nim jeszcze na kilka dni przed jego śmiercią. Ciekawy wywiad z Janem Ptasińskim przeprowadził dla świątecznego wydania „KULTURY" (nr 52—53) Piotr Grochmalski.

JAKIM CZŁOWIEKIEM BYŁ GOMUŁKA?

Ptasiński tak go charakteryzuje: *„Był bardzo skromny i oszczędny. Pamiętam taką sytuację, że kiedy Gomułka zaprosił mnie na obiad w Gdańsku do «Juraty», jego wnuczkom zginęły gdzieś kapcie. Wszyscy zaczęli ich szukać, ale tak, żeby broń Boże Gomułka nie zorientował się, o co chodzi, bo wtedy wybuchłaby awantura, o to, że można zapodziać taką rzecz. Pamiętam, że mówiliśmy o nim w KC, że sam nie weźmie i innym nie pozwoli. Kto wtedy pomyślałby o willi! Kiedy dowiedział się, że dzieci jednego z ministrów rozbijają się samochodami, błyskawicznie zdjął go ze stanowiska. Gomułka był strasznie czuły na takie sprawy. Dlatego nawet ci, którzy mieli ochotę żyć z większym rozmachem, nie ryzykowali. Był też człowiekiem niezwykle pracowitym. Pamiętam, że na jakimś sekretariacie omawiane były problemy poszczególnych województw. Obawialiśmy się tego, bo każdy zdawał sobie sprawę, że Gomułka na pewno przeczytał dokumenty i będzie zadawał masę niewygodnych pytań. (...) Biada było temu człowiekowi, który wszedł do Gomułki nie znając sprawy albo znając ją gorzej od Wiesława. Wychodził zawsze wtedy w nietęgim nastroju. Gomułka był nerwowy. Nie cierpiał wręcz braku kompetencji. Wtedy potrafił nawet bardzo ostro zrugać. Nie bawił się wówczas w dobieranie słów. Ale nie był mściwy".*

Nawet na emeryturze przestrzegał Gomułka stałego rozkładu dnia. Zawsze

WSTAWAŁ O PIĄTEJ RANO.

A szedł spać zwykle o dwudziestej drugiej. O szóstej rozpoczynał gimnastykę, następnie brał kąpiel, i dopiero po tym jadł śniadanie. Jan Ptasiński opowiada: *„Wstawałem, jak słyszałem, że wchodzi do wanny. Wiedziałem, że musi być 7. Przy śniadaniu zawsze czytał gazetę... Potem wsiadał do samochodu — miał do końca służbowy wóz z oficerem — i jechał na spacer. Punktualnie o wpół do drugiej zjawiał się w domu na obiedzie. Po południu siadał do pisania, czytania itd. O 19 była kolacja. Jedząc ją jednocześnie oglądał dziennik telewizyjny. A później włączał także duże radio i słuchał, co inni mają do powiedzenia. Potem siadał znów przy swoim biurku. (...) Porządek u niego w domu był idealny. Jeśli ktoś zmienił mu cokolwiek na biurku był szalenie z tego powodu zdenerwowany. U siebie w pokoju wszystko miał poukładane, koszule na przykład były ponumerowane. Wiedział zawsze gdzie co ma. To była zresztą jakby jego obsesja".*

Czytelnikom zainteresowanym życiem prywatnym naszych prominentów polecam też lekturę świątecznego wydania tygodnika „WPROST" (nr 51—52). Piotr Grochmalski przeprowadził rozmowy z żonami ministrów: spraw wewnętrznych — Teresą Kiszczak, kultury i sztuki — Barbarą Bobrowską-Krawczuk; sprawiedliwości — Haliną Domeracką; do spraw młodzieży — Jolantą Kwaśniewską. Natomiast Piotr Andrzejewski i Krzysztof Gołata rozmawiali z żoną Mieczysława F. Rakowskiego — Elżbietą Kępińską, aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie.

ŻONY ZNANYCH POLITYKÓW

opowiadają o sobie, o swoich mężach i dzieciach. Żona generała Czesława Kiszczaka tak wspomina noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku: *„Przed samym stanem wojennym mąż był bardzo zajęty w pracy. Do domu przychodził zwykle wtedy, kiedy dawno już spałam. Śpi w swoim pokoju. Przez wiele dni prawie się nie widzieliśmy. Nad ranem 13 grudnia zadzwonił telefon. Po sygnale poznałam, że to telefon rządowy, więc byłam pewna, że to do męża. Czekałam, kiedy wstanie i podejdzie do telefonu. Telefon dzwonił, a mąż do niego nie podchodził. Przestraszyłam się, pomyślałam, że może coś się stało mężowi. Pobiegłam do jego pokoju. Łóżko nie było w ogóle rozścielone. Zrozumiałam, że mąż nie wrócił na noc do domu. Podeszłam do telefonu, który wciąż jeszcze dzwonił. W słuchawce usłyszałam głos męża. Powiedział tylko: włącz radio i słuchaj. Zrobiłam to. Była godzina 6 rano. Usłyszałam przemówienie gen. Jaruzelskiego, z którego dowiedziałam się o stanie wojennym. Po chwili zadzwonił mąż i spytał o moją reakcję".*

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Nie tylko ekonomia

Zwykle tak się składa, że ilekroć dostrzegamy potrzebę moralnej naprawy życia społecznego, nie widzimy konieczności rozpoczęcia jej od siebie samego. Większość z nas w zasadzie zdaje się rozumieć, że gdyby inni solidnie wypełniali swoje obowiązki: lepiej pracowali, mniej marnotrawili wszelakiego dobra, nie spekulowali i nie kradli, wówczas ogół żyłby o ileś tam dostatniej.

Prawdopodobnie zresztą, że, żyjąc lepiej niż obecnie, ludzie nie tylko przyjmowaliby to za rzecz naturalną, lecz nadal przyrównywaliby nasz poziom życia do krajów zamożniejszych i swoje pretensje o to, że powodzi im się gorzej niż innym kierowaliby do władz kraju lub do współobywateli, najchętniej pomijając swoją osobę, skłonni rozgrzeszać lenistwo czy niegospodarność jako niedostrzegalne w skutkach.

W każdym razie nie są to podstawy, które dominowałyby w społeczeństwach pracowitych i zasobnych, a w obecnym momencie naszego życia państwowego są one szczególnie niebezpieczne, ponieważ wchodzimy właśnie w drugi, wyższy etap reformy gospodarczej, której ewentualne niepowodzenie dałoby się nam wszystkim dotkliwie we znaki (z wyjątkiem oczywiście środowisk spekulanckich).

Jakże miałoby się nie udać — powie ktoś. Przecież sukces lub fiasko reformy zależą od tego, czy jej mechanizmy ustalone zostały prawidłowo i czy w konsekwencji „wymusi" ona dobrą pracę na tych, którzy chcą zarobić, a wyeliminuje opieszałych i leniwych, ponadto czy widmo bankructwa przedsiębiorstwa skłoni całą załogę łącznie z kierownictwem do racjonalnej organizacji pracy, zapewniającej wydajną i oszczędną produkcję, przy optymalnym stanie zatrudnienia. Po co więc propaganda dobrej roboty, skoro właśnie reforma jest od tego, żeby uczyć roboty z całą bezwzględnością, jaka tkwi w prawach ekonomii?

Zdaję sobie sprawę, że wkroczyłem na teren zbyt śliski dla niefachowca, całą bowiem swoją wiedzę na te tematy czerpię z popularnych publikacji i przemówień. Owszem, przekonują mnie one w swoim głównym zarysie, ale jako laikowi „coś" mi jednak mówi, że w życiu nie bywa na ogół tak prosto z wcielaniem w życie nawet najsłuszniejszych doktryn, jeśli ludzie ich słuszności nie rozumieją, a to znaczy, nie dostrzegają tkwiących w tym czy innym programie własnych długofalowych korzyści.

Otóż obawiam się, że wszechmoc oddziaływania praw ekonomii na psychikę jednostek i grup ludzkich jest raczej wątpliwa, obserwuję bowiem istnienie silnie zakorzenionych postaw apatii i bierności społecznej, skojarzonych z minimalizacją aspiracji bytowych i cywilizacyjnych. Myślę, że nie najmniejsza część społeczeństwa mając do wyboru skromną wegetację, połączoną z życiowym wygodnictwem i nieróbstwem lub względnie wysoki poziom życia za cenę intensywnego wysiłku i napięcia, wybierze zawsze to pierwsze.

Wytworzyła się w niektórych kręgach (zarówno społecznie „wyższych", jak i „niższych") taka filozofia życia (sięgająca swoim rodowodem bodaj siedemnastego wieku), że „zabijanie się" robotą i „rycie" w pracy jest czymś przyziemnym, wyzutym z polotu i fantazji, wytworzył się pewien jakby fason życiowej niefrasobliwości, znamionujący rzekomo osobowości „wyższego lotu". Sądzę, że te nasze polskie realia (nie tak przecież rozpowszechnione wśród Niemców, Anglików, Czechów i in.) mają twardszy żywot niż się to najtęższym ekonomistom śniło.

Na to mógłby ktoś replikować, że dla dużych pieniędzy potrafią i nasi ludzie „szarpać", jak o tym świadczą liczne wyjazdy zarobkowe naszych ziomków za granicę, nic więc prostszego, abyśmy i my tutaj w kraju stworzyli wszystkim takie szanse zarobienia. Oczywiście, jest to czysta demagogia, bo długo jeszcze nasza gospodarka może ludziom zaoferować tylko wybór między wegetacją, a względną zasobnością, (co i tak stanowi śmielszy bodziec niż dotychczasowy brak wynagradzania zwiększonych wysiłków), nie stać nas natomiast na umożliwienie w masowej skali zarabiania kroci. Jest stare i mądre porzekadło: „wedle stawu grobla"...

Czy wynikałoby z tego, że nie wierzę w reformę gospodarczą? Przeciwnie, należę do dość chyba licznych zwolenników radykalnego jej przeprowadzania, obawiam się jednak niewystarczalności oddziaływania, samych mechanizmów ekonomicznych na spory jak sądzę krąg ludzi pracy, nie obejdzie się więc, jak przypuszczam, bez odpowiedniej działalności uświadamiającej. Wprawdzie pouczeń i kazań na ten temat nie brak, ale przydałoby się, moim zdaniem, oddziaływanie na świadomość ośmieszające prymitywizm i zacofaństwo lenistwa, jakie potrafił — chyba ostatni — stosować skutecznie Konstanty Ildefons Gałczyński. Ale do tego trzeba talentu, większego niż mają niektórzy uznani humoryści...

JERZY KWIECIŃSKI

Komunikat o zmianie ceny „Odgłosów"

Informujemy PT Czytelników, że z dniem 14 stycznia wzrasta cena tygodnika „Odgłosy" z 20 zł do 25 zł za egzemplarz. Konieczność podwyższenia ceny wynika ze wzrostu kosztów jego wydawania niezależnych od redakcji i Wydawnictwa.

Informując o powyższych zmianach wszystkich Czytelników naszej prasy, wyjaśniamy jednocześnie, że w stosunku do prenumeratorów nowe ceny wchodzą w życie po wygaśnięciu opłaconych okresów prenumeraty.

Jaki ma być strażnik praw obywatelskich?

Ludzie oczekują Janosika...

TOMASZ SAS

„Założenia koncepcji" rzecznika praw obywatelskich przedstawione do publicznej dyskusji przez PRON przewidują dwa warianty — rzecznika na szczeblu wojewódzkim (i tylko tak) lub na szczeblu wojewódzkim i krajowym. Obydwa te „warianty", gdy głębiej wczytać się w szczegóły propozycji, więcej mówią o stanie ducha autorów koncepcji, niż o sensowności prawno-ustrojowego konkretu proponowanego nam oto w trybie de lege ferenda. Przeto bardziej nadają się na materiał badawczy dla psychologów polityki (jeżeli taka specjalizacja jeszcze nie istnieje, to należy „wykreować" ją jak najszybciej...) niż jako podkład dla obywatela, zatroskanego biegiem spraw publicznych i gotowego przedyskutować, a potem wybrać, najlepszy sposób naprawy.

Nie mam prawa wątpić w szlachetność intencji twórców projektu, ale zaprezentowane wykonanie samej idei każe mi powątpiewać w ich zdolność widzenia świata takim, jaki rzeczywiście jest. Jestem bowiem pewien, że w obecnym stanie rzeczy — i w dającej się przewidzieć przyszłości — ścisłe powiązanie rzecznika, obrońcy praw obywatelskich z wojewódzkimi radami narodowymi lub w ogóle ze szczeblem wojewódzkim jest równoznaczne ze skazaniem całej ten instytucji na śmierć.

Jądrem socjalistycznego systemu władzy przedstawicielskiej i w istocie najważniejszym, decydującym o kondycji demokracji, organem obieralnym jest rada narodowa. Wydawałoby się przeto godnym, aby strażnika praw obywateli umieścić na jednej z orbit wokół niej. Ale my tu nie o modelach rozprawiajmy, tylko o realnie istniejącym świecie...

W realnie istniejącym świecie rady narodowe, mimo nieustannego doskonalenia skuteczności swych funkcji władczych, dalekie są od wybicia się na rangę nadaną im przez ustawy. Nie ma co ukrywać — rady narodowe (jak sądzę, jeszcze nie wszystkie...) — toczą walkę o swą tożsamość i autonomię. O autorytet. Wprawdzie wynik tej walki jest z góry przesądzony (nie wyobrażam sobie, by rady mogły ją przegrać, gdyż wrócilibyśmy do punktu wyjścia, czyli ostrego kryzysu politycznego), ale ani czas jej trwania, ani konieczne ofiary przewidzieć się nie dadzą.

Drugą stroną tej walki jest szeroko pojęty system administracji, opierający się dominacji władzy obieralnej. System ten stawia opór z różnych pobudek — poczynając od tak irracjonalnej jak żądza władzy, aż do tak pragmatycznej jak poczucie przewagi kompetencji merytorycznych czy sprawności działania. Żywotność tych pobudek wydaje się być wieczna, przeto i konflikt administratorów z mandatariuszami może trwać zawsze, ulegając tylko ograniczeniu — ze względu na osiągnięcie trwałej i skutecznej dominacji jednej ze stron. Najlepiej — władzy przedstawicielskiej. Albo — gdy ułożony zostanie, zadowalający ambicje i potrzeby (czyli polityczne interesy) obu stron sposób łagodnego współdziałania, wspierany przez siły społeczne, które się co do tego sposobu i najważniejszych celów porozumiały.

W tej sytuacji trudno przypuścić, że rzecznik na szczeblu wojewódzkim będzie bardziej poważny, silniejszy i obdarzony większym autorytetem niż rada narodowa, która go powołała. Że — miast skupić się na obronie praw obywateli — nie stanie się narzędziem w procesie „egzekucji praw" władzy przedstawicielskiej. Żadną miarą nie wolno dopuścić do tego, by autorytet i siła oddziaływania rzecznika rosła powoli wraz z umacnianiem się realnej pozycji rady narodowej w systemie sprawowania władzy. Po pierwsze — taka korelacja wcale nie jest pewna. Po drugie — inne są oczekiwania obywateli, którzy od razu chcą mieć silnego, sprawnego i skutecznego obrońcę, a nie rachityczną i powoli wybijającą się na niezależność instytucję. Obywatele chcą Janosika, a nie dziurawy parasol...

Realnie istniejący układ sił w Polsce oznacza, że rzecznicy praw obywatelskich na szczeblu wojewódzkim byliby na razie (i na długo) co najwyżej gubernialnymi jałmużnikami. Wątpię, aby było to zgodne z intencjami twórców i orędowników samej idei ustanowienia instytucji obrońcy praworządności.

Jestem przekonany najgłębiej, jak tylko można, że jedynym możliwym rozwiązaniem, jeżeli już koniecznie musimy w trybie pilnym tego rzecznika-strażnika mieć, jest ustanowienie — w trybie wyboru przez Sejm (z co najmniej dwóch kandydatów, zaproponowanych przez Radę Państwa) — jednoosobowego urzędu, obejmującego swym działaniem cały kraj i wszystkich jego obywateli. Urzędu wyposażonego w maksymalne kompetencje, idące dalej niż zaproponowano to w projekcie Rady Państwa i PRON, czyli w dziedziny objęte tajemnicą państwową, dotyczące obronności i bezpieczeństwa, a nawet w uzasadnionych przypadkach wkraczające w sferę niezawisłego orzekania. A więc działającego praktycznie bez ograniczeń wszędzie tam, gdzie mogą być pogwałcone prawa obywatela, ustanowione przez Konstytucję, międzynarodowe konwencje, inne akty prawne, a nawet powszechne zwyczaje i akceptowane przez ogół normy etyczne.

Innymi słowy: szeryf-omnipotens... Zawisły tylko od parlamentu, podległy prawom, ale i mogący się tym prawom, gdyby uznał je za złe, sprzeciwić.

Jest rzeczą oczywistą, że autorzy projektu wprowadzili szereg ograniczeń dla pola działania rzecznika; skoro miałby on działać jako wojewódzki urzędnik, to po co mu wgląd w sfery objęte tajemnicą (nb. jest to typowy i mocno już skompromitowany wykręt administracji) czy zakazane ze względu na bezpieczeństwo państwa. A przecież wcale nietrudno sobie wyobrazić możliwość nadużyć w kwestii praw obywatelskich właśnie w tej ostatniej dziedzinie. Ale silny organ obrony praw, działający na terytorium całego państwa i wyposażony w rozległe pełnomocnictwa, nie mógłby takich ograniczeń cierpieć.

Nieco bardziej skomplikowana kwestia wyłania się co do zakazu wkraczania w rozstrzygnięcia niezawisłe. W istocie jest to zakaz wzruszania prawomocnych wyroków i postanowień sądów. Obalenie tego ograniczenia uczyniłoby z rzecznika jeszcze jedną instancję rewizyjną, a w każdym razie przybyłby jeszcze jeden organ uprawniony do inicjowania np. rewizji nadzwyczajnej.

Rozumiem to ograniczenie wobec szczebla wojewódzkiego. Ale sądzę, że ogólnokrajowy rzecznik mógłby mieć prawo do wkraczania w materię niezawisłych rozstrzygnięć sądowych — od Trybunałów Stanu i Konstytucyjnego począwszy, po sądy rejonowe, że już nie wspomnę o orzekających w sprawach obywateli różnych quasi-sądowych ciałach administracyjnych i społecznych — na osiedlowej społecznej komisji pojednawczej skończywszy.

Sądzę, że nie byłoby to ani nadmierne utrudnienie dla funkcjonowania organów wymiaru sprawiedliwości, ani też nadmierny despekt wobec ich autorytetu. Mieć bowiem należy stale na uwadze cel, któremu służyć ma rzecznik — ochronę praw obywateli, przed którą winny ustąpić inne względy.

Chodzi o to, w jaki sposób rzecznik korzystałby z tak pomyślanych, możliwie najszerszych uprawnień. Sądzę, że zasadą nadrzędną jego działania winna być maksymalna swoboda. To znaczy, że nie powinny istnieć żadne zobowiązania ustawowe nakazujące rzecznikowi podejmowanie jakiejś kategorii spraw; jedynie Sejm w drodze uchwały mógłby rzecznikowi narzucić obowiązek działania w konkretnej sprawie. Przywilejem rzecznika musi być prawo do bezczynności i odmowy podjęcia czynności (bez uzasadnienia, chyba że sam rzecznik uzna je za potrzebne).

Jest rzeczą naturalną, że tak szerokie i o szczególnej mocy kompetencje urzędu narzucają obowiązek nadzwyczajnej staranności w wyborze odpowiedniego człowieka. Mam wszelako wrażenie, że nie będzie to zadanie ponad siły i kompetencje intelektualne Sejmu. Sądzę też, iż nie należy w trybie ustawy i regulaminów nadto ograniczać rzecznika co do swobody organizowania sobie pracy. Oczywiście z czysto technicznych względów należy przewidzieć, że będzie on musiał przybrać sobie pomocników, stworzyć biuro, a może nawet agendy terenowe, a także wypracować pewne sformalizowane procedury funkcjonowania. Ale tę sferę można chyba pozostawić rzecznikowi do swobodnego uznania.

Jest jeszcze jeden wzgląd społeczny, przemawiający za jednoosobowym, obejmującym całe państwo urzędem rzecznika. Jest to też oczekiwanie publiczne, ale już nie na siłę i skuteczność działania — także na tworzenie pewnego rodzaju świadomości prawnej: wzorca zachowań, interpretowania praw, zasad współżycia społecznego i zwyczajów, jednolitych reguł objaśniania i rozumienia obywatelskich uprawnień. Rzecznik (a może lepiej strażnik) poprzez swoje działania w konkretnych sprawach, odpowiednio umotywowane i upowszechnione, będzie potężnym źródłem kształtowania postaw obywatelskich.

Otóż szczerze wątpię, aby czterdziestu dziewięciu, nawet najzacniejszych, ludzi mogło działać równie sprawnie i jednolicie. Sądzę, że natychmiast wyłoniłaby się potrzeba nadzoru, szkolenia „wyrównawczego", rozsyłania dyrektyw. Z góry dziękuję za taki system, w którym by mnie przepraszano: — „bo wiecie — my się tu wszyscy jeszcze uczymy nowego..."

Przytoczyłem, jak sądzę, wystarczającą ilość oczywistych powodów, dla których rzecznik — jeżeli w ogóle musi być — to tylko jeden na cały kraj, silny, niezależny i mądry.

Los Polski silnie związany z robotniczym ruchem

ZBIGNIEW WALCZAK

Kontakty Jerzego Plechanowa z polskim ruchem socjalistycznym rozpoczęły się prawie równocześnie z podjęciem przez niego działalności w ruchu narodnickim. Wielu bowiem Polaków działało w organizacji Ziemia i Wola, bądź z nią sympatyzowało. W demonstracji przed Soborem Kazańskim — w czasie której przemawiał Jerzy Plechanow — także brali udział Polacy: Aleksander Więckowski i Erazm Kobylański. W czasie swej działalności w Petersburgu Plechanow nawiązał bliższe kontakty m.in. z Bolesławem Wysłouchem, Ignacym Hryniewieckim i Aleksandrem Kwiatkowskim. Sam Plechanow wspominał po latach o kontaktach z tego okresu między Północnym Związkiem Rosyjskich Robotników a kółkami socjalistycznymi w Warszawie.

Ściślejsza współpraca rozpoczęła się po wyjeździe Plechanowa z Rosji i osiedleniu się w Genewie, gdzie znaleźli tez schronienie polscy działacze socjalistyczni. Od początku 1879 r. przebywali tam m.in. Bolesław Limanowski, Kazimierz Dłuski, Szymon Dikstajn, Maria Zalewska-Jankowska Po procesie krakowskim dołączyli do nich: Józef Uziębło, Edmund Brzeziński, Stanisław Mendelson i Ludwik Waryński. Od września 1879 r. rozpoczęli oni wydawanie czasopisma „Równość". Po pewnym czasie doszło do zbliżenia między grupą „Czarnego Podziału" kierowaną przez Jerzego Plechanowa a redakcją „Równości".

W latach następnych w kręgu znajomych Jerzego Plechanowa znalazła się m.in. Cezaryna Wojnarowska, która była koleżanką żony Plechanowa — Róży Markownej — jeszcze w okresie jej studiów w Instytucie Medycznym dla kobiet przy Wojskowej Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Petersburgu. Korespondowali z Jerzym Plechanowem Ludwik Janowicz, Stanisław Kunicki, Ludwik Kulczycki. Utrzymywał też kontakty z Bolesławem Wysłouchem, na którego prośbę napisał w 1886 r. artykuł o życiu i działalności Fryderyka Lassallea dla „Przeglądu Społecznego".

W 1890 roku do grupy „Oswobodzenie Pracy" zbliżyła się Róża Luksemburg. Jednak różnice w poglądach doprowadziły do zerwania kontaktów. W następnych latach od współpracy z SDKPiL, w której R. Luksemburg i J. Tyszka odgrywali dominującą rolę, zniechęcały Plechanowa doprowadzone do karykaturalnej postaci ich poglądy na sprawę narodową.

Jerzy Plechanow wielokrotnie wypowiadał się w sprawach polskich, przy różnych okazjach. Po raz pierwszy zabrał głos w sprawie polskiej w 1880 r. — w 50 rocznicę wybuchu powstania listopadowego. Współpracująca z grupą Plechanowa redakcja „Równości" postanowiła wykorzystać rocznicę wybuchu powstania dla publicznego zaprezentowania swoich poglądów politycznych, szczególnie w sprawie narodowej.

Na mityng zaproszono wielu znanych działaczy socjalistycznych, w tym m.in. Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Zaproszenie otrzymali również członkowie grupy Jerzego Plechanowa, a Wierze Zasulicz powierzono funkcję sekretarza mityngu. Plechanow przebywał w tym czasie w Paryżu, skąd wraz z grupą rosyjskich socjalistów przesłał telegram z pozdrowieniami, w którym czytamy m.in.:

„Walka między narodami miała miejsce w przeszłości, teraz robotnicy-socjaliści wszystkich krajów solidaryzują się w potężnej walce, która musi doprowadzić do rewolucji socjalnej".

Sądzić można, że w tym czasie Jerzy Plechanow podzielał stanowisko socjalistów skupionych wokół pisma „Równość", pragnących zastąpić hasło: *„Niech żyje Polska"* hasłem: *„Niech żyje internacjonalizm"*. W miarę jak Jerzy Plechanow przechodził na pozycję marksistowską zmieniały się również jego poglądy na sprawy narodowe. W 1883 r. przekształcił skupioną wokół niego grupę „Czarny Podział" w organizację marksistowską „Wyzwolenie Pracy". W pierwszym swoim programie opublikowanym w 1883 r. domagała się ona demokratycznej konstytucji oraz równouprawnienia wszystkich obywateli *„niezależnie od religii i narodowości"*.

Na Międzynarodowym Kongresie Socjalistycznym w sierpniu 1893 r. w Zurichu doszło do sporu między przedstawicielami PPS i PPSD Galicji i Śląska z jednej strony a Różą Luksemburg i Julianem Marchlewskim z drugiej. Delegaci PPS i PPSD nie uznali przedstawionych przez Różę Luksemburg i Juliana Marchlewskiego mandatów. Jerzy Plechanow odmówił również przyjęcia Róży Luksemburg do sekcji rosyjskiej. W rezultacie nie dopuszczono jej do uczestnictwa w Kongresie. W czasie swojego wystąpienia Jerzy Plechanow poruszył kwestię stosunku socjalistów rosyjskich do narodu polskiego: *„Co się tyczy nas, rosyjskich rewolucjonistów, nie sprzedamy Polski, jak to zrobiła burżuazja francuska, która niegdyś wołała: „Niech żyje Polska" (...) a potem szła przeprosić p. Morenheima"* (rosyjski ambasador w Paryżu).

Według innej wersji Plechanow wystąpił przeciw finansowej pomocy Francji dla Rosji i stwierdził m.in.: *„(...) czy wy zapomnieliście, że rosyjski car połączył się z waszą burżuazją, że on jest zabójcą Polski"*. Rząd francuski uznał to wystąpienie za zniewagę Francji i zażądał, aby Plechanow opuścił jej terytorium.

Po powstaniu dwóch nurtów w polskim ruchu robotniczym, reprezentowanych przez PPS i SDKP, Jerzy Plechanow bliższe kontakty utrzymywał z PPS. Wpływały na to bliskie w tym czasie stosunki ze Stanisławem Mendelsonem, którego ewolucja ideowa doprowadziła do szeregów PPS, jak też antagonizmy z Różą Luksemburg i Janem Tyszko. Starał się jednak poza sprawą niepodległości nie opowiadać się zdecydowanie za żadnym z polskich ugrupowań socjalistycznych. W sprawie niepodległości Polski zajął jednoznaczne stanowisko kończąc list słowami: *„Niech żyje socjalistyczna i rewolucyjna Polska"*.

W latach następnych, mimo coraz bardziej krytycznej oceny PPS, Jerzy Plechanow nie nabrał zaufania do SDKPiL. Pozostał krytyczny nawet w stosunku do Cezaryny Wojnarowskiej, kiedyś bliskiej współpracowniczki grupy „Wyzwolenie Pracy".

W sierpniu 1900 r. w Bellarive (koło Genewy) odbyło się spotkanie czołowych działaczy rosyjskich, w którym uczestniczyli m.in. W. Lenin, J. Plechanow, W. Zasulicz, A. Potresow, J. Stiekłow. Omawiano tam również sprawy związane z polskim ruchem socjalistycznym. Podczas dyskusji — według J. Stiekłowa — *„Plechanow i Lenin jednakowo negatywnie wypowiedzieli się przeciw polskiej socjalistycznej partii"*. Głównym powodem tego był stosunek PPS do rosyjskiego ruchu socjalistycznego. Nie oznaczało to jednak udzielenia całkowitego poparcia SDKPiL. Jerzy Plechanow nadal pozostał uprzedzony wobec tej partii głównie ze względu na jej stanowisko w „kwestii narodowej".

Jerzy Plechanow i Włodzimierz Lenin negatywnie odnieśli się do propozycji wstąpienia SDKPiL do SDPRR. Mogli się zgodzić pod warunkiem m. in. zmiany paragrafu 7 w programie SDPRR. Określał on stosunek socjaldemokracji rosyjskiej do spraw narodowych. Delegacja SDKPiL na II Zjazd SDPRR przedstawiła propozycję zmiany paragrafu 7. Po zapoznaniu się z tekstem przedstawionym przez SDKPiL Jerzy Plechanow odmówił jego poparcia. Podobnie uczynił również Włodzimierz Lenin.

W 1900 r. redakcja wydawanego w Krakowie czasopisma „Krytyka" przeprowadziła wśród działaczy politycznych, naukowców, literatów i innych znanych osobistości ankietę zatytułowaną „Sprawa polska w opinii Europy". W kwestionariuszu znalazły się następujące pytania:

1. *„Czy cywilizacja polska jest obojętna lub też nie dla postępu Europy Zachodniej"*.
2. *„Czy w dzisiejszych warunkach możliwy jest rozwój prawidłowy narodu polskiego i jak sądzić należy politykę germanizacyjną i rusyfikacyjną"*.
3. *„Czy istnienie niepodległej Polski nie wpłynęłoby korzystnie na rozwój Europy Zachodniej"*.
4. *„Czy Polska może odzyskać swą niepodległość i jaką drogą?"*.

Redakcja wysłała ankietę do 500 osób. Odpowiedzi nadesłano ponad 100 Były one bardzo różne. Można jednak stwierdzić, że bardzo poważna część respondentów doceniła wkład Polaków w rozwój cywilizacyjny Europy, potępiła germanizację i rusyfikację. Natomiast wobec sprawy odrodzenia się państwa polskiego wielu ankietowanych nie udzieliło odpowiedzi, a często zajęło negatywne stanowisko. Jako argument przytaczali brak warunków w ówczesnej sytuacji ogólnoeuropejskiej dla odrodzenia się Polski. Były też wypowiedzi stwierdzające, że powstanie Polski niepodległej mogłoby mieć niekorzystny wpływ na rozwój polityczny Europy.

Od tego dość pesymistycznego tła odbijały odpowiedzi: Jerzego Plechanowa i Karola Kautskyego. Jerzy Plechanow napisał:

1. *„Nie ulega wątpliwości, że gdyby lud polski tak piękny i tak zdolny miał zniknąć z narodów europejskich, powstałaby luka w cywilizacji..."*
2. *„Wynika stąd, że usiłowania czynione dla zniszczenia tej rasy, uważać należy za zbrodnię przeciw cywilizacji"*.
3. *„Nie mniej oczywiste jest, że odzyskanie przez Polskę niepodległości politycznej powitane być winno z najszczerszą sympatią przez wszystkich tych, co nie są podlegli rządom rosyjskim i niemieckim"*.
4. *„(...) sprawa polska (...) jest obecnie silnie związana z postępem ruchu robotniczego w Polsce. (...) Robotnik polski jest jedynym bojownikiem, na którego liczyć można. (...) Narody uciśnione powinny sprawiedliwie ocenić wartość tego potężnego czynnika"*.

W wypowiedzi tej ujawnił się popełniony przez Jerzego Plechanowa błąd w całej jego rewolucyjnej koncepcji, polegający na niedocenianiu chłopstwa jako sojusznika klasy robotniczej. Poglądy te przeniósł Jerzy Plechanow również na problematykę walki o niepodległość.

Co z judaizmu znalazło się w chrystianizmie?

Istota nauki Jezusa z Nazaretu

EDMUND LEWANDOWSKI

Na temat chrystianizmu i chrześcijaństwa istnieje, jak wiadomo, wyjątkowo bogata literatura. Teksty ewangeliczne interpretowali zarówno ludzie wierzący, jak i ateiści. Każdy przy tym miał własne specyficzne spojrzenie. Można przyjąć za Albertem Schweitzerem, że ilu było autorów, tyle różnych obrazów Jezusa. Pewnie każda epoka, każde pokolenie i każdy człowiek potrzebują tłumaczenia odpowiadającego aktualnemu stanowi ducha i kultury.

Celem mojego artykułu jest próba syntetycznego i lapidarnego przedstawienia doktryny moralno-religijnej Jezusa Chrystusa. Pragnę wskazać tu najważniejsze zasady jego nauki. Na podstawie kilkuletnich wykładów uniwersyteckich i licznych spotkań autorskich w różnych środowiskach wiem, że barokowa religijność polska jest dość uboga pod względem intelektualnym. Mało jest takich katolików, którzy uważnie studiują Pismo Święte i potrafią wyjaśnić zasadniczy sens christianizmu. Nawet księża, których mamy aż 22.381 (przed wojną było 11.394 kapłanów) podobno ujawniają poważne braki w wykształceniu teologicznym.

Prawie cztery piąte uczniów klas maturalnych w łódzkich liceach i technikach oraz trzy czwarte studentów Uniwersytetu Łódzkiego wierzy w to, że Jezus Chrystus był synem Boga i przez to nie tylko był człowiekiem, lecz również Bogiem. Ale większość z nich słabo zna dogmaty wiary. Nie bardzo wiedzą, w co wierzą. Tak samo zresztą jak nieliczni ateiści nie wiedzą, w co nie wierzą.

Bardzo długi cykl kształcenia dzieci i młodzieży na lekcjach religii okazuje się więc mało efektywny. Być może nauczycielom religioznawstwa uda się w większym stopniu pobudzić uczniów do myślenia i utrwalić w świadomości zasady chrześcijaństwa oraz innych religii światowych. Jest taka szansa, ponieważ lepiej rozumie się i zapamiętuje daną doktrynę w konfrontacji z odmiennymi koncepcjami.

W celu lepszego zrozumienia nauki Jezusa należy przede wszystkim poznać religię, która w jego czasach dominowała wśród Żydów palestyńskich. Warto też przestudiować inne popularne wówczas w świecie śródziemnomorskim i bliskowschodnim doktryny filozoficzne i wyznaniowe.

SEKTY ŻYDOWSKIE

Pod koniec trzeciego dziesięciolecia naszej ery, kiedy działał publicznie Jezus z Nazaretu, społeczeństwo żydowskie było podzielone religijnie. Już co najmniej od II wieku p.n.e. istniały trzy zasadnicze ugrupowania: saduceusze, faryzeusze i essenczycy.

1. Formalnie najważniejszą rolę odgrywało stronnictwo saduceuszy. Była to ekskluzywna grupa arystokracji kapłańskiej i świeckiej skupiona wokół świątyni Jahwe w Jerozolimie. W zasadzie stanowiła zamkniętą kastę, ponieważ kapłani mogli wywodzić się tylko z pokolenia Lewi. Pierwszym aryckapłanem Lewitą był Aaron, brat Mojżesza. Lecz saduceusze prawdopodobnie szczególnie nawiązywali do Sadoka, arcykapłana z czasów Dawida i Salomona, i stąd wzięła się ich nazwa (sadokici, saduceusze).

Podstawą wiary saduceuszy była tylko Tora, czyli spisane Prawo Mojżeszowe. Nie uznawali natomiast tradycji ustnej i kultów ludowych. Dlatego nie wierzyli oni: w nieśmiertelność duszy, sąd i odpłatę pozagrobową, zmartwychwstanie ciał, a także w istnienie przeznaczenia oraz aniołów i diabłów. Stanowczo odrzucali wszystkie dogmaty i nowości religijne, które nie miały uzasadnienia w Piśmie Świętym, gdyż nie mówił o nich Bóg Jahwe.

Saduceusze zakładali wyłączność wolnej woli człowieka i brak jakiegokolwiek przeznaczenia. Oznaczało to, że losy ludzi układają się nie według wyroku boskiego, lecz w zależności od ich postępowania. Sami ludzie są przyczyną zarówno dobra jak i zła, które ich spotyka.

„*Saduceusze* — pisał Józef Flawiusz — *całkiem nie uznają losu i twierdzą, że Bóg wcale nie miesza się do postępków człowieczych*". Historyk żydowski odnotował, że w przekonaniu saduceuszy „*dusze giną wraz z ciałami*". O istotnej różnicy między nimi a faryzeuszami wspomina autor Dziejów Apostolskich. Czytamy tam: „*Saduceusze bowiem mówią, że nie ma zmartwychwstania, ani anioła, ani ducha, a faryzeusze uznają jedno i drugie*". (Dz 23,8).

Bogaci, wykształceni i dumni kapłani żydowscy dystansowali się od szerokich mas i akceptowali panowanie rzymskie. Zajmowali się głównie administracją i rytuałem świątyni jerozolimskiej. Józef Flawiusz podaje, że „*nieliczni są zwolennicy ich nauki, lecz należą do najznaczniejszych*". Stronnictwo to praktycznie przestało istnieć po zburzeniu świątyni w 70 roku.

2. Przeciwieństwem saduceuszy byli faryzeusze. Rekrutowali się z klas średnich (rzemieślnicy i kupcy) oraz częściowo z niższych. W czasach Heroda Wielkiego liczyli około 6 tysięcy członków, lecz mieli bardzo dużo sympatyków. Saduceusze musieli w świątyni stosować się do życzeń faryzeuszy bo „*inaczej nie ścierpiałby ich lud*" (J. Flawiusz).

Nazwa tej partii religijnej pochodzi od słowa „peruszim", co znaczy — oddzieleni, odłączeni, odseparowani. Za swego założyciela uważali Ezdrasza, który w 428 roku p.n.e. przybył na czele wielkiej grupy Żydów z Babilonu do Jerozolimy, przeprowadził radykalne reformy i spowodował odrodzenie judaizmu. Nakazał m.in. odprawienie obcoplemiennych żon oraz ich dzieci.

„*Wyście popełnili przestępstwo* — mówił — *żeście na żony wzięli kobiety cudzoziemskie, powiększając przez to winę Izraela. A teraz wyznajcie wykroczenie swoje wobec Jahwe, Boga ojców waszych, i spełnijcie wolę jego, mianowicie: odłączcie się od tych narodów obcych i od kobiet cudzoziemskich!*" (Ezd 10, 10—11).

Faryzeusze uznawali obok Pisma Świętego również ustną jego interpretację, zwaną „*tradycją starszych*". Pozwoliło im to przyjąć nowe dogmaty pochodzenia irańskiego, o których Tora nie wspominała. I na tej podstawie wierzyli w osobistą nieśmiertelność duszy, w sąd pośmiertny, zmartwychwstanie ciał, istnienie aniołów i duchów. Usiłowali ponadto godzić wolność woli z działaniem opatrzności boskiej. „*Wszystko jest przewidziane, ale dana jest wolność wyboru*" — uczył rabbi Akiba.

Saduceusze oskarżali ich o wypaczanie Tory. Natomiast prosty lud traktował światopogląd faryzejski jako całkowicie prawowierny. Wśród ludu mieli większy autorytet niż król i arcykapłan. Sami jednak głęboko pogardzali „tłumem" nie znającym Prawa (J 7,49) — zarzucając mu ciemnotę i brak gorliwości. Saduceuszom z kolei przypisywali sceptycyzm i niewiarę.

Faryzeusze bardzo wysoko cenili wykształcenie i umiejętność interpretacji Biblii. Przy synagogach organizowali szkoły niższe („dom książki") oraz wyższe („dom komentarza"). Spośród najlepszych absolwentów rekrutowali się tzw. „uczeni w Piśmie", albo inaczej — „prawnicy", „nauczyciele", „doktorzy". Nadawano im zaszczytny tytuł „rabbi" (mój mistrz).

Religijność faryzeuszy polegała na drobiazgowym przestrzeganiu przykazań i zasad czystości rytualnej. Byli aż przesadnie gorliwi. Starali się zachowywać wszystkie normy i przepisy kultowe. Nikt jednak nie był w stanie respektować 365 zakazów (tyle, ile dni w roku) oraz 248 nakazów (tyle, ile kości ma człowiek). Rygoryzm czynił więc z judaizmu dość ponury i sformalizowany system. Praktyki zewnętrzne stały się ważniejsze od autentycznego życia moralnego.

3. Następne ugrupowanie stanowili essenczycy. Józef Flawiusz określa ich jako „*trzecią filozofię*" wyznawaną przez 4 tysiące osób. Nazwa sekty oznacza prawdopodobnie „pobożni". Essenczyków utożsamia się dziś z qumrańczykami. Witold Tyloch twierdzi nawet, że klasztor Qumran nad Morzem Martwym był główną siedzibą essenczyków.

W co wierzyli członkowie tego zgromadzenia? Przede wszystkim ostro przeciwstawiali nieśmiertelną duszę ciału. Świat jawił im się jako arena nieustannej walki dobra i zła, ciemności i światłości, fałszu i prawdy, ducha Bożego i ducha Szatana. W ich kręgu powstała żydowska literatura apokaliptyczna. Zakładali bowiem istnienie przeznaczenia i uważali się za wybranych. Wierzyli, że wszystko zostało z góry określone i musi się dokonać. Oczekiwali na rychły koniec świata oraz przyjście Mesjasza (zesłanego przez Boga) i zbawienie sprawiedliwych. Praktykowali zwykle poza synagogami i świątynią jerozolimską. Odrzucali krwawe ofiary, oddawali cześć słońcu.

Charakterystyczny dla essenizmu dualizm i obca Żydom koncepcja ciała jako więzienia duszy wskazują wyraźnie na wpływy greckie (pitagoreizm) bądź irańskie. Podręczna Encyklopedia Biblijna pod redakcją księdza Eugeniusza Dąbrowskiego zwraca uwagę, iż essenczycy „*mają wiele wspólnego z tzw. «bractwami» pitagorejczyków*". A dalej autorzy stwierdzają:

„*Nie można wykluczać również wpływów iranizmu, który oddziałał przecież na całą apokaliptykę żydowską. Tym bardziej, że judaizm z iranizmem zetknął się bezpośrednio i drogi wpływów są tutaj nakreślone przez historię. Kto wie nawet, czy owe wpływy irańskie (białe szaty magów, przesadne pojęcie czystości rytualnej, kult słońca jako wyobrażenie Ahura-Mazdy i odrzucenie ofiar krwawych) nie czynią zbędnym odwoływania się do pitagoreizmu, zawdzięczającego przecież niejedno z swych twierdzeń wpływom Wschodu*".

Essenczycy żyli w gminach komunistycznych i klasztorach. Potępiali własność prywatną i wyzysk. Organizowali wspólne posiłki, podczas których błogosławili i spożywali chleb oraz wino. Większość wyznawców przestrzegała celibatu.

„*Są oni* — pisał Pliniusz Starszy — *samotnikami, najosobliwszymi ludźmi na świecie, którzy żyją bez kobiet, bez miłości, bez pieniędzy...*".

Józef Flawiusz zaś podkreślał wyjątkowe poczucie sprawiedliwości, nie spotykane u Greków i barbarzyńców, którą essenczycy stawiają na równi z pozostałymi cnotami. Według jego świadectwa dla członków sekty przyjeżdżających z innych miejscowości „*wszystko stoi otworem, jakby to była ich własność*".

4. Flawiusz wyróżniał jeszcze „czwartą filozofię" w judaizmie. Praktykowała ją grupa „zelotów", czyli gorliwych. Ale stronnictwo to miało charakter głównie polityczny i powstało znacznie później niż trzy poprzednie. Utworzyli je ekstremiści łączący religię z walką o niepodległość. Początkiem ruchu był bunt z powodu spisu powszechnego, który w 6 lub 7 roku naszej ery przeprowadził legat Kwiryniusz. Żydzi traktowali spisy ludności jako poważne wykroczenie religijne. W czasach Dawidowych Bóg Jahwe zesłał za to straszliwą zarazę (umarło 70 tys. ludzi). Sam zresztą namówił króla do grzechu, a potem ukarał jego lud (2 Sm 24,1—16).

Zeloci domagali się zasadniczej reformy judaizmu i pragnęli przywrócić Żydom całkowitą wolność. Marzyli o silnym i niezależnym królestwie. Przynajmniej część z nich uprawiała terroryzm. W skrytobójczych mordach posługiwali się krótkimi sztyletami (po łacinie „sica"), dlatego nazywano ich sztyletnikami (sicarii). Zelotą był apostoł Szymon, a sztyletnikiem (sykariuszem) być może Judasz. Teolog francuski Jacques Rollet przydomek „Iskariota" tłumaczy jako „*sykariusz, ten, który niesie sztylet*".

Wszystkie sekty wyraźnie odcinały się od prostego, niewykształconego i znacznie mniej religijnego ludu. Pogardzali nim saduceusze i faryzeusze, unikali go essenczycy. Jedynie zeloci, a także nazarejczycy (poświęceni Bogu), działali wśród „am ha-arec", czyli „ludu ziemi".

W ojczyźnie Żydów od VIII wieku p.n.e. mieszkali również Samarytanie. Był to heterogeniczny lud osadzony tu przez Asyryjczyków po wysiedleniu plemion żydowskich. Samarytanie wierzyli w jednego Boga i oczekiwali przyjścia nowego Mojżesza. Za podstawę wiary uznawali tylko Pięcioksiąg Mojżeszowy. Lecz Żydzi uważali ich za odszczepieńców i nie utrzymywali z nimi stosunków. A przez to także Samarytanie nienawidzili Żydów. Według św. Łukasza, kiedy w Jerozolimie prześladowano wyznawców Chrystusa, to Samarytanie przyjmowali chrzest, i w związku z tym przybyli do nich apostołowie Piotr i Jan (Dz 8,1—24).

KIM BYŁ JEZUS?

Wiele wskazuje na to, że początkowo Jezus należał do essenczyków lub nazarejczyków, a później zaczął głosić własną naukę. Między pierwotnym chrystianizmem a essenizmem istnieją zdumiewające podobieństwa. Kto wie, czy swych młodzieńczych lat, o których milczą ewangelie i apokryfy, nie spędził Jezus w klasztorze qumrańskim? W każdym razie Jan Chrzciciel, zanim rozpoczął działalność, dojrzewał i wychowywał się gdzieś „*na miejscach pustynnych*" (*ŁK 1,80*). A klasztory esseńskie znajdowały się właśnie na Pustyni Judzkiej.

Niemniej jednak chrystianizm ma dużo cech oryginalnych i wręcz przeciwstawnych qumrańczykom.

„*Tam w dole* — pisze J. Jeremias — *w owym klasztorze nad Morzem Martwym, mała armia ascetów, świętych Boga, milicja Najwyższego, prowadzi życie wypełnione najsurowszą pokutą. Dążąc do doskonałej czystości, angażując się w najściślejsze przestrzeganie Prawa, nienawidzą oni bezlitośnie wrogów Boga, trzymając się z dala od zatwardziałych grzeszników, wykluczając nawet ze swego grona chorych i ślepych. Tu zaś Jezus zwiastuje ubogim, nieszczęśliwym, pozbawionym Boga Jahwe niepojętą, nieskończoną miłość Boga, świt tych radosnych czasów, kiedy to ślepi widzą, chromi chodzą, a ubogim głoszona jest Dobra Nowina*".

Na tle przedstawionych wyżej sekt żydowskich nauka Jezusa ma w pewnym sensie charakter kompromisowy. Krytykował wprawdzie saduceuszy, faryzeuszy i uczonych w Piśmie (o zelotach i essenczykach się nie wypowiadał), lecz nie podważał obowiązujących zasad biblijnych i wierzeń wynikających z tradycji ustnej. Nie kwestionował też okupacyjnych praw rzymskich. Zdaniem Władysława Witwickiego szukał on pojednania z teokracją jerozolimską.

Występując przed tłumem słuchaczy Jezus mówił:

„*Na katedrze Mojżesza zasiedli uczeni w Piśmie i faryzeusze. Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladujcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wiążą ciężary wielkie i nie do uniesienia i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć ich nie chcą. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać. Rozszerzają swoje filakterie i wydłużają frędzle u płaszczów. Lubią zaszczytne miejsca na ucztach i pierwsze krzesła w synagogach. Chcą, by ich pozdrawiano na rynkach i żeby ludzie nazywali ich Rabbi. Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem, jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie*" (Mt 23,2—9).

Jezus nie odrzucał doktryny faryzeuszy, lecz reprezentowany przez nich typ religijności praktycznej. Uważał ich za hipokrytów, którzy wydają się bardziej pobożni niż są. Przywiązują bowiem dużo wagi do rozmaitych drobiazgów i zewnętrznych form kultu, a zapominają o najważniejszych przykazaniach moralnych. Oburzony ich postępowaniem Jezus używał dość drastycznych i obelżywych określeń: „*głupi i ślepi*", „*plemię żmijowe*", podobni do „*grobów pobielanych*", wewnątrz pełni „*obłudy i nieprawości*".

Najpoważniejszym zarzutem Jezusa pod adresem faryzeuszy było twierdzenie, że więcej dla nich znaczy tradycja ludzka, którą sobie przekazali, aniżeli przykazania Boga. Składają na przykład dziesięcinę nawet z mięty, kopru i kminku (wystarczyło ze zboża, wina i oliwy), a gubią tak ważne wartości, jak sprawiedliwość, miłosierdzie i wierność. Toteż w programowym swym kazaniu Jezus stwierdził:

„*Jeśli sprawiedliwość wasza nie będzie większa niż uczonych w Piśmie i faryzeuszy, nie wejdziecie do Królestwa niebieskiego*" (Mt 5,20).

Należy podkreślić, że Jezus kierował swoją naukę tylko i wyłącznie do Żydów. Wysyłając apostołów mówił, żeby nie szli do pogan i nie wstępowali do miast samarytańskich. A kiedy indziej, przebywając poza granicami kraju (w stronach Tyru i Sydonu), nie chciał uzdrowić córki Syrofenicjanki. „*Jestem posłany* — wyjaśnił — *tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela*" (Mt 15,21). Gdy zaś niezrażona matka dalej go prosiła o pomoc, została potraktowana pogardliwie jako nie-Żydówka. Usłyszała mianowicie: „*Niedobrze jest zabrać chleb dzieciom, a rzucić psom*" (Mt 15,26). Na to przytomna cudzoziemka odparła: „*Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą z okruszyn, które spadają ze stołu ich panów*" (Mt 15,27). I wtedy dopiero Jezus przyszedł jej z pomocą. Musiała więc najpierw ukorzyć się i przyznać, że należy do gorszej nacji.

Zupełnie inaczej, co ciekawe, odnosił się Jezus do Samarytan. Przechodząc przez miasteczko Sychar, zatrzymał się przy studni i rozmawiał z napotkaną kobietą samarytańską. W dodatku wiedział o niej, że miała już pięciu mężów a żyła w konkubinacie z kolejnym mężczyzną. Przy innej okazji „cudzoziemca" Samarytanina dał Żydom za przykład miłości bliźniego.

GŁÓWNE ZASADY CHRYSTIANIZMU

Pod pojęciem „chrystianizm" rozumiem tu naukę Jezusa zawartą w czterech ewangeliach kanonicznych. Chrześcijaństwem zaś nazywam różne formy kościelne — jak katolicyzm, prawosławie, protestantyzm i inne — oparte na odmiennych interpretacjach chrystianizmu. Istotę nauki Jezusa można krótko wyrazić w postaci pięciu zasad.

Po pierwsze — światopogląd chrystianistyczny oparty jest na zasadzie prymatu spraw duchowych, moralnych i eschatologicznych wobec spraw materialnych i doczesnych. Jezus podkreślał, że królestwo jego nie jest z tego świata. Panem i władzą „*tego*" (zmysłowo-materialnego) świata jest duch zła, Szatan (J 12,31). Dlatego człowiek powinien przede wszystkim troszczyć się o swoją duszę, a mało dbać o ciało i pozycję społeczną.

Jezus zakładał istnienie duszy nieśmiertelnej i wierzył w zmartwychwstanie ciał — podobnie jak faryzeusze i essenczycy. Były to jednak idee pochodzenia irańskiego i greckiego, a nie biblijnego (starotestamentowego). Judaizm ortodoksyjny przyjmował monistyczną koncepcję człowieka, w której nie wyodrębniano duszy substancjalnie różnej od ciała. Nie uznawano też żadnej odpłaty w świecie pozagrobowym. Jahwe nic nie wie o niebie i piekle. Toteż uważano, że wraz ze śmiercią wszystko się kończy.

Natomiast Jezus był przekonany, że trzeciego dnia po swej śmierci zmartwychwstanie do życia wiecznego w jakimś królestwie niebieskim. Powiadomili o tym Piłata arcykapłani i faryzeusze, prosząc o ubezpieczenie grobu. Obawiali się bowiem, że ciało zostanie wykradzione i wtedy powstanie „*obłęd gorszy od pierwszego*" (Mt 27,64). Saduceusze i faryzeusze traktowali Jezusa jako człowieka obłąkanego lub oszusta.

Po drugie — w doktrynie religijnej Jezusa obowiązuje zasada, że uczynki wobec innych ludzi są zarazem uczynkami wobec Boga. Taki sens ma fragment Ewangelii Mateusza o sądzie ostatecznym (Mt 25,21—46). Władysław Witwicki interpretuje go następująco:

„*Syn człowieka bierze do siebie każdy uczynek miłosierny, wyświadczony ludziom biednym i cierpiącym — nawet bez żadnej myśli o jego osobie.(...) Do piekła posyła ludzi oschłych, którzy nie umieją odczuć poniżeń i cierpień drugich ludzi i nie chcą ich łagodzić. W ten sposób oni poniżają Syna Bożego, chociaż o tym nie wiedzą.(...) Bóg Jezus ukrywa się niejako we wszystkich ludziach cierpiących i biednych i odpłaca każdemu jego postępowanie w stosunku do nich. Ono dotyczy właściwie jego własnej osoby, a ludzie biedni są tylko nieświadomym narzędziem, przez które się człowiek nieświadomie zasługuje u Boga albo mu się naraża*".

W pierwszym liście św. Jana podkreśla się, że nie można kochać niewidzialnego Boga, nie kochając bliźniego. Ten kto uważa inaczej jest „*kłamcą*" (1 J 4,20).

Po trzecie — podstawą etyki chrystianistycznej jest zasada niesprzeciwiania się złu. W programowym Kazaniu na Górze, uchodzącym za kodeks moralności chrześcijańskiej, czytamy: „*Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi*". (Mt 5,39). Jezus nakazywał absolutną, bezwarunkową miłość bliźniego. Miłować należy nawet nieprzyjaciół i przebaczać wszystkim naszym winowajcom. Starotestamentowe prawo odwetu (oko za oko, ząb za ząb) zostało w ten sposób zniesione.

Później również św. Paweł wzywał mieszkańców Rzymu, żeby nie odpłacali nikomu złem za zło. „*Nie daj się zwyciężyć złu* — pisał — *ale zło dobrem zwyciężaj*" (Rz 12,21).

Po czwarte — według chrystianizmu szczęście człowieka zależy od stanu ducha i moralności, a nie od wielkości majątku i pozycji społecznej. Podczas kuszenia na pustyni przez złego ducha Jezus stanowczo odrzucił bogactwo, władzę i sławę. A uczniów swoich pytał: „*Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł*" (Mt 16,26).

Za ludzi szczęśliwych (greckie „makarioi", łacińskie „beati") uważał Jezus: ubogich, smutnych, łagodnych, pragnących sprawiedliwości, miłosiernych, czystego serca, wprowadzających pokój, prześladowanych za sprawiedliwość. Ostrzegał zaś bogatych, sytych, wesołych i chwalonych. Bogatemu młodzieńcowi poradził, żeby — jeśli chce osiągnąć żywot wieczny — sprzedał i rozdał ubogim to, co posiada. „*Nikt z was* — uczył — *kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem*" (Łk 14,33). Jego zdaniem, służba Mamonie, bóstwu chciwości i skąpstwa, wyklucza służbę Bogu, czyste sumienie i spokój wewnętrzny. Naprawdę szczęśliwe, moralne i religijne mogą być tylko osoby wolne od trosk związanych z posiadaniem i gromadzeniem majątku. Nie trzeba więc zbytnio troszczyć się o przyszłość doczesną. „*Dosyć ma dzień swojej biedy*" (Mt 6,34).

Po piąte — Jezus uznawał jedynie religijność wyrażającą się w codziennym życiu moralnym. W nauce jego nie ma w zasadzie instytucji Kościoła. Stworzył po prostu zgromadzenie (greckie „ekklesia") wiernych. Był on krytycznie ustosunkowany do zbiorowych i gadatliwych modłów, do rytuałów i hierarchii kapłańskiej. Gdy ktoś zwrócił się do niego ze słowami — „*Nauczycielu dobry*" — usłyszał: „*Czemu nazywasz mnie dobrym? Nikt nie jest dobry, tylko sam Bóg*" (Mk 10,18).

Jeśli chrześcijanie chcieliby rzeczywiście być chrystianistami, to powinni zmienić się wewnętrznie według wymienionych wyżej zasad. Bo taki jest główny sens nauki Jezusa z Nazaretu.

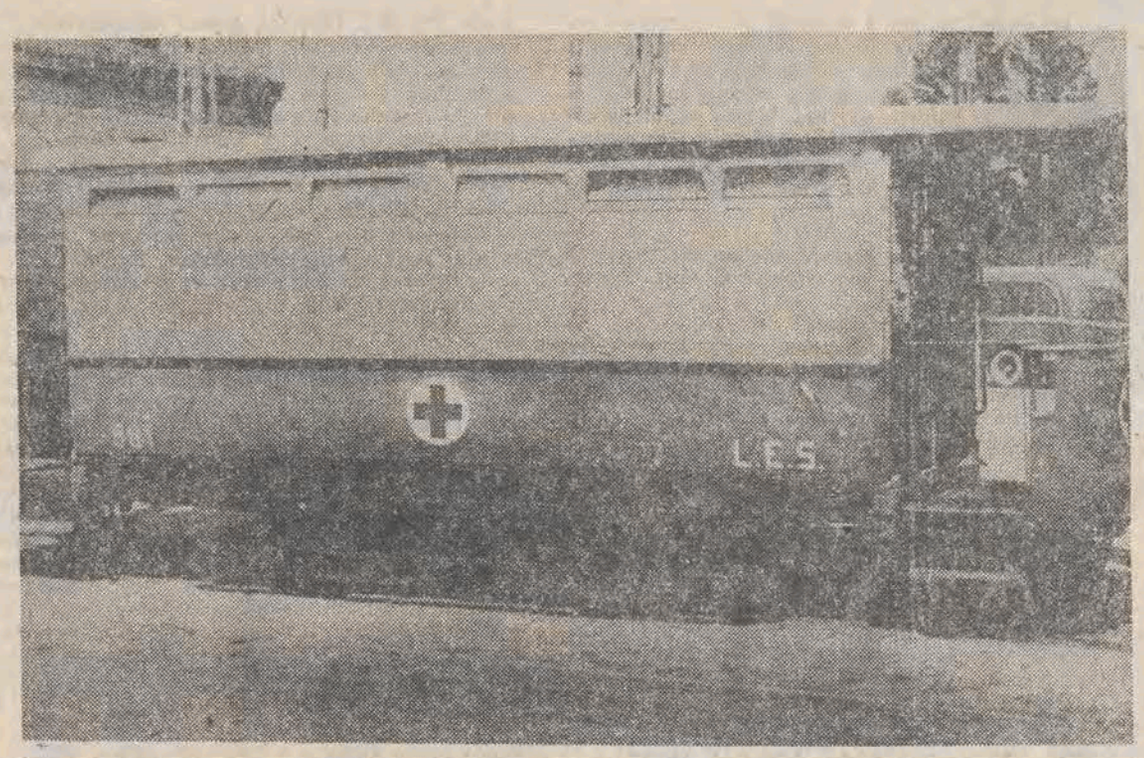

Jeden z łódzkich wagonów sanitarnych. Na ten cel przerobiono wagony sprowadzone z Wiednia

Jednym z faktów, nieznanym szerszemu ogółowi mieszkańców Łodzi, jest historia wagonu tramwajowego używanego przez okupanta wyłącznie do przewozu więźniów. Historia ta jest dlatego nieznana, albowiem wagon ten kursował przede wszystkim w nocy.

Więzienny tramwaj

WOJCIECH ŹRÓDLAK

W okresie okupacji Łodzi było kilka więzień i aresztów. Największym było „Poszerzone więzienie policyjne" („Erweitärtes Polizeigefängnis") na Radogoszczu, w byłej fabryce S. ABBEGO. Dwa następne więzienia formalnie podlegały policji, ale faktycznie nadzorowała je łódzka placówka gestapo, były to: więzienie przy ul. Sterlinga 16 (wówczas Robert Kochstrasse) oraz więzienie dla kobiet przy ul. Gdańskiej 13 (wówczas Danzigerstrasse). Łódzka placówka policji kryminalnej („Kripo") posiadała więzienie przy ul. Kilińskiego 152 (wówczas Buschlinie). Na ul. Kraszewskiego 1/5 (wówczas Freiburgerstrasse), znajdowało się więzienie wojskowe.

Hitlerowski wymiar sprawiedliwości dysponował dwoma aresztami: przy ul. Kopernika 29 (wówczas Friedrich Gosslerstrasse) oraz aresztem śledczym dla kobiet przy ul. Teresy 6 (wówczas Senkeweg 6). Gestapo w podziemiach swojej siedziby przy ul. 19 Stycznia (wówczas Gardestrasse 7) również posiadało areszt.

Prawdopodobnie w 1942 r. w warsztatach miejskiego przedsiębiorstwa tramwajowego („Litzmannstadter Elektrische Strassenbahn" — LES) przebudowano jeden z jego wagonów silnikowych typu „Herbrandt U-107c" na wagon więzienny. Wstawiono wówczas zamiast szyb w oknach grubą dyktę, również niewielkie okienka w drzwiach wejściowych na pomosty zostały zaślepione w ten sam sposób. Już wcześniej w drzwiach, na wysokości piersi, były umieszczone maleńkie okienka zwane „lufzug". Wprowadzili je Niemcy we wszystkich wagonach tramwajowych, aby konduktor nie musiał otwierać całych drzwi w celu pobrania opłaty za przejazd od pasażerów. W ten sposób, w nocy, nie widać było światła z wnętrza wagonu w związku z przepisami o zaciemnieniu miasta. W środku były ławki biegnące wdłuż okien, tak, że siedziało się twarzą do środka wagonu. Wagon był pomalowany na kolor ciemnozielony. Na burcie miał skrót nazwy przedsiębiorstwa: LES.

Tramwajarze doskonale orientowali się w przeznaczeniu tego wagonu, szczególnie ci zatrudnieni w zajezdni przy ul. Tramwajowej, ale z oczywistych przyczyn dzielenie się tą informacją w szerszym gronie było niebezpieczne. Po wojnie zaś, wobec wielu innych okropności, jakie popełnili hitlerowcy, ten fakt uległ szybko zapomnieniu, chociaż żyją jeszcze ci, którzy prowadzili ten tramwaj. Jednym z nich był Czesław Kraszewski, dziś emeryt MPK.

2.

Pracę „na tramwajach" rozpoczął 30 sierpnia 1941, mając wówczas 21 lat, po likwidacji biura w którym uprzednio pracował. Został przeszkolony w zawodzie konduktora oraz motorniczego i następnie w zależności od potrzeb prowadził tramwaje lub sprzedawał bilety. Po raz pierwszy zetknął się z tym wagonem jesienią 1943 r. Posłuchajmy jego wspomnień:

— *Do prowadzenia tego wagonu początkowo dobierano wyłącznie motorniczych-Niemców, ale później jak alianci zaczęli się im dobierać do skóry na frontach co rusz któryś był powoływany do wojska. Koniec końców zaczęli prowadzić ten wagon Polacy, z tym, że dobierano tych, którzy w miarę dobrze znali język niemiecki. Prawdopodobnie dlatego, żeby konwojenci więźniów mogli się porozumieć z motorniczym.*

Razem ze mną wagon ten prowadziło kilku innych kolegów. Ilu? Nie pamiętam. Wagon ten dostawało się w czasie „rezerw", kiedy była potrzeba. Ile razy prowadziłem ten tramwaj nie pamiętam, ale często.

Obsługę wagonu stanowiłem ja, jako motorniczy oraz 2—3, czasem więcej, esesmanów. Policjanci nigdy nie byli używani do konwojowania, przynajmniej jak ja jeździłem. Byli oni najczęściej uzbrojeni w pistolety, ale nieraz mieli karabiny. Stali na przednim i tylnym pomoście i obserwowali więźniów przez wzierniki w drzwiach („luftzugi").

Jeździliśmy różnie, na przykład jechałem pod więzienie na Sterlinga, zabrałem 3—4, następnie podjechałem do więzienia kobiecego na Teresy, ale nieraz zabierałem stamtąd również mężczyzn. Dalej pojechałem na Radogoszcz, zabrałem 5—6 osób i lewym torem cofałem się na krańcówkę w Julianowie. Tam zakręcałem we właściwym kierunku i jechałem na Kopernika do więzienia. Tam dosadzano znowu 2—3 więźniów i wiozłem wszystkich na Dworzec Kaliski. Tu pod obstawą wyprowadzano ich na peron do pociągu. Te trasy zmieniały się za każdym razem, w zależności od ich potrzeb.

Gdy wiozłem więźniów na Radogoszcz, to wysadzałem ich na ul. Zgierskiej na wysokości wysokiego budynku. Tam w murze znajdowała się żelazna brama. W takich sytuacjach konwojenci tramwaju i wachmani z tego więzienia tworzyli szpaler od tramwaju do bramy i bijąc przepędzali więźniów. Więźniowie, którzy byli wyprowadzani z Radogoszcza wyglądali na bardzo słabych. Poruszali się wolno, z trudnością. Podobnie załadowywano lub wyładowywano więźniów w innych więzieniach, to znaczy ja stawałem naprzeciwko bramy, Niemcy robili szpaler i pędzili więźniów.

Ci, z nas, którzy jeździli tym tramwajem, nie byli związani z żadną organizacją podziemną, a przynajmniej ja o tym nie wiedziałem, ale byliśmy tak zorganizowani, że jak któryś z nas dostawał rozkaz wyjazdu tym tramwajem, to inni dawali mu swoje jedzenie, które kładliśmy do skrzyń z piaskiem znajdujących się wewnątrz wagonów, pod siedzeniami. Gdy wracałem z takich jazd, jedzenia tego nigdy już nie było, pomimo tego, że specjalnie nie miałem okazji powiedzieć tym ludziom, gdzie się ono znajduje. Czasem udawało mi się to na migi. W zamian w tychże piaskownicach znajdowałem kartki (grypsy) z adresami ich rodzin. Były na tych kartkach napisane różne rzeczy, najczęściej, że wyjeżdża, ale nie wie dokąd. Kartki te po pracy najczęściej rozwoziła moja matka.

Woziłem również jeńców rosyjskich z Dworca Kaliskiego do obozu przy ul. Piotrkowskiej przy Świerczewskiego, przy obecnej fabryce „Olimpia". Tam był taki duży obóz najpierw dla jeńców rosyjskich, a później dla angielskich. Do tych celów Niemcy używali normalnych wagonów. Pamiętam, że raz prowadziłem silnikowy z doczepką wraz ze Zdzisławem Mikołajczykiem. Ja rzuciłem Rosjanom paczkę papierosów, której Niemcy nie zauważyli, a później po mnie rzucił Mikołajczyk i to Niemcy zauważyli. Za to wsadzili go do więzienia na 3 miesiące.

Pamiętam, że raz jechałem normalnym kursem i do wagonu silnikowego, który był przeznaczony wyłącznie dla Niemców wsiadł konwój z Anglikiem. Był on elegancko ubrany i zauważyłem, że pogardliwie odnosi się do Niemców. Takie przypadki zdarzały mi się często. Woziłem tych Anglików na różnych odcinkach w mieście. Gdzie i po co ich wozili, tego nie wiem.

Raz udało mi się pomóc jednemu więźniowi w ucieczce, ale było to w normalnym, kursowym pociągu. Jechałem z Chojen i na przystanku na ul. Kilińskiego przy Przybyszewskiego wsiadł na tylny pomost wagonu silnikowego żandarm z więźniem, a z przodu wsiadła kobieta, która poprosiła, żebym jak usłyszę pomiędzy przystankami sygnał „stój" nie zatrzymywał się. To ja jej na to, że mogą się mnie później czepiać, ale poradziłem jej, żeby ktoś przytrzymał linkę dzwonka (dzwonki były ręczne, uruchamiane przy pomocy linki biegnącej przez cały tramwaj) wówczas pomimo dawanych mi sygnałów przez konduktora, dzwonek będzie u mnie głuchy.

Wjechałem na odcinek pomiędzy obecną ulicą 8-go Marca a Tylną i ten więzień rzeczywiście uciekł, a ja zatrzymałem się dopiero przy więzieniu na Kilińskiego, bo tam był dopiero przystanek. Oczywiście w tym czasie, tamci szarpali na tylnym pomoście za linkę dzwonka, ale jak ją ktoś trzymał wewnątrz wagonu, to u mnie on nie zadzwonił. Wezwano mnie w jakiś czas potem na policję, na Kilińskiego, ale jak im powiedziałem jak było, a oni to sprawdzili, to mnie puścili. Był to prawdopodobnie rok 1943. Kim był ten aresztowany i za co nie wiem.

Fakt przewożenia tramwajem więziennym potwierdzają niektórzy byli więźniowie Radogoszcza w swoich zeznaniach złożonych w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi — Instytut Pamięci Narodowej.

3.

Do przewożenia więźniów hitlerowcy używali również zwykłych wagonów tramwajowych. Wspomina o tym na przykład Henryk Asendrych, w tym czasie motorniczy II zajezdni przy ul. Dąbrowskiego:

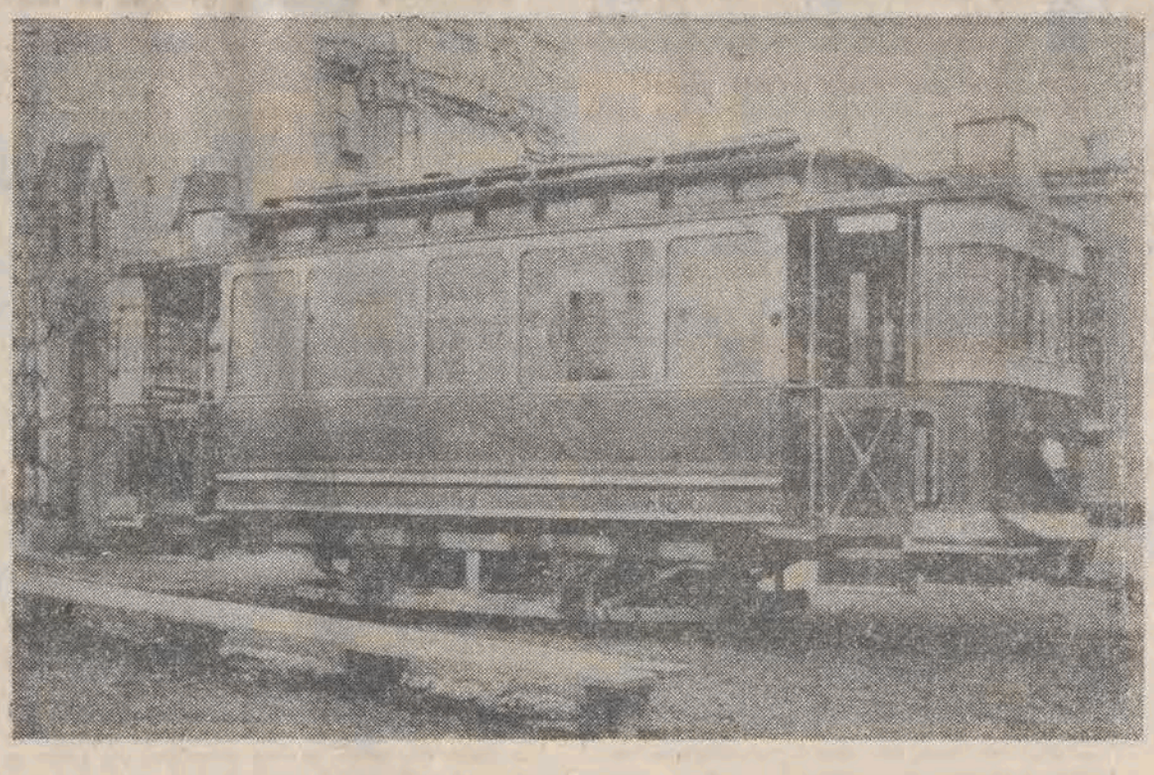

Podobnego typu był „wagon więzienny"

—(...) *było to w okresie letnim w 1940 lub w 1941 roku. Otrzymałem polecenie od kierownika zajezdni wyjechania wagonem służbowym do przystanku obok więzienia w Radogoszczu. Gdy zajechałem, wachmani z Radogoszcza ustawili się w dwu szeregach, otworzyli bramę od więzienia i kazali więźniom biec do wagonu tramwajowego. Wachmani ci bili więźniów kijami. Po zajęciu miejsca w wagonach, wachmani z pistoletami maszynowymi pilnowali więźniów. Nie wiem, ilu było tych wachmanów, ponieważ nie wolno mi było się oglądać do tyłu. Zawiozłem więźniów do lasu łućmierskiego. Nie dowiozłem ich jednak do przystanku, ale stanąłem przy lesie. Po wyprowadzeniu więźniów z wagonu polecono mi natychmiast odjechać w kierunku Łodzi. Co się z tymi więźniami stało, tego nie wiem.*

Obecnie wiemy już, na podstawie śledztwa prowadzonego przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, że lasy łućmierskie były miejscem masowych egzekucji mieszkańców naszego miasta.

Wagonami tramwajowymi przewożono również w czasie całego okresu okupacji grupy Polaków zatrudnionych przymusowo przy wszelkiego rodzaju pracach.

4.

Począwszy — prawdopodobnie — od drugiej połowy 1942 r. zaczęły kursować po ulicach naszego miasta specjalne, oznaczone czerwonym krzyżem, wagony sanitarne. W sumie było ich sześć: dwa silnikowe i cztery doczepki, pochodziły aż z Wiednia, gdzie dosłownie wagony te wyciągnięto ze złomu. W warsztatach tramwajowych przy ul. Tramwajowej (wówczas zwanej Liststrasse) przebudowano je na sanitarki. Wewnątrz każdy z tych wagonów mieścił, na specjalnych stelażach, cztery nosze.

I znowu oddajmy głos Czesławowi Kraszewskiemu, który jeździł również i tymi wagonami:

— *Przewożono nimi żołnierzy niemieckich z koszar na pl. 9 Maja* (wówczas Blücher platz) *do szpitala wojskowego przy ul. Żeromskiego* (wówczas Ludendorfstrasse). *Na teren tego szpitala doprowadzone były wówczas szyny, które jeszcze w chwili obecnej można zobaczyć w bramie tego szpitala. Woziłem również tych żołnierzy ze szpitala przy ul. Żeromskiego do szpitala w Pabianicach.*

Szpital ten znajdował się w przekształconym na ten cel przedwojennym Gimnazjum Żeńskim im. Królowej Jadwigi (dziś II LO) przy ul. Pułaskiego 29.

W normalnym ruchu miejskim zawsze wagon pierwszy, motorowy, był „Nur für Deutsche", Polacy mogli jeździć tylko w doczepkach. W przypadku, jeżeli na danej linii kursował wyłącznie wagon silnikowy, wówczas pierwsza połowa wagonu była przeznaczona dla Niemców, a druga dla Polaków. Obie połowy były rozdzielone od siebie poprzeczką, czy też łańcuchem, przeciągniętym w połowie długości wagonu, na którym, ewentualnie u sufitu, wisiała tabliczka informacyjna ze stosownym napisem. Natomiast, na zewnątrz łódzkie wagony nie były specjalnie oznakowane: „Nur für Deutsche" tak jak warszawskie, co najwyżej nad wejściami do takiego wagonu były niewielkie tabliczki, że jest on przeznaczony tylko dla „panów". Szczegółowo te kwestie, nie tylko w odniesieniu do tramwajów, regulowały specjalne przepisy *„o rozdzieleniu Polaków od Niemców"*.

Fakt ten nieco komplikował korzystanie z miejskiej komunikacji, ale jednocześnie sprzyjał w sposób niezaplanowany przez „prawodawców" takim oto zachowaniom — (z pisma skierowanego przez Prezydenta Policji w Łodzi do dyrekcji miejskich tramwajów, z dn. 18 lutego 1941 roku): *W ostatnim czasie funkcjonariusze policji, przydzieleni do nadzoru nad komunikacją miejską informowali nas o incydentach, wobec których, jeśli będą się one powtarzać, należy przedsięwziąć ostrzejsze środki.*

Stwierdzono mianowicie, że pasażerowie jeżdżący w drugich i trzecich wagonach, a więc bez wątpienia Polacy, wyrzucają niedopałki papierosów na policjantów kierujących ruchem na skrzyżowaniach ulic w momencie, gdy tramwaj przejeżdża przez skrzyżowanie. Co więcej, doniesiono nam, że polscy pasażerowie naszych tramwai plują na kierujących ruchem policjantów i tylko szybki uskok w bok może ich uchronić przed opluciem. Sprawą nie podlegającą dyskusji jest fakt, że przeciw tak zuchwałemu, czy wręcz prowokacyjnemu, okazywaniu wrogości wobec Niemców, trzeba podjąć jak najostrzejsze środki...

Wykorzystywano również tramwaje do celów walki podziemnej. Wspomina Stanisław Madeja wówczas pracownik „Zellgarnu" na Widzewie (obecnie Zakłady Włókien Sztucznych „Anilana"):

— *Opracowaliśmy konstrukcję specjalnych potrójnych kolców do przebijania opon. Taki kolec, jakkolwiek by nie upadł, zawsze sterczał jednym szpicem do góry. Gwardziści rozrzucali je dyskretnie po ulicach z ostatniego pomostu tramwajowego. W starych typach tramwajów łódzkich pomosty były otwarte, miały tylko balustradę i daszek, co bardzo ułatwiało nam zadanie. Nieraz o świcie, idąc do pracy, widzieliśmy długie kolumny samochodów wojskowych z podziurawionymi oponami, stojące przy krawężnikach.*

P.S. Ktokolwiek mógłby wzbogacić informacje na temat wagonu więziennego oraz wagonów sanitarnych o nowe szczegóły prosimy o skontaktowanie się z Muzeum Martyrologii i Walki na Radogoszczu. Muzeum poszukuje również ludzi bądź istotnych informacji na temat specjalnej komunikacji tramwajowej w łódzkim getcie. Proszę tego nie mylić z tramwajem „aryjskim" przejeżdżającym przez to getto ulicami Franciszkańską i Wojska Polskiego do cmentarzy na Dołach.

3892-A

Z rynku

Okres ostatni był trochę nietypowy — na rynku bowiem panował wzmożony, przedświąteczny ruch, kiedy to nie tylko kupujemy więcej, ale i struktura zakupów ulega pewnym zmianom. Określenie „nietypowy" jest zresztą niezbyt odpowiednie w tym wypadku, bowiem święta wypadają zawsze dwa razy w roku, a w latach ostatnich zauważyć można kształtującą się coraz wyraźniej nową prawidłowość — zwiększone zakupy, zwłaszcza towarów spożywczych, nie tylko przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, lecz także przed świętami państwowymi, zwłaszcza, jeśli wypadają tuż przed lub po wolnej sobocie. Handel miał więc możliwość „zakupowy szczyt" przewidzieć i odpowiednio się do niego przygotować.

Możliwość tę wykorzystał — choć ... nie w pełni. A z drugiej strony — do tłoku i bałaganu w sklepach przyczyniali się także i klienci.

Pojawiły się długo oczekiwane i zapowiadane cytryny — po 600 zł za kilogram. Nawiasem mówiąc Łódź znalazła się na pozycji uprzywilejowanej, bowiem w niedalekiej Warszawie takie same cytryny sprzedawano w państwowych sklepach po 800 zł.

Pierwszego dnia po cytrynki ustawiały się spore kolejki, a potem można już było te owoce kupić bez specjalnych kłopotów. W każdym razie w centrum miasta. W sklepach osiedlowych bowiem przed stoiskami — przeważnie cukierniczymi — na których je sprzedawano kłębiły się tłumy ludzi. Czyżby jednak spora część klientów po prostu lubiła kolejki?

Z zakupami podstawowych artykułów spożywczych przed świętami w zasadzie kłopotów nie było, nawet i chleb tym razem trafiał do sklepów w miarę bezawaryjnie, a konsumenci posłuchali apeli o ograniczenie zakupów wierząc, że świeże pieczywo będzie dostarczone do sklepów w sobotę po świętach, i faktycznie było — nie tylko zresztą pieczywo.

Trudno zrozumieć decyzję o dostarczeniu do sklepów w tym dniu takich „rarytasów" jak pomarańcze, kawa z Francji i RFN po 6000 zł za kilogram (a więc o 2—3 tys. taniej niż w prywatnych sklepach) oraz dawno nie widziany ryż. Tym sposobem w dniu, który mógł być spokojnym przedłużeniem świąt w sklepach kłębiły się ogromne tłumy i dochodziło do kolejkowych ekscesów.

Mimo tych drobnych potknięć handel przed świętami zasłużył na ocenę dobrą. Gorzej było przed Sylwestrem. W niektórych sklepach zaczynało brakować podstawowych często kupowanych w tym czasie artykułów, takich jak majonez czy marynaty, bardzo źle było z zaopatrzeniem w warzywa na tradycyjnie podawaną gościom sałatkę a już zupełne pandemonium panowało w sklepach z alkoholem.

Wiadomo, że picie wódki jest zwyczajem brzydkim, niemniej jednak zdecydowana większość dorosłych mieszkańców Łodzi nie wyobraża sobie bezalkoholowego Sylwestra — przy czym są to najnormalniejsi ludzie, wcale nie nałogowe pijaki, których warto by z okazji końca roku ukarać kilometrową kolejką. Nie nadążał transport, wybór alkoholi był żenująco ubogi, a dolary oferowane przed sklepami Pewexu, w których sprzedawany jest polski alkohol skoczyły do ponad 1000 zł. Przed nami karnawał — okres kiedy spożycie alkoholu będzie większe niż zazwyczaj, warto więc pomyśleć o usprawnieniu handlu w tej branży a zwłaszcza o poprawie zaopatrzenia, tak aby amatorzy dobrych win czy brandy nie musieli zastępczo kupować „stołowej" lub ananasa w zalewie.

Nie spisał się przed Sylwestrem także handel towarami bardziej trwałego użytku — zwłaszcza przeznaczonymi dla pań. Mało przezorne, które nie zamówiły wieczorowej sukni u krawcowej w październiku (później już żaden punkt ani prywatna krawcowa nie podjęły się uszycia czegokolwiek przed Sylwestrem) skazane były na wystąpienie w ubiegłorocznej toalecie.

„Central" ze strojów wieczorowych oferował jedynie nieładne atłasowe ubranka, w „Juwentusie" mogły coś niecoś kupić tylko panie bardzo młode, w wielu innych sklepach z odzieżą nie było nic, co świadczyłoby o tym, że właśnie rozpoczyna się okres zabaw, balów i przyjęć.

Pozostały oczywiście butiki — gdzie do ostatnich godzin otwarcia w starym roku można było wybrać ładną i modną kreację — nie tańszą jednak niż 25 tys. zł, a w jednym z nich dała się widzieć (i zapewne wisi tam do tej pory) piękna suknia za ...80 tys. zł.

Nie lepiej mieli panowie — dla których brakowało garniturów, nie tylko wieczorowych, ale nawet tzw. na wszystkie okazje, ale ten brak występuje na rynku od kilkunastu już miesięcy i nic nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie miało być lepiej.

Zaopatrzenie w koszule jest natomiast dobre — ilościowo, bowiem asortyment pozostawia wiele do życzenia. Jedyne naprawdę ładne koszule obejrzeć (nie kupić) można w patronackim sklepie „Wólczanki" przy Placu Wolności. Na jednej z dwu wystaw zakład pokazuje, co robić potrafi i co podobno ma znaleźć się w dostawach w 1987 roku. Pytane o dokładniejszy termin dostaw ekspedientki nie potrafią jednak powiedzieć kiedy to nastąpi.

Świąteczno-zakupowe szaleństwo mamy już jednak za sobą, teraz wszystko wraca do codzienności — oby coraz lepszej.

AGATA

NA PIERWSZY RZUT OKA

Gwar, dużo ludzi, jeszcze więcej towaru, pieniądze przechodzą z rąk do rąk, kupić, ale nie stracić, sprzedać, ale i zarobić. To właśnie jest bazar koło „Uniwersalu", popularny Górniak.

Wyszłam z redakcji i zaczęłam się zastanawiać, jak napisać reportaż z Górniaka. Niespodziewanie zobaczyłam kolegę. Nie widzieliśmy się od bardzo dawna, toteż przystanęłam i zaczęliśmy rozmawiać. Gdy powiedziałam mu o reportażu, roześmiał się.

— *Mam kumpla, który jest szefem szajki zegarkowej.*

— Żartujesz!

— *Oczywiście, że żartuję, ale on rzeczywiście robi jakieś interesy na Górniaku. Jeśli chcesz, mogę cię z nim poznać.*

Oczywiście, że chciałam.

Kumpel był bardzo sympatyczny. Zgodził się opowiedzieć mi jakieś ciekawostki, uchylić rąbka tajemnicy. Umówiliśmy się na następny dzień, no i... nie przyszedł. Przestraszył się? Cóż, pewnie mu coś „wypadło".

W sobotę na Górniaku jest tłoczno i dzieją się dziwne rzeczy

Diabeł na Górniaku?

ZOFIA KĘDZIORA

Na placu, gdzie odbywa się handel, od razu można się zorientować, że istnieją tu określone „strefy wpływów". Przed halą, tuż przy ulicy Piotrkowskiej sprzedawane są spodnie z teksasu, trochę dalej zegarki elektroniczne, wzdłuż hali królują kasety, płyty, dezodoranty, czekolady i inne przeróżne rzeczy, które rodacy przywożą z zagranicy, a z tyłu hali sukienki, spódnice, spodnie i buty zrobione przez rzemieślników.

To jeszcze nie wszystko. Jest też specjalne miejsce, w którym gromadzą się sprzedający futra i kożuchy, a gdzie indziej można znaleźć wymarzoną książkę.

Oczywiście bazar nie byłby bazarem, gdyby nie było za nim warzyw, owoców, nawet cytryn, pomarańczy, bananów, a poza tym gęsi, kur, indyków, a przed świętami choinek. Każda taka strefa jest bardzo specyficzna, ma swoje własne zwyczaje i prawa. Na Górniaku bardzo często pojawia się też grupa Cyganek.

TO MUSIAŁ BYĆ DIABEŁ

Cyganki są chyba najbardziej operatywne i w praktyce realizują zasadę „frontem do klienta". Gdy jedna z nich złapała mnie za rękaw kurtki, to myślałam, że już na zawsze zostanie jej w ręce.

— *Powróżę pani, karta prawdę powie!*

— Dziękuję — odpowiedziałam, ale nie udało mi się jej wyminąć.

— *Niech się pani nie boi, przecież nie jesteśmy w lesie, niech się pani nie boi. Powiem imię ukochanego, jak mi pani położy tu na karcie dwa złote.*

Dwa złote nie majątek, położyłam.

Żadnego imienia nie usłyszałam, ale z przekładanych kart dowiedziałam się, że jestem dobrego usposobienia, nerwowa, ale na pięć minut. Poza tym jest wokół mnie dwóch mężczyzn, ciemny i jasny.

— *Którego z nich pani woli?* — zaskoczyła mnie pytaniem.

Jak to? — pomyślałam — przecież to ona miała wszystko wiedzieć. Zaraz jednak doszłam do wniosku, że widocznie jestem drobiazgowa.

— Jasnego — odpowiedziałam.

— *To dobrze, bo ciemny nieszczery. Niech pani wyciągnie kartę i chuchnie na nią.*

Wyciągnęłam króla pik. Wydawało mi się, że ta karta może mieć coś wspólnego z brunetem, ale okazało się, że nie, bo wróżka wyczytała z niej, że blondyn ma wspaniały charakter, a wszystko jest na jak najlepszej drodze. Ciekawe.

Chciałam już odejść, ale Cyganka zaczęła tymczasem „odczyniać".

— *Daj mi moja złociutka najmniejszy pieniążek, jaki masz w portfelu.*

Wyciągnęłam dziesięć groszy. Cyganka odczyniła przeciw wszelkiemu złemu, które mogłoby mnie spotkać. Dziesięć groszy otrzymałam z powrotem. Następnie poprosiła o największy pieniądz, jaki miałam przy sobie. Wyciągnęłam z portfela dwieście złotych. Odczyniała podobnie jak z dziesięciogroszówką, ale dwusetkę tym razem trzymała w zamkniętej dłoni.

— *Czy żałowałabyś dwustu złotych, żeby twoje życzenia się spełniły?* — zapytała chytrze.

— Nie, ale te dwie stówy są mi potrzebne.

Widocznie nie była to prawidłowa odpowiedź, bo Cyganka powiedziała groźnie:

— *Uważaj, bo tak zrobię, że wszystko sprawdzi się na odwrót, a twoje pieniądze diabeł porwie. O! już je porwał.*

Pokazała mi otwartą dłoń, nie wiem, jak to się stało, przecież ani na chwilę nie spuszczałam z oczu jej ręki, ale pieniędzy w niej nie było, zniknęły. Oniemiałam. Pomyślałam jednak, że nic nie da awanturowanie się i tak nie dostanę pieniędzy z powrotem. Rozstałyśmy się zresztą obie zadowolone. Ona, bo w trzy minuty zyskała dwieście złotych i klientka nie protestowała zbyt mocno, a ja, bo nie straciłam więcej, a za dwieście złotych nabrałam doświadczenia, myślę, że na całe życie. Poza tym mogłam „wróżki" nie słuchać, toteż mam za swoje. Zostałam okradziona i dobrze mi tak. Sądzę jednak, że ta Cyganka czuła się zbyt bezpiecznie i bezkarnie.

Na marginesie tej mojej niemiłej przygody dodam, iż zauważyłam niedawno, że w łódzkich lokalach grasuje kapela cygańska. Taktyka jaką sobie obrała jest bardzo sprytna. Grupa Cyganów wchodzi do lokalu (bez sprzeciwu obsługi), stają nad siedzącymi przy stolikach gośćmi i zaczynają grać. Muzyka jest mało piękna i tak głośna, że uniemożliwia rozmowę, więc w końcu zniecierpliwieni goście dają im jakieś pieniądze, żeby sobie poszli. Manewr ten powtarzany jest przy kolejnym stoliku. Okazuje się, że na natręctwie też można zarobić.

COŚ DLA DUSZY, COŚ DLA CIAŁA

Na Górniaku jest wszystko, czego dusza zapragnie. Czego zatem dusza pragnie? Oczywiście najlepszą strawę duchową dostarcza książka, znajdą się więc na Górniaku na przykład wszystkie tomy wydanych ostatnio dzieł zebranych Witolda Gombrowicza za dwadzieścia dwa tysiące złotych. Na książki można wydać cały majątek, ale bazarowe ceny teraz już chyba nie szokują tak bardzo. Niestety, atrakcyjne i nieuchwytne w księgarni tytuły są na bazarze bardzo drogie.

Rozbawił mnie widok na jednym ze straganów, gdzie tuż obok „Ani z Zielonego Wzgórza" i „Ani z Avonlea" leżały „świerszczyki". Cóż, rodzinę trzeba zaopatrzyć kompleksowo.

Powiew zachodniej kultury dopełniają jeszcze płyty i wideo-kasety na przykład: „Okrutna dama", „Przygody kardynała Brauna" lub „Skazana na miłość".

Nie ma, podobno, przyjemniejszego uczucia, gdy mamy co na siebie włożyć, szczególnie w tym okresie karnawałowo-świątecznym. Na Górniaku, w budkach za halą nie brakuje spódnic, bluzek, sukienek, szkoda tylko, że większość jest taka brzydka i taka droga, choć jeszcze droższe są rzeczy dostarczane przez prywatnych importerów z zagranicy, głównie z Węgier. Wiadomo jednak, że trzeba płacić, gdy chce się ładnie wyglądać.

Jeśli ktoś poszukuje czegoś cieplejszego, kurtki lub płaszcza, musi zajrzeć do budek na tyłach bazaru, bo tam znalazło swoje miejsce krawiectwo ciężkie. Nie zaszkodzi, gdy się trochę potargujemy.

— Kurtka nie najgorsza, ale żeby tak pan spuścił pięćset złotych.

— *Najwyżej stówę. Jaką dobrą podszewkę ma pani tutaj, gdzie indziej, jak są takie fifroki wszyte to można spuszczać. No, ale może dwie stówy i na tym koniec.*

Przy większości budek są nawet dla wygody klienta duże lustra. Zupełnie inaczej kupuje się na Górniaku futro, można przejrzeć się tylko w oczach osoby, która towarzyszy nam przy zakupach. Ktoś powiedział, że to nieważne, jak człowiek w futrze wygląda, najważniejsze, że je ma. Złośliwość, ale faktycznie futro czy kożuch kupuje się na tym bazarze trochę mniej wygodnie niż płaszcz.

Są też na Górniaku stragany z wyrobami z włóczki. Można tam na własne oczy zobaczyć, w jaki sposób z czapki włóczkowej powstaje moherowa. Nic prostszego, kilka mocnych pociągnięć metalową szczotką i włos musi się pojawić.

MOŻE SPODENKI DLA PANI?

Ubrania z teksasu znów są szalenie modne i na Górniaku można również je nabyć. Przeważają oczywiście spodnie, choć spódnic i kurtek też nie brakuje.

Wydaje się czasem, że sprzedawana jest jedna lub dwie tylko pary spodni, gdy tymczasem w towarze można nawet poprzebierać. Jeśli nie ma akurat pożądanego fasonu czy rozmiaru, zdarza się, że sprzedający odchodzi z klientem na bok, każe mu czekać i po kilku minutach wraca z towarem. Pozostaje jeszcze tylko przymierzenie spodni, a wymaga to nie lada zręczności, aby stojąc na jednej nodze tak balansować, by nie utaplać w błocie ani kupowanych spodni ani własnej garderoby.

Na ogół handlujący tym samym towarem są w doskonałych stosunkach, a może nawet razem prowadzą interesy. Widziałam jednak, jak chłopak oglądał kurtkę za 26 tys. i już wyciągał pieniądze żeby zapłacić, gdy nagle dwie ze sprzedających przy akompaniamencie przekleństw zaczęły sobie tę kurtkę wyrywać.

— *Ty zdziro, oddawaj, to nie twoje!*

— *A ty jesteś k..., niedoczekanie twoje.*

W szamotaninie zwyciężyła wyższa i kurtka znalazła się w jej rękach. Wobec tego mniejsza, która nie chciała dopuścić, aby jej przeciwniczka zainkasowała pieniądze wrzasnęła do chłopaka:

— *Niech pan nie bierze tej kurtki, ma zepsuty zamek, brakuje mu metalowego zakończenia.*

— *Nieprawda, wszystko jest w porządku, nie ma metalowego, ale za to ma plastykowy.*

Rzeczywiście tak było, toteż chłopak dał jej pieniądze i szybko wycofał się, a tymczasem obie kobiety w dosadnych słowach robiły rozrachunek, nie zapominając o swoich mężach i rodzinie.

Odeszłam, nie warto było tego słuchać. Była to jedna z wielu pyskówek, jakie mogą zdarzyć się przy interesach.

KOMU CHOINKĘ, KOMU ZEZWOLENIE?

W okresie przedświątecznym wiele osób właśnie na Górniaku kupowało tradycyjne, wigilijne drzewko. Można było wybierać i przebierać: nie, to jest jakieś za rzadkie, tamto też nie, ma taki łysy wierzchołek, to jest ładne, bo ma tak równomiernie rozłożone gałęzie, ale żeby było trochę wyższe.

— *Co! dwa tysiące za tego świerka, też coś!*

Ceny nie były zbyt zachęcające, ale trudno, jak tradycja, to tradycja.

Wśród sprzedających pojawiała się od czasu do czasu inspekcja Straży Ochrony Przyrody. Handlujący choinkami musieli mieć kilka dokumentów, w tym: zezwolenie z Wydziału Handlu i Usług, świadectwo pochodzenia, jeśli choinki były z prywatnego lasu lub asygnatę z nadleśnictwa, jeśli pochodziły z lasu państwowego, a poza tym drzewka powinny być cechowane. W czasie kontroli w weekend przedświąteczny tylko jedna osoba sprzedająca choinki na Placu Barlickiego miała wymagany komplet dokumentów, a handlujący gałęziami bardzo często robili to zupełnie nielegalnie. Dobrze było, jeśli sprzedający drzewka mieli jakikolwiek dowód, że nie zostały one ukradzione z lasu.

— *Na Górniaku* — powiedział mi inspektor ze Straży Ochrony Przyrody — *było jako tako w tym roku, a w każdym razie lepiej niż w ubiegłych latach. Ludzie mają już teraz świadomość, że nie można przyjechać do lasu i samemu wyciąć drzewka na święta.*

Co grozi za sprzedaż bez zezwolenia?

Gdy inspektor zorientuje się, że sprzedaż jest nielegalna, konfiskuje towar, a poza tym ma również prawo złożyć wniosek do kolegium o ukaranie. Najczęściej ukarany musi zapłacić grzywnę równą mniej więcej dwukrotnej wartości sprzedawanego towaru oraz pokryć koszty rozprawy. Czy to dużo, czy mało? Zależy dla kogo.

MOŻE WIOSNĄ BĘDZIE LEPIEJ

Sobota jest czymś specjalnym i wyjątkowym na Górniaku. Przychodzi dużo więcej ludzi niż w innych dniach tygodnia. Od rana handel idzie trochę leniwie i ospale, ale napięcie z wolna narasta, przybywa coraz więcej ludzi — w południe już tłum jest taki, że trudno się przecisnąć. Wydaje się, że nawet na dwa razy większej powierzchni byłoby tłoczno.

Bazar na Górniaku ma wprawdzie w tym dniu swojego konkurenta, ale może jest trochę tańszy.

— *Co, czternaście tysięcy za spodenki, to dla pani za drogo, spotkamy się jutro na Zjazdowej, to i za szesnaście pani weźmie.*

Teraz, zimą coraz trudniej wytrzymać niskie temperatury, brodząc po kostki w błocie czy rozmoczonym śniegu. Wszyscy, sprzedający i kupujący, tęsknym wzrokiem patrzą na remontowaną halę. Tam, pod dachem przynajmniej tak nie wiałoby. Niestety, remont hali jeszcze trochę potrwa, a na razie można pocieszyć się, że wiosną będzie lepiej.

ze str. 1

z szefem RUSW. Uważa, że spotkania z wyborcami oraz dyżury poselskie są uciążliwe, absorbujące masę czasu, ale posłowie są po to, żeby przenosić do góry bolączki ludzkie i przekazywać z góry informacje, co się tam robi, ażeby było lepiej. Dlatego poseł przychodzi na dyżury wcześniej, by ludzie nie czekali, i wyrabiając „nadgodziny" stara się wysłuchać każdego, nawet w sprawie wybitej szyby i śmietnika pod oknem, bo są to ludzie starsi, szukający u posła ostatniej deski ratunku. Poza tym Władysław Janecki uczestniczy w pracach Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego w Łodzi, liczącego 13 posłów, a właściwie 12, bo trzynasty został ambasadorem i trudno mu przyjeżdżać z zagranicy na zebrania do Łodzi.

Pewna rencistka w płaszczu bordo, co rusz molestująca posła w sprawie niskich emerytur, za co młodzież usiłowała ją wyszemrać, także podjęła problem komunikacji oświadczając, że kończące o zmroku naukę dzieci z „czternastki", zmęczone, obciążone tornistrami, wędrują po ciemku do Klimkowizny na rubieżach województwa, ponieważ z dworca PKP nie jedzie tam żaden autobus.

Ktoś z sali krzyczał, że autobus nr 4 jest nie wykorzystany, a brunet z twarzą amanta filmowego domagał się kategorycznie przystanku przed „Madro" na Partyzanckiej, bo załogi buntują się na zebraniach, grożąc, iż nie będą biegać 200 m do najbliższego przystanku. Obywatelka „X" postulowała przeniesienie autobusów i karetek pogotowia z ul. Wiejskiej na Zagajnikową, ulicę za gajem drzew, czyli za parkiem Wolności, której ktoś nadał nazwę mniej zwięzłą, ale za to patriotyczną — im. 15 Pułku Piechoty „Wilków". Ta pani mieszka na Wiejskiej i nie lubi, jak się jej do mieszkania wdzierają huki, zgrzyty i kłęby spalin.

Skoro na ulicach tak niebezpiecznie, skonkludował kolejny dyskutant, to należy szybko otworzyć miasteczko ruchu drogowego. Nie tracąc pogody ducha szef PRON wyjaśnił, że była koncepcja zlokalizowania miasteczka w ogródku jordanowskim przy Zielonej Górce, ale upadła ze względu na rosnące tam drzewa, za którymi dzieci ginęłyby z oczu szkolącego je milicjanta. W uzgodnieniu z MO zamierza się utworzyć miasteczko w pobliżu RUSW, tj. na stadionie „Zjednoczonych", w tym również tor cartingowy, nie wiadomo jednak, czy „Zjednoczeni" się zgodzą, no i czy starczy na to milionów.

Z GALERII PODERWAŁ SIĘ ROSŁY BLONDYNEK

I oświadczył, że skoro przewodniczący twierdzi, że młodzież milczy, to on zaraz coś powie. I powiedział, że od ul. Nawrockiego, gdzie dociera komunikacja, ciągnie się aż do lasu na przestrzeni trzech kilometrów ulica 20 Stycznia, gdzie mieszka mnóstwo ludzi i wciąż buduje się domy. Ulica jest zabłocona, nie ma chodników, nie ma autobusu, więc trzeba coś z tym fantem zrobić.

Galeria skwitowała to gromkim aplauzem. Po chwili jednak rozległ się głos rozsądku, należący do człowieka doświadczonego, który oznajmił, że wizytówki miasta nie stanowią witające turystów barany, tylko szalety i dworce. A dworzec PKP jest wizytówką obskurną, sypiącą się ze starości, ratowaną prowizorycznie przed grzybem, zaś dworzec PKS funkcjonuje na ulicy, pod gołym niebem. Ponadto w Pabianicach niezbędne są dwa wiadukty nad torami kolejowymi, bo jak się na szynach rozkraczy towarowy, to w korkach samochodowych grzęzną karetki pogotowia, które nie mogą dojechać do chorego, albo też, co nie daj Boże, umiera w nich transportowany właśnie pacjent...

W świetlicy zawrzało! I w tym momencie wystąpił pan wiceprezydent Andrzej Cymerman, który wkrótce zdominował na tym spotkaniu posła Janeckiego. Nie dlatego, że był przystojniejszy i bardziej elokwentny, albo że nasi posłowie znają tylko sprawy rozpatrywane w macierzystych komisjach. Jako gospodarz znał więcej drobiazgów interesujących obywateli, którymi nie powinien był zajmować się poseł. Wyjaśnił przeto szczegółowo problemy komunikacyjne, uwzględniając budowę wiaduktu i bocznicy do ciepłowni i zapewnił, że Urząd Miejski stara się o zwiększenie taboru autobusowego. Co się zaś tyczy dworców, to Andrzej Cymerman był na naradzie młodych prezydentów w Jaśle, gdzie społeczeństwo samo zbudowało dworzec autobusowy.

Następnie wiceprezydent stwierdził, iż nie należy się gniewać na kury i barany, bo spis rolny wykazał, że w Pabianicach kwitnie rolnictwo, jest nawet parę kóz, a więc to, co się rusza, stanowi rezerwy żywności, ale w sali padło, że on nie ma racji, bo owce pożerają przy drodze trujący ołów, więc pan Cymerman spuścił z tonu i orzekł, że trzeba sypnąć mandaty. Po czym dodał, że aby ułatwić dojazd do baz i magazynów na północy miasta i odciążyć ulicę Karniszewicką, należy zbudować kilometrową drogę, lecz komisja rolnictwa i kółko rolnicze nie pozwalają wykorzystać do tego celu gruntów ornych.

Pracując z rozdwojoną uwagą usłyszałem o wymianie grzejników dla poprawy bilansu ciepła i zauważyłem, jak przez drzwi przeciska się na zewnątrz członek zarządu spółdzielni mieszkaniowej. Miałem zamiar powtórzyć skargi mieszkańców, którzy mówili, że czterdziestu lokatorów zwalnia się z pracy, przy odliczaniu pięciu brakuje i odwołuje się próbę z nowymi grzejnikami na inny dzień. A raz poszła próba bez wiedzy lokatorów i mieszkania przy Dąbrowskiego zalał wrzątek. Przy tym wszystkim weseli chłopcy od grzejników żądają, jeśli ktoś chce coś zmienić, od dwóch do pięciu tysięcy za kawałek rurki w ramach usługi, ale bez pokwitowania. U mnie już ciepło, bo zabrakło żeberek, a panele pojechały traktorem na złom lub na inne budowy, więc zrezygnowałem z zabrania głosu.

Nie ujawniłem się publicznie, gdyż bezpieczniej dla mnie, jeśli mało kto wie, że w Pabianicach mieszka jakiś pisarz. Niech mi w innych miastach przysparzają złej sławy. Gdyby tutaj ktoś utożsamił się z bohaterem którejś z moich książek, to dopiero miałbym się z pyszna. Milczałem słusznie i z tej przyczyny, że w chwilę później doszedł do mnie głos posła Janeckiego, który mówił, że w spółdzielni mieszkaniowej pracują rzetelnie, ale błędy zdarzają się wszędzie, toteż on niczego nie załatwił dotąd w spółdzielni, bo tam obowiązuje kolejność.

Usatysfakcjonowany były prezydent opuszczał świetlicę, wspomagany przez zaprzyjaźnionego mieszkańca, który rozsuwał drzwi, a szef PRON dziwił się z rozbrajającym uśmiechem, że nikt nie wspomniał o wodzie, która czasem dociera tylko do drugiego piętra, częściej zaś kapie z kranów, dzięki czemu przynajmniej ścieki nie są takie stężone. Wiceprezydent Cymerman odparł w podobnym tonie, że najwięcej wody marnuje się przy goleniu, trzeba więc racjonalnie maczać pędzle. Woda nie dociera na piętra, bo znajdujemy się daleko od źródeł. Należy uruchomić nowe ujęcia w pobliżu miasta. Jedno z ujęć zdewastowali rolnicy z sąsiedniego województwa, oczyszczenie z piasku i kamieni będzie kosztować 1 milion. W tym miejscu — orzekł wiceprezydent — warto się zastanowić nad korektą granic między miastem a gminą...

Następnie poseł Janecki odpowiedział na pytania o liczniki do wody i zmiany w podziale administracyjnym kraju. Liczniki stanowią problem ogólnokrajowy, trzeba tylko uruchomić produkcję i instalować. Nie ma mowy o generalnych zmianach w podziale administracyjnym, gdyż pochłonęłoby to miliardy. Będą jednak w przyszłości korekty. Chodzi o jakieś korzystne zmiany na rzecz najmniejszego województwa w Polsce, czyli woj. łódzkiego.

Odetchnąłem z ulgą. Być może nie na próżno kruszyłem kopie o terytorium należne Łodzi.

Galeria zapytała, kiedy skończy się remont kina „Robotnik". Pan Cymerman odrzekł, że jak się skończy, to będzie koniec, na co galeria wrzasnęła: „Uu-uu!". Wiceprezydent powiedział, że młodzież może remontować kino w czynie społecznym. Dziewczyny chciały prać ekran, a chłopcy zająć się kasą.

NA TYM SKOŃCZYŁY SIĘ ŻARTY.

Kędzierzawy blondyn oznajmił, że jeśli pan poseł nie może wydębić w Sejmie pieniędzy dla ubogiego miasta, to trzeba się zastanowić nad faktem, że przemysł niszczy miasto, powinien więc czymś się odpłacać w sensie miastotwórczym. Pabianice posiadają ogromny potencjał przemysłowy, dający dziesiątki miliardów produkcji, lecz obywatel niewiele z tego ma. Może by więc załatwić centralnie, aby część podatków odprowadzanych przez zakłady pracy pozostała w mieście.

Postulat był słuszny, ale poseł Janecki natychmiast wylał na głowy dyskutantów kubeł zimnej wody. PKP i PKS nie zbudują w mieście dworców, bo nie mają pieniędzy. MPK nie puści takiej linii autobusowej, która by w jednym kursie dwukrotnie przekraczała tory kolejowe. A jeśli Pabianiczanom nie podoba się autobus nr 4, to MPK może go zabrać, bo uruchomiła tę linię głównie po to, aby dowozić swych pracowników do bazy.

W województwie łódzkim co czwarty obywatel jest emerytem. Wypłaca się także renty społeczne ludziom, którzy nigdy w życiu nie pracowali. Nie starcza pieniędzy na renty i emerytury. Jeśli doliczyć do tego nasze miliardowe długi, które muszą spłacać zakłady pracy, to nie ma mowy, żeby podatki płacone przez przedsiębiorstwa mogły być wykorzystane na cele gospodarki komunalnej. Zyski — proszę bardzo — ale który zakład odda zyski na cele miasta?

Zebrani rozeszli się w rozterce. Niektórzy prawdopodobnie z myślą, że jeśli sami nie wezmą się do roboty, to splendoru i dostatku nie przysporzą miastu ani marzenia o wiaduktach i czerwonych autobusach, ani likwidacja baranów na rogatkach.

RYSZARD BINKOWSKI

Wizytówka z baranami

Młodzieżowa galeria zaszwargotała cichutko, czy ten poseł reprezentuje za granicą łódzkich wyborców, lecz nie doczekała się odpowiedzi, bo pytanie było niewyraźne, w związku z czym przewodniczący Zbigniew Dychto upomniał galerię, żeby nie szumiała, tylko wysuwała postulaty głośno i śmiało, a mężczyzna w brązowym garniturze dodał, że ludzie nie powinni wypowiadać się we własnym imieniu, tylko prezentować sprawy dobra ogólnego. Przewodniczący natychmiast wyjaśnił, że jeśli obywatel nie chce wyjawiać publicznie spraw intymnych, może porozmawiać w cztery oczy z panem posłem, który zostanie jeszcze po spotkaniu, po czym dodał z pewnym zakłopotaniem, że ze względów czysto technicznych obywatel z sali winien podać swoje nazwisko, aby sekretarz zapisał je w protokole.

Młodzież szemrała, dyskutanci nie chcieli się ujawniać, inni podawali nazwiska szeptem, jakby wyznawali grzechy przed konfesjonałem, aż wreszcie wstał mężczyzna w brązowej skórzanej kurtce, o przerzedzonych włosach, z teczką, lecz nie przypominający prominenta, który przyznał się głośno, kim jest, tzn. sąsiadem szkoły nr 14. Stwierdził, że kolegium wymierza grzywny chuliganom i pijakom, ale to nic nie daje, bo żeby uiścić grzywnę, awanturnik okrada rodzinę albo sąsiadów, w związku z czym należy grzywnę zamienić na pracę przy porządkowaniu miasta. Widziałem, mówi, jak budowano szkołę, grodzono, jak się wszystko zieleniło, a gdy się porobiły dziury w siatce, które można było załatać, jacyś ludzie nie bojąc się deszczu i brudu zdjęli siatkę, władowali na prywatną ciężarówkę i gdzieś wywieźli. Potem ogrodzono tylko część terenu, resztę zdeptali przechodnie, po boisku łazi, kto chce, dzieci razem z nauczycielką sieją w ogródku, plonów nie ma, bo zagłusza je chwast, a kurnik przy szkole tak śmierdzi, że tylko patrzeć, jak w klasach wybuchnie epidemia, woźny zajmuje się kurami, a wokół bałagan...

Galeria młodzieżowa zgotowała mówcy skromną owację. Wówczas podniósł się sympatyczny brodacz w okularach, mieszkaniec małego osiedla przy pętli tramwajowej, któremu nadano nazwę „Salwy" chyba z radości, że na pobliskiej strzelnicy ćwiczy wciąż obrona cywilna, abyśmy mogli żyć w pokoju. Perorował on z troską, że na osiedlu dzieją się rzeczy skandaliczne, bo jakiś chłop z Karniszewic przypędza tam owce i wypasa przy trasie szybkiego ruchu, co nie przynosi chluby miastu. Barany stanowią poważne zagrożenie na jezdni, lecz nie mogą stanowić wizytówki Pabianic witającej turystów wjeżdżających do miasta.

Wiedziałem, że właściciel stada jest miłym człowiekiem, a jego owce tak wytresowane, że z dala omijają samochody, ale nie miałem pojęcia, że barany na rogatkach mogą zastąpić trzy korony w herbie Pabianic i wywołać problem numer jeden spotkania z posłem, tj. sprawę komunikacji miejskiej. Okazało się bowiem, że kierowcy widząc pasące się barany myślą, że za ulicą Torową jest już wieś, rozwijają nadmierną prędkość i mieszkańcy „Salwy" nie mogą ziechać swoimi autami do osiedla, gdyż narażeni są na kolizje.

Foto: Witold Werner

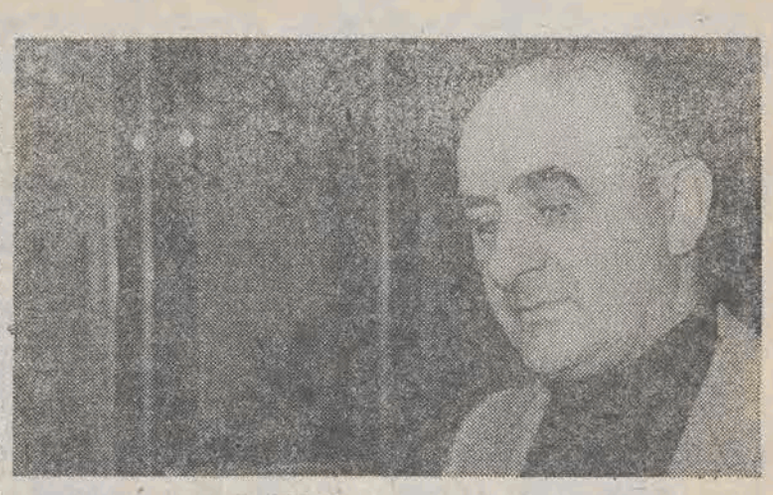

Mówi: Henryk Kluba

— Ustalmy, z kim rozmawiam: z artystą, z pedagogiem czy z administratorem?

— Z człowiekiem nieodpowiedzialnym, którego porwała fala, porwała ciekawość, który chciał przeżyć nową przygodę... a nie przewidział, że bierze na siebie tyle obowiązków, tyle zajęć, które wcale nie chcą się ułożyć w taki spójny, ładny haft. Mam nadzieję, że jednak może pan rozmawiać ze mną jak z artystą. Jeśli nawet nie dziś, to może w niedalekiej przyszłości.

— Jako artysta rozpoczął pan od noszenia szafy?

— Tak. Ale już po moim pierwszym filmie Pijanowski napisał w tygodniku „Świat" (pamięta pan taki tygodnik? Był świetny), że zerwałem z taką konwencją, że szukam własnych środków wyrazu...

— Nie o to mi chodziło. Był pan wtedy — jakby na to dziś nie patrzeć — w bardzo dobrym towarzystwie...

— I mam nadzieję, że jeszcze znów się znajdę w tym dobrym towarzystwie.

— Taka firma jak kierowana przez pana Szkoła (PWSFTviT), podobnie jak wytwórnia filmowa, stacja telewizyjna czy redakcja dużej gazety to młyn, który kręci się sam, nawet bez szefa. Zgadza się pan z tym?

— Nie mogę... Właśnie nie było mnie kilka dni i odnoszę wrażenie, że Szkoła wpadła w jakiś zastój. Ten młyn się kręci dzięki wielkiemu uporowi, zresztą nie tylko mojemu.

— W ostatnich latach PWSFTviT odniosła wiele sukcesów, również zagranicznych. Czy poczuwa się pan do współudziału w tych sukcesach?

— Rzeczywiście, mieliśmy dobry sezon, żeby wymienić tylko Grand Prix w Bilbao, jakie ostatnio przyznano filmowi wyprodukowanemu w naszej Szkole. Ale nie chcę przywłaszczać sobie cudzych sukcesów, jestem od tego jak najdalszy, zresztą każdy sukces ma wielu ojców. Za to jestem przekonany, że udało mi się pociągnąć uczelnię w określonym kierunku, że jest dzisiaj placówką otwartą na miasto, na kraj, na świat. Zburzyłem spokój tych murów. Nie jest to miejsce spokojnej kontemplacji — to jest miejsce konfrontacji z życiem, z rzeczywistością, z nowymi prądami w sztuce. Produkt artystyczny: film, spektakl, nie jest tylko etiudą, wprawką — konkuruje z twórczością profesjonalną i z powodzeniem! Nasze filmy są nagradzane na festiwalu w Oberhausen, w Krakowie, w Lipsku — a więc na profesjonalnych konkursach, znanych i cenionych w świecie.

Mamy także ambicję, aby Szkoła nie stanowiła tylko zaplecza kadrowego dla kinematografii i TV. Chcemy aby była centrum teoretycznym i historycznym nauki o filmie, aby zajmowała się filmem od strony ekonomicznej i technicznej. Marzy się coś takiego, jak Szwedzki Instytut Filmowy.

— Roboty na ładne parę lat... Długo jeszcze chce pan być rektorem?

— Kadencja kończy się za pół roku. Trwała pięć lat — nominację dostałem 18 stycznia 1982 roku...

— Niezła data! Miesiąc po ogłoszeniu stanu wojennego.

— Kłopotów było mnóstwo, było też mnóstwo obaw, że rektorem zostaje nie jakiś makomity teoretyk a reżyser, absolwent tejże szkoły. Wracając do pytania: Byłem cztery lata dziekanem, pięć rektorem, czas wrócić do robienia filmów. Oczywiście, jeśli będę mógł: obowiązuje mnie określona dyscyplina, jeśli wolą KC i ministra będzie, abym pracował tu nadal — zostanę...

— A jeśli nie? Co wtedy? Jaki film zrobi twórca „Chudego i innych" czy „Słońce wschodzi raz na dzień" że wymienię tylko te dwa filmy, które najmocniej utkwiły w pamięci widzów...

— Jest pan uprzejmy, widzowie już mnie zapomnieli. Ale nie powiem, co będę robił — nie chcę zapeszyć...

— W mieście mówi się, że otrzymał pan interesującą propozycję od ministra, profesora Aleksandra Krawczuka?

— Muszę stanowczo zdementować tę plotkę. Domyślam się, skąd się bierze: biorę od czasu do czasu udział w różnych gremiach, gdzie zapadają ważne postanowienia dotyczące rozwoju sztuki filmowej w naszym kraju.

— Dość powszechna jest opinia, że w Szkole Filmowej studiują trzy kategorie studentów: dzieci prominentów, dzieci znanych i „znajomych" artystów, dzieci bogaczy...

— Jeśli idzie o dzieci bogaczy, to mam niezłą orientację w kłopotach bytowych sporej części naszych studentów. Spośród progenitury tzw. prominentów, to chyba można mówić tylko o jednym przypadku: Maciek Szelachowski — zdał znakomicie egzamin wstępny. Więcej da się wymienić dzieci artystów: nie sięgając już lat sześćdziesiątych można przypomnieć takich studentów: Juliusz Machulski, Janusz Petelski, Piotr Hanuszkiewicz. Ostatnio także Maciek Szumowski — syn Macieja. Myślę, że proporcje ilości dzieci artystów i reszty są podobne jak na którymkolwiek uniwersytecie czy politechnice — też są tam dzieci profesorów? Zawsze będę popierał dzieci artystów — one mają trudniejszy start, przytłacza ich nazwisko.

— Podobno jest pan posiadaczem dużej wideoteki?

— Prywatnej? Nic podobnego! Nawet nie mam magnetowidu... Wideoteka szkoły obejmuje 150 nagrań. O jakieś 300 za mało w stosunku do naszych potrzeb. Nie mamy także wideokina, tj. projektora, który pozwala obraz z taśmy magnetycznej przetwarzać na obraz rzucany na duży ekran.

— Pańskim prywatnym hobby jest podobno pies?

— Owszem, ale moje główne hobby to teoria filmu, jednak. Poza tym, rzeczywiście, mam psa a raczej on mnie ma!

— Jakiej rasy? Jak się wabi?

— To bokser. Nazywa się tak jak inny sławny bokser: „Ali" Kontrpropozycją było imię „Speaks". Też chodzi o „boksera" Larry'ego Speaksa... „Ali" jest wyjątkowo spokojny i łagodny, choć ma bardzo groźny wygląd. Aż wstyd patrzeć, jak ucieka przed małymi jamniczkami...

— Marynarka, którą pan ma na sobie jest — oczywiście — „made in England"?

— Tak, jak wszystko prawie, co noszę. Też wolałbym chodzić w dżinsach i w swetrze, ale spotykam się z tyloma ludźmi „dostojnie" ubranymi w „dostojnych" okolicznościach... Nie chciałbym uchodzić za nonszalanckiego, nie chcę nikogo obrazić...

— Nie jestem ekspertem od mody męskiej, ale to nie jest awangarda? Raczej dość tradycyjny, właśnie angielski styl?

— Właśnie z powodów o których wspomniałem, nie mogę ubierać się zbyt na luzie ani ekstrawagancko. Zresztą w Polsce i tak te sprawy nie są rygorystycznie traktowane. Na Zachodzie, w oficjalnych okolicznościach nawet gwiazdorzy filmowi występują w bardzo tradycyjnych garniturach.

— Dziękuję za rozmowę.

— Proszę bardzo... A te kłopotliwe pytania, które pan obiecywał?

— .....

Rozmawiał:
ANDRZEJ KAROLCZAK

55-lecie pracy twórczej Wandy Karczewskiej

Wanda Karczewska, powieściopisarka i poetka o znaczącym dorobku literackim debiutowała na łamach warszawskiej „Dekady Akademickiej" w roku 1931. Minęło właśnie 55 lat od tamtej daty. „Odgłosy" chcą uczcić ów jubileusz tym uroczyściej, iż zarówno 70-lecie pisarki (urodziła się w roku 1913 w Wieliczce) jak i 50-lecie pracy twórczej przeszły niezauważone, bo przypadły na okres nadto burzliwy i mało sprzyjający literackim jubileuszom.

Jej dokonania na polu sztuki słowa charakteryzuje rozległość zainteresowań i rozmaitość form literackich. Rozpoczynała jako poetka. Jeszcze w czasie studiów w Warszawie (filologia klasyczna na Uniwersytecie Warszawskim, dyplom Wyższej Szkoły Dziennikarskiej) współpracowała z czasopismami „Kurier Poranny", „Naokoło świata", „Morze", „Szkwał" oraz z Polskim Radiem. Debiutem książkowym była powieść „Ludzie spod żagli" (1937), za którą autorka uzyskała I nagrodę w Konkursie im. Szareckiego, organizowanym przez Towarzystwo Literatów i Dziennikarzy RP. Pracę dziennikarską kontynuuje w prasie Wybrzeża oraz w rozgłośni radiowej w Bydgoszczy.

Po wojnie osiada w Poznaniu (okupację przeżywa pod przybranym nazwiskiem, ukrywając się przed gestapo za artykuły o polskości Gdańska drukowane w latach 1938-1939) i obejmuje funkcję kierownika literackiego w Teatrze Polskim. Prowadzi wespół z innymi kabaret literacki „Kukułka Poznańska", uprawia publicystykę teatralną (jej recenzje ukazują się w czasopismach Poznania, Krakowa i Warszawy). W tym czasie wydaje swój pierwszy tomik poetycki „Notatnik liryczny". Za nią przychodzą zbiorki kolejne.

W roku 1950 przenosi się do Łodzi i temu miastu (z krótką przerwą) pozostaje wierna do dnia dzisiejszego. Za prace literackie i działalność kulturalną otrzymała wiele nagród i odznaczeń (jest laureatką Nagród Literackich Łodzi i Poznania).

Na dorobek literacki Wandy Karczewskiej, który wciąż przyrasta nowymi dokonaniami, składa się sześć powieści („Ludzie spod żagli" — 1937, „Odejście" — 1959, „Wizerunek otwarty" — 1962, „Weekend w Riverside" — 1967, „Głębokie źródła" — 1973, „Fuga z tematem miłosnym" — 1974), cztery tomy opowiadań, tom esejów i recenzji teatralnych oraz siedem tomów poezji wydanych w latach 1947—1986 („Notatnik liryczny", „Ziarno kiełkujące" „Wiersze i poematy", „Liryki", „Głucha ziemia", „Nowy wybór wierszy", „Jeszcze jedna godzina". A są jeszcze książki dla dzieci i przekłady sztuk teatralnych (m. in. Capka i Jiraska) granych w teatrach całej Polski.

Żadna z książek Wandy Karczewskiej nie przeszła nie zauważona przez krytyków i czytelników. Świadczą o tym liczne recenzje po każdym nowo opublikowanym tomie i wznowienia.

Nie czas jeszcze, aby tą znaczącą i bogatą twórczość podsumowywać. Można powiedzieć jedno: Wanda Karczewska jakby świadomie dystansując się od różnych grup, tendencji i mód literackich przez cały okres swej twórczości zachowuje ton swoisty i indywidualny. Zarówno jej powieści jak i wiersze wynikają z głęboko przemyślanych własnych doświadczeń i rozumiejącej refleksji nad kondycją człowieka.

Na swój jubileusz Wanda Karczewska otrzymała serdeczny list gratulacyjny od profesora Aleksandra Krawczuka — ministra kultury i sztuki. „Odgłosy" w imieniu redakcji i wszystkich czytelników dołączają do tych gratulacji życzenia wielu jeszcze artystycznych osiągnięć dla pomnożenia wartości polskiej literatury.

(GRZG.)

Wanda Karczewska

Wyspa

Otwórz pamięcią czas i przestrzeń
jeżeli jesteś gdziekolwiek
Odpomnij
zakotwiczoną w obłokach szczytami topól
wyspę na rzece
dokąd przez łąki zawodziańskie
grzeznąc w wilgotnej sierści traw i kaczeńców
przez obłe Góry Szwedzkie biegliśmy chronić
naszą jeszcze wtedy prawie dziecięcą czułość
znieważaną przez Dorosłych

A przecież mieliśmy wówczas tylko tyle odwagi
by opuszkami palców zdejmować sobie
nawzajem
łzy gniewu i żalu do Nich
wodzić po żyłkach tętniących na skroniach
i — zamiast sobie w objęcia
rzucaliśmy się w burą rzekę
jej oddając ciepło naszych ciał
spłoszonych po raz pierwszy
wtuleni w jej wklęsłość pod nami
wpatrzeni w strzępy obłoków nad nami
ledwo ruszając wiosłami dłoni
płynęliśmy płynęli — —
w młodość gorzką bo już oddzielną
w dojrzałość cierpką
bo na zawsze bez siebie — —

W chaosie w bezprawiu
w okrucieństwach świata
odpomnij naszą wyspę na rzece
przywołaj ocal chwile łagodne czyste
szczęśliwe

jeżeli jesteś gdziekolwiek

1986

Rozmowa z rówieśnikiem z ulicy Widok 12

Gdzie jesteś
jaki dym uniósł cię w niebo
z jakich kominów — Treblinki
czy Oświęcimia

w jakim lesie
długo jeszcze drgała nad wami
krwią napęczniała ziemia

Mały dwunastoletni chłopcze
w przykusym chałatku
w białych bawełnianych pończochach
z którym zjeżdżaliśmy razem
po poręczach schodów
czepiali się wozów pędzących z górki
i zeskakując rozbijali sobie kolana
o bruk kostropaty

Jakeś ty wtedy dostał się pod koła
że okaleczony na zawsze
mogłeś już tylko półleżąc
przy oknie od podwórza patrzeć na nas
i wołać chodźcie tu ja was proszę
tu się bawcie
niech mi się zdaje że jestem z wami
że jeszcze trochę żyję

Powiedz mi
teraz ja cię proszę na wszystko
na pamięć białej myszy którą ci dałam
żebyś miał coś swojego
na wróbla ze złamanym skrzydłem
abyś nie był sam i miał z kim gadać
gdy my goniliśmy po łęgach nad rzeką
proszę cię
na pamięć gorajki palonej na kartoflisku za
domem
i naszych chudych zadków wypiętych
w stronę twego okna
gdy klęcząc na murze cmentarnym
podglądaliśmy „kacapskie" pogrzeby

mów
jak cię mam jeszcze błagać
na wspomnienie wielkanocnych pisanek
zamienionych z tobą cichaczem na macę
na tałes twego tate i jego majufes
mruczane co szabat

Powiedz skąd przychodzisz
i patrzysz na mnie oczami rzewnymi
jak u psa wiernego
dokąd mnie wzywasz

Czy tam w wielkiej Nieznanej Przestrzeni
gdzie przebywasz teraz
jest wspólne niebo dla dzieci Żydów i gojów
pachnie choć trochę dymem z ogniska
i pieczonymi kartoflami
Czy kwitną kolczaste jeżyny
jak u nas na skraju miasta
na osypiskach za szpitalem Weyganda
gdzieśmy biegali ptasie gniazda podglądać
płoszyć w wądołach jaszczurki-zwinki
smyrgające spod stóp jak iskry zielone

I czy jest tam mój Bóg i twój — Jahwe
i pozwala ci siedzieć u swoich stóp i czekać
aż ja tam przyjdę by ci przynieść
jabłka zielone z księżego sadu
słodkie kosztele które tak bardzo lubiłeś

Jeżeli nie to —
zaklinam cię odezwij się
gdzie twoje ostatnie tchnienie
pomiędzy jakie planety poniósł wiatr kosmiczny
Czy jest tam coś więcej
prócz odłączonych od nas ciał astralnych
krążących w ciągłej wędrówce
pomiędzy Orionem a Krzyżem Południa
bo wszystko zaczyna się i kończy tutaj
a my jesteśmy o tyle o ile tu istniejemy
gdzie twoje imię
ICEK
wpisuję na wieczność ziemską
bo innej może wcale nie ma — —

1986 r.

WANDA KARCZEWSKA

Świat pierwszych doznań

Kalisz. Spalony w roku 1914. Przez Niemców. Miasto mojego Ojca. I ojca mojego Ojca. Pradziadów moich. I miasto mojej matki. Spalonej w Oświęcimiu. I brata mego. Spalonego w Brzezince. Miasto mojego dzieciństwa i młodości, zanim je opuściłam wyjeżdżając „do szkół". I mój gwałtowny jesienią 1939 powrót, i daremne szukanie w domu rodzinnym azylu przed bezustannym, trwającym do końca wojny pościgiem gestapo za artykuły o polskości Gdańska pisane w latach 38/39. Pięcioletnia poniewierka pod fałszywymi papierami, która czymże była wobec milionów zamordowanych w Oświęcimiu wraz z moją matką i bratem. Tak powstał i narastał we mnie uraz antyniemiecki, którego zaczątkiem było właśnie Miasto mego Ojca, pierwszy zapamiętany z lat dzieciństwa widok Kalisza: zwałowiska zburzonych domów, sterty gruzów, puste oczodoły wypalonych budynków; ruiny, ruiny, ruiny (jak potem w Warszawie, Wrocławiu, w Poznaniu...). Ruiny porastające gdzieniegdzie chwastami, mchem. I ta brzózka, która wprost cudem wyrosła na niedorwanym do końca szczątku sufitu-podłogi w narożniku tylnej i bocznej ściany na wysokości drugiego piętra na pół zwalonego domu. Zrazu wątła, biedziutka, ale ocieplająca sczerniałe gruzowisko białością pnia i jasną zielenią liści. Drzewo — ten obecny we wszystkich mitach i wierzeniach symbol odradzającego się życia.

Na to drzewko padał zawsze nasz wzrok, gdy będąc już uczennicami gimnazjum wychodziłyśmy ze szkoły mieszczącej się w ocalałej oficynie przez bramę, której sklepienie dźwigało wypalone piętra frontowej kamienicy. Z pamięci tego pompejańskiego widoku i tego wątłego drzewka powstała pierwsza moja powieść „Brzoza na ruinach" (niestety zagubiona). Zawierała ona najwięcej realiów kaliskich. W planie konkretu, w planie realnym — powieść przedstawiała dzieje jednej rodziny odbudowującej swe życie wśród gruzów spalonego miasta. W planie metaforycznym była to powieść o odradzaniu się, o niezniszczalności życia.

W późniejszych moich utworach, w niektórych wierszach (np. „Sad") w powieściach czy opowiadaniach jak np. w „Fudze z tematem miłosnym", w „Odejściu" (w jego nowej redakcji) a szczególnie w „Głębokich źródłach" — ten motyw klęski i odradzania się biologicznego pogłębia się i przemieszcza już w sferę spraw klęsk, upadków i rozbicia wewnętrznego człowieka i jego, człowieczego dźwigania, dorastania do samoocalenia, do wyższego stopnia świadomości, nieraz do granic heroizmu, jak np. Małgorzata z „Głębokich źródeł".

I w takich to problemach, uniwersalnych, uchwytnych w moich książkach, widzę ja, pisarka, swoje związki z Kaliszem, w problemach wynikających z owocowania pierwszych doznań i przeżyć lat dziecięcych i młodości spędzonych w mojej Małej Ojczyźnie.

W pierwszej wydanej książce „Ludzie spod żagli" (1937) jest nim problem moralno-etyczny: zagadnienie winy i kary, odpowiedzialności za popełnione zło i dania zadośćuczynienia. Tym złem jest w tej mojej debiutanckiej powieści próba zabójstwa, nieudanego, bo narzędzie zbrodni chybiło celu, jest nim dzika wprost radość, gdy potencjalny zabójca na widok śmierci swej niedoszłej ofiary zmytej w czasie sztormu za burtę, i przekonanie, że to sam los wyręczył potencjalnego zabójcę w zbrodni.

Moi łaskawi krytycy literaccy okresu międzywojennego upatrywali w tej książce zaszczytnych dla mnie powinowactw z Conradem. Ale tylko ja, nb. żeglarka, znając moje dzieciństwo i młodość wiem, skąd się wzięło moje krążenie wokół dzieł autora „Lorda Jima", ile było jego wpływu na moje pisarstwo, (wierność pierwszym zasadom i wartościom moralnym), a ile wpływu wychowania w katolickiej rodzinie, w nazaretańskiej szkole — „świątobliwej" jak mawiali uszczypliwie moi rówieśnicy — do jakiego stopnia mnie wychowywało środowisko, społeczeństwo otaczające, jednym słowem Świat Dorosłych.

Świat Dorosłych mojego pokolenia był inny niż dzisiejszy, ale Młodzi prawie zawsze przybierają postawę sprzeciwu, jeśli nie otwartego buntu; jest to zresztą przyrodzona cecha młodości. Dzisiaj te postawy sprzeciwu mają inne podłoże, powstają w innych warunkach cywilizacyjnych i historycznych, ale zawsze przemilczanie prawdy, kłamstwo, zakłamanie w ogóle, fałszywe pośpieszne sądy, a głównie rozmijanie się słów z czynami — rodzą ten opór Młodych.

Kalisz, jego specyficzne warunki, nasze wychowanie w ortodoksyjnie katolickim światopoglądzie — stwarzał po temu okazje. W dwudziestoleciu międzywojennym zarysowywały się w nim wyraziście różnice społeczne, polityczne, wyznaniowe: panowało wielkie bezrobocie, dawała o sobie znać spora ilość żywiołu komunistycznego; wiele pospolitej nędzy obok błyszczącego natrętnie bogactwa. Przeszło jedna trzecia ludności była wyznania mojżeszowego, obok — dość liczna grupa wyznania ewangelickiego i spora garść prawosławnych (urzekały nas ich śpiewy cerkiewne).

To rozwarstwienie i cechy każdej klasy społecznej, sprzeczne ze sobą, pobudzało niektórych z nas młodych, mających otwarte oczy i zapalone głowy, do szukania lektur pozaszkolnych, źródeł poznania innych, niż oficjalnie głoszone, przekonań, przyczyn tych różnic. Skłaniały nas do zadawania — zdaję sobie sprawę — jak bardzo wtedy drażliwych i drastycznych pytań — naszym ojcom, matkom, naszym nauczycielom i wychowawcom, począwszy od pytań podstawowych: gdzie jest prawda? jak pogodzić księgę Genesis z naukową teorią powstania życia na ziemi (horrendalne pytanie w katolickiej szkole), czym jest Biblia, źródłem prawdy objawionej czy zbiorem mitów i pięknych legend spisywanych i uzupełnianych w ciągu wieków? dlaczego kościół ewangelicki nie wyznaje kultu Marii i odrzucił spowiedź indywidualną na rzecz powszechnej? I dalej pytania innej natury; pozornie lokalnej: dlaczego nazwano rozruchy bezrobotnych (1926 r.) dziełem „żydo-komuny", skoro śród najbardziej zamożnych obywateli tego miasta najwięcej było Żydów; w ich rękach był handel i fabryki — gdzie jest prawda? Dlaczego jedni ubolewają nad bezrobotnymi, drudzy nazywają ich leniwymi hołyszami, którzy wolą wałkonić się i żyć z zasiłku niż pracować? Kto i dlaczego rozlał krew (czerwoną farbę) przed tryumfalną bramą, którą miał wjechać do Kalisza od strony Ostrowa po przewrocie majowym marszałek Piłsudski? Dlaczego mój rówieśnik (prototyp Pawła Sikory z „Wizerunku otwartego"), który wmieszał się (a ja z nim) w pochód demonstracyjny bezrobotnych (1926) i zaplątał się między tych, którzy strzelali i tych, do których strzelano, nazwany w końcu został — ten „rycerz środka" — przez jednych szpiclem, prowokatorem, „nasieniem burżuazyjnym", przez drugich „bolszewickim pachołkiem"? I jeszcze inne pytania, wiele pytań, innej, na przykład obyczajowej natury: dlaczego na nasze dziewczyńsko-chłopięce przyjaźnie, zwykłe koleżowanie się rówieśników ze sobą czy przyjaźnie nastolatków niektórzy Dorośli patrzyli przez chorą wyobraźnię, przez swoją własną obsesję „grzechu", dlaczego, dlaczego...? Pytaliśmy, to znaczy niektórzy z nas mieli odwagę pytać, aby nieraz otrzymywać odpowiedzi: heretyk, wariat, bolszewik, bezbożnik, gorszyciel... a my, pytający pragnęliśmy po prostu wyjaśnień, głodni byliśmy prawdy o otaczającym nas świecie, wiedzy o nim, sami do rozeznania się w nim nie byliśmy jeszcze zdolni. Nasza gorycz, tych pytających i nieraz karanych za takie publicznie zadawane pytania, już wtedy nasuwały mi podejrzenia, że coś z tymi „prawdami" różnych ludzi w moim „świecie pierwszych doznań" jest nie w porządku, że przez przemilczenia niektórych faktów i zdarzeń kryją w sobie w zarodku fałsze, że poznanie jest trudne, czasem niemożliwe, w każdym razie niepełne.

I tak z tych pytań dotyczących konkretnych zdawałoby się lokalnych spraw, z braku lub nieumiejętności odpowiedzi Dorosłych na nie, rodziły się przyszłe problemy: poszukiwanie prawdy i dróg prowadzących do niej — nie dla samego poszukiwania przecież — ale dla wiedzy jak się obracać w tym skomplikowanym świecie, jak żyć? Przykładem rozwinięcia tej problematyki jest powieść „Wizerunek otwarty", liczne opowiadania, a przede wszystkim najbardziej dojrzała i chyba najlepsza z moich książek „Głębokie źródła". Jak się okazuje jest to dla mnie problematyka obsesyjna, tak jak dla Iwaszkiewicza obsesyjnym tematem było przemijanie, dla Stryjkowskiego i Adolfa Rudnickiego — zagłada narodu żydowskiego, jak dla innych — zarażenie śmiercią, wyniesione z tzw. czasów pogardy, czasu okupacji hitlerowskiej.

„Wizerunek otwarty" jednak, wpisany częściowo w pejzaż kaliski, ale nie będący bynajmniej powieścią autobiograficzną, jest powieścią pastiszową, prześmiewczą — pozornie — wobec ukazujących się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych powieści pisanych przez młodych pisarzy powierzchownie rozumiejących filozofię egzystencjalizmu, a oskarżających o swoją samotność, alienację i uczucie nieszczęśliwości stąd wynikłe — wszystkich, prócz samych siebie, co zresztą wynikało z niezrozumienia kierkegaardowskiego pojęcia samotności „drżenia i lęku", jako przyrodzonej cechy kondycji ludzkiej. Ale książka jest bardziej złożona; owo pastiszowe, zabawowe potraktowanie tematu samotności i wyobcowania służy naczelnemu problemowi „Wizerunku otwartego", jakim jest konieczność poszukiwania prawdy o człowieku, o stosunkach między ludźmi, o zdarzeniach, o Historii. W książce jest to poszukiwanie prawdy o rzeczywistości p r z e d s t a w i o n e j, powieść ta nie jest prostym odbiciem rzeczywistości, jest kreacyjna. Ale daje ona przecież odautorską propozycję „na życie" dla każdego czytelnika: szukać prawdy, zbliżać się do niej przez patrzenie z wielu punktów widzenia, wiedzieć, że proces poznania jest zawsze otwarty. Szukać przyczyny swej sytuacji w świecie otaczającym, zanalizować także siebie, stawiając sobie pytania i próbować odpowiedzieć na nie: kim ja jestem w tym świecie, kim byłem do tej pory, czy chcę zostać takim jakim byłem czy wyciągnąwszy wnioski z samopoznania zaakceptować siebie, czy zmienić się, dokonać wyboru wartości, wyboru postaw.

Nie jestem moralizatorem, stawiam tylko pytania, a odpowiedzi czytelników zależą od tego, co zaspokaja wrodzone człowiekowi poczucie szczęśliwości: dobra materialne, znaczenie w społeczeństwie, sława czy może dochowanie wierności samemu sobie, swym przekonaniom, nawet za cenę cierpień. Takiego wyboru dokonuje „bohater" „Wizerunku otwartego", Paweł.

Może ktoś zauważyć, że nie są to „na dziś" pytania odkrywcze, ale trzeba zważyć, że powieść powstawała w końcu lat pięćdziesiątych, a ukazała się w „Czytelniku" w 1962 roku. I jako odkrywczą przyjęło ją wielu krytyków literackich, m.in. jeden z najciekawszych spośród nich, tragicznie zresztą zmarły — Michał Sprusiński, który w „Tygodniku Powszechnym", gdzie pisywał jeszcze wtedy pod nazwiskiem Maciej Bagiński, nazwał tę książkę właśnie „Wizerunkiem odkrywczym". Nie mogę się oprzeć, by nie przytoczyć choćby kilku zdań z jego recenzji:

„Nową powieść łódzkiej pisarki wypada umieścić w rzędzie najciekawszych osiągnięć naszej prozy w roku ubiegłym. Odnajdujemy w niej walory, które stanowiły o jakości jej wcześniejszych książek — umiejętność łączenia planu realnego z planem metaforycznym, zdolności kreacjonistyczne oraz rzetelną prawdę świadomości ludzkiej... Metaforyczna, generalna wymowa powieści wynika z konkretnego zapisu o ludziach i życiu. Ten plan uniwersalny można różnie odczytywać. Jest to wizerunek outsidera-wygnańca, jest to również parabola o dorastaniu człowieka, jego przymierzu i walce z losem. Bohater nie jest pasywny, zagubiony we wspomnieniach. Szukając wizerunku otwartego, pełnego portretu ludzi i spraw, jakie znał, wymierza sprawiedliwość s o b i e i światu... Zaskakująco mądra proza gorzkiego optymizmu".

Ta filozoficzna problematyka poszukiwania prawdy, drogi do niej, samopoznania i wyboru wartości, za czym idzie wybór postaw — w innych moich utworach pojawia się w innej, dramatycznej tonacji, że wymienię tutaj przede wszystkim „Głębokie źródła", czy nie pozbawione gorzkiej ironii opowiadanie „Włos Dulcinei", czy w sarkastyczne „Ułaskawienie świata" (pierwopis z 1958 r.), gdzie główna postać; pani Meres (pojawiająca się potem w wierszu pt. „Piołun" 1982 r.) pełna samoobronnej autoironii i zarazem urazów do świata, zaczyna po pewnych przejściach rozumieć, że właściwie prawie wszyscy są w jakiś właściwy sobie sposób nieszczęśliwi w tym świecie, który sam trzeszczy w szwach.

Problemy te stawiam i ukazuję kolejno w różnych wariantach fabularnych, splecione, oczywiście, z innymi zagadnieniami, jak na przykład odpowiedzialności w życiu uczuciowym człowieka. Odpowiedzialności za partnera w tym związku ludzi ze sobą. Fabuły zresztą są pretekstowe, nieraz szczątkowe, ułożone niechronologicznie, operując bowiem psychologicznym czasem, nakładam na jawę retrospekcje, zanurzone nieraz w głębokiej przeszłości, prowadzę akcję na granicy snu i jawy. Notabene tego rodzaju prozę dawno już przestano uważać za psychologiczną, co się czasem jeszcze niektórym krytykom, może nie znającym dokładnie mego dorobku prozatorskiego, zdarza. Pogłębianie psychologiczne postaci uzupełnia tylko motywacje społeczne, genetyczne, czy polityczne działań „bohatera". Tak zresztą pisałam swoich „Ludzi spod żagli" już w połowie lat trzydziestych, dzisiaj podobna konstrukcja nie jest nowością, ale była nią 40 lat temu.

Piszę to wszystko m.in. dla szperaczy, którzy znaków związków moich z Kaliszem upatrują... w szczegółach topograficznych czy w strzępkach autobiograficznych. W „Wizerunku otwartym" szperacz kaliski znajdzie nie nazwane z imienia, ale łatwo rozpoznawalne ulice, place, pomniki, podmiejskie łąki, wrzosowiska, rzekę, nawet pewne zdarzenia historyczne. Sięgnęłam po ten pejzaż, ponieważ pamięć wzruszeń związanych z tymi miejscami, pamięć napięć sytuacyjnych, przywołanych w trakcie pisania powieści, powodując żywsze uderzenia serca, nasyca powieść klimatem prawdziwości. To wszystko jest jednak wraz z realiami tylko tworzywem, gliną, z której lepi się obraz świata kreowanego i rozwija problemy natury uniwersalnej.

(Fragment odautorskiego posłowia do tomu wierszy „Powrót do Kalińca", złożonego do druku).

Z półki recenzenta

BRATNY RAZ JESZCZE

Trwa edycja dzieł Romana Bratnego. Ostatnio pojawił się w księgarni kolejny tom zawierający cztery powieści: „Radość nagrobków", „Odjazd w niezbadane", „Przesłuchanie Pana Boga", „Tożsamość bez wzajemności".

Na dobrą sprawę nie ma potrzeby by kogokolwiek zachęcać do lektury tej książki, bowiem Bratny ma sporą rzeszę zagorzałych wielbicieli. A jego pisarstwo — to Polska, Polacy, polskość, to historia nasza najnowsza z odniesieniami do czasów niedawno minionych.

Roman Bratny: Radość nagrobków... WL 1986. Str. 262. Cena 340 zł.

ACH, TEN WITTLIN!

Kiedy ukazał się pierwszy tom „Pójdź ze mną" Jerzego Wittlina, napisałem wówczas parę cierpkich zdań na ten temat. Obecnie pojawił się tom drugi tego dziwnego dziennika — pamiętnika. Dziwnego, bo napisał go człowiek, jak to się mówi, na stanowisku, a nie np. przekupka bazarowa czy właścicielka magla. Jest to bowiem książka przeznaczona dla tych, którzy uwielbiają wiedzieć kto z kim, kiedy, jak i za ile.

Jerzy Wittlin: Pójdź ze mną, tom II. WL 1986. Str. 352. Cena 320 zł.

SIEMIRADZKI

W serii opowieści biograficznych o sławnych ludziach ukazała się książka Józefa Dużyka o Henryku Siemiradzkim, wybitnym i sławnym w swoim czasie malarzu w Europie, a żyjącym w latach 1843 — 1902. Malował obrazy z życia starożytnych Greków i Rzymian, a jego słynne „Pochodnie Nerona", które ofiarował Krakowowi, przyczyniły się do powstania Muzeum Narodowego w tym mieście.

Książka jest bogato ilustrowana fotografiami i reprodukcjami obrazów Siemiradzkiego, szkoda tylko, że tak nieudolnie wykonanymi przez Zakłady Graficzne w Toruniu.

Józef Dużyk: Siemiradzki. LSW 1986. Str. 616. Cena 720 zł.

PANI WALEWSKA

Mamy renesans twórczości Wacława Gąsiorowskiego. Nie tak dawno ukazała się jego trylogia napoleońska (Huragan, Rok 1809, Szwoleżerowie gwardii), dziś otrzymaliśmy kolejną powieść o tamtych latach, mianowicie „Panią Walewską". Historia miłości cesarza Francuzów i Polki obrosła już legendą, którą Gąsiorowski w swojej powieści jeszcze upiększa, ubarwia, poetyzuje i dramatyzuje. Powieść ta była sfilmowana w Hollywood, a główną rolę zagrała legendarna Greta Garbo.

Wacław Gąsiorowski: Pani Walewska. LSW 1986. Tomy I i II. Str. 270 + 310. Cena całości: 700 zł.

MIKA WALTARI

Kiedy w 1969 r. ukazał się u nas „Egipcjanin Sinuhe" zarówno krytyka jak i czytelnicy okrzyknęli tę książkę wydarzeniem. Od tamtego czasu Mika Waltari na stałe zadomowił się w naszych bibliotekach. Dziś polecam jedną z jego równie głośnych historycznych powieści, jaką jest „Turms nieśmiertelny". Jest to opowieść o starożytnej Helladzie, Rzymie, o zwyczajach, kulturze i bogach schodzących na ziemię, by kierować losami ludzi i narodów.

Przekład Zygmunta Łanowskiego.

Mika Waltari: Turms nieśmiertelny. Wyd. Pozn. 1986. Str. 430. Cena 450 zł.

DRAMATY IREDYŃSKIEGO

Zmarł mając 46 lat, ale jego dorobek twórczy jest znaczny: Ireneusz Iredyński pozostawił po sobie poezje, prozę i sztuki sceniczne. Właśnie ukazał się wybór tych ostatnich pt. „Dziewięć wieczorów teatralnych". Moim zdaniem forma wypowiedzi jaką jest dramat była najbliższa temperamentowi Iredyńskiego i w niej umiał się wypowiedzieć najlepiej i najpełniej. A lektura prezentowanych tu utworów jest tyleż pouczająca co skłaniająca do refleksji.

Ireneusz Iredyński: Dziewięć wieczorów teatralnych. WL 1986. Str. 548. Cena 340 zł.

E. IW.

Komu nagrodę „Odgłosów"?

Kandydaturę RYSZARDA STANISŁAWSKIEGO, dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi proponuje EWA KARWOWSKA, dziennikarka, krytyk sztuki.

Przyznawanie jakichkolwiek nagród nie jest rzeczą łatwą, a jeśli do tego ma to być nagroda za osiągnięcia w dziedzinie kultury, to sprawa wydaje się wielce skomplikowana. Jakie bowiem przyjąć kryteria oceny? Samo pojęcie kultury jest już na tyle szerokie, że mieszczą się w nim, niczym w opasłym worku, fakty i działania różnej rangi i natury. Mimo to, wydaje się, że istnieją niezaprzeczalne, czy może raczej niepodważalne mierniki wartości, odnoszące się zresztą do różnorodnej ludzkiej działalności, nie tylko tej, której doroczna nagroda redakcji „Odgłosów", ale każdej innej, naukowej, gospodarczej, politycznej itd. Tym kryterium jest wniesienie wkładu w ogólnoludzki dorobek, zdobycie w uprawianej profesji uznania międzynarodowego, wejście do grona światowej czy europejskiej czołówki w danej dziedzinie. Wiąże się to zwykle także z określoną porcją splendoru dla kraju, który takowych reprezentantów posiada.

Dlatego też, zgłaszając kandydaturę do tegorocznej nagrody, kierowałam się wymienionymi względami. Mamy w Łodzi znane w świecie Muzeum Sztuki. Przyzwyczailiśmy się do takiej właśnie opinii i nie zawsze uświadamiamy sobie, iż składa się nań praca wielu ludzi zatrudnionych niegdyś i dziś w tej placówce. Pierwszoplanowe miejsce wśród nich zajmuje dyrektor muzeum — Ryszard Stanisławski. Nie sposób przedstawić jego dorobek zawodowy w paru zdaniach. Wydaje się jednak, iż najważniejsze w nim jest to, że powstałe w okresie międzywojennym muzeum, gromadzące i patronujące sztuce współczesnej, zajmuje nieprzerwanie do dziś czołową pozycję w propagowaniu polskich i europejskich, najnowszych i najważniejszych dokonań sztuki nowoczesnej. Dzięki inicjatywom muzeum wielu krajowych artystów zdobyło uznanie międzynarodowe, polska publiczność zaś mogła zapoznać się z najnowszymi orientacjami i ich reprezentantami z kręgu sztuki światowej, z takimi choćby, jak: Jacquet, Carmi, Davis, Kidner, Uecker, Morellet i wielu, wielu innych. Aby było to możliwe, muzeum rozwinęło szeroko zakrojoną współpracę z wieloma placówkami w świecie, obejmującą wymianę publikacji i myśli naukowej. Pracownicy łódzkiego muzeum biorą udział w sympozjach i wyjeżdżają na stypendia naukowe. Jednocześnie muzeum ma niekwestionowany wkład w propagowanie klasyki sztuki XX wieku — polskiej i obcej. W pamięci miłośników sztuki pozostają na pewno wystawy dorobku Majakowskiego, Guttreunda, Themersona czy niedawno czynnej wielkiej ekspozycji malarstwa Adlera. Oddzielną sprawą jest ciągłe pozyskiwanie nowych dzieł do własnej kolekcji, według wybranych kryteriów. I pod tym względem łódzkie muzeum zajmuje określoną pozycję wśród światowych galerii sztuki współczesnej. Kolejną kwestią jest prowadzenie działalności oświatowej na wysokim poziomie, za co muzeum otrzymało Medal Komisji Edukacji Narodowej oraz pierwszą nagrodę Ministra Kultury i Sztuki.

Wiele działań i sukcesów Muzeum Sztuki nie byłoby jednak możliwe bez osobistego udziału w nich dyrektora Ryszarda Stanisławskiego i bez jego pozycji oraz prestiżu, jakim cieszy się w światowym ruchu muzealniczym. Jest on bowiem członkiem, a przez dwie kadencje był wiceprzewodniczącym Zarządu Międzynarodowej Rady Muzeów Sztuki Nowoczesnej CIMAM przy Radzie Muzeów ICOM. Ryszard Stanisławski jest współtwórcą programu Rady, skupiającej inicjatorów jedynie najwybitniejszych muzeów sztuki nowoczesnej. Był także w 1949 roku współzałożycielem międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA i przez wiele lat członkiem rady nadzorczej AICA. Wchodzi w skład komitetów redakcyjnych pism o sztuce: „Leonardo" w Oxfordzie i Cahiers du Musée d'Art Moderne przy Centrum Georgesa Pompidou w Paryżu. Zasiada bądź przewodniczy jury wielu wystaw międzynarodowych od Sao Paulo po Tokio, m.in. Biennale w Paryżu, Lozannie i Lublanie. Jest członkiem nagrody Rembrandta dla artystów europejskich, nagrody, którą m.in. otrzymał Tadeusz Kantor. Jednocześnie był wielokrotnie komisarzem wystaw polskiej sztuki, np. w Wenecji i Genewie, komisarzem polskiego działu na Biennale w Sao Paulo, kiedy nagrodę otrzymała Magdalena Abakanowicz i inni polscy artyści. I tak mogłabym wymieniać wiele faktów obrazujących działalność zawodową Ryszarda Stanisławskiego. Dla mnie jednak najważniejsze w niej jest to, iż dyrektor łódzkiego muzeum jest niestrudzonym, gorącym propagatorem polskiej kultury, polskiej sztuki na arenie międzynarodowej.

Wydaje mi się, iż ukoronowaniem działań Ryszarda Stanisławskiego, zmierzających do promocji sztuki polskiej za granicą, była ogromna, licząca ponad 2000 eksponatów, wystawa: „Presences Polonaises. L'art vivant autour du Musée de Łódź" (Polska obecność. Sztuka żywa w kręgu Muzeum Sztuki), zorganizowana w głównej galerii, bodaj najważniejszego w Europie, muzeum sztuki współczesnej, jakim jest Centrum Georgesa Pompidou w Paryżu. Wystawa ta została żywo przyjęta, co m.in. znalazło wyraz w bardzo przychylnych recenzjach i omówieniach, jakie ukazały się w paryskiej prasie i czasopismach poświęconych sztuce.

Pobudziła ona również zainteresowanie polskim konstruktywizmem w następstwie czego w znaczących muzeach Wielkiej Brytanii i Holandii zorganizowanych zostało wiele wystaw prezentujących łódzkie zbiory.

Bezpośrednią konsekwencją polskiej wystawy zorganizowanej w Beaubourgu w 1983 roku jest obecna prezentacja współczesnej sztuki francuskiej w warszawskiej Zachęcie. Pokaz „4 X Paryż" stał się głównym wydarzeniem wystawienniczym w kraju w ubiegłym — i chyba nie tylko — roku. Obie wystawy przygotowała jedna wspólna ekipa polskich i francuskich naukowców i pracowników muzeów. Nie muszę dodawać, iż dyrektor Ryszard Stanisławski był animatorem i jednym z głównych filarów tej działalności.

Zgadzam się zatem z tym, co napisał Krzysztof Teodor Toeplitz w jednym ze swoich felietonów zamieszczanych w „Polityce", nazywając polskich organizatorów owych wystaw „ludźmi, którzy spokojnie i konsekwentnie trzymają w swoim ręku rozbiegające się wątki światowych kontaktów, słusznie sądząc, że są one dla kultury polskiej niezbędne".

W 1986 roku dyrektor Ryszard Stanisławski obchodził jubileusz. Minęło właśnie 20 lat od momentu, gdy podjął się kierowania działalnością Muzeum Sztuki. O jubileuszu tym, jak dotąd, pamiętali jedynie najbliżsi współpracownicy i grono wybitnych artystów, którzy z tej okazji ofiarowali muzeum swoje prace. I to jest także powód, dla którego zdecydowałam się zgłosić tę właśnie kandydaturę do nagrody.

Gorzki smak wina

Krajowa Agencja Wydawnicza przekazała do rąk czytelników nową książkę Doroty Chróścielewskiej „Wino o smaku niezapomnianym". Nazwisko autorki dobrze jest znane w łódzkim środowisku literackim. Zna i ceni je czytelnik współczesnej literatury polskiej. Przede wszystkim jako wrażliwą i utalentowaną poetkę, autorkę wielu, wysoko ocenianych, tomów liryki. Tymczasem najnowsza jej książka „Wino o smaku niezapomnianym" to powieść. Trudno byłoby ją może zaliczyć do tzw. „wielkiej prozy", choć czyta się tę powieść nie bez zainteresowania i sympatycznej refleksji.

Ziemowit Skibiński rozpoczął recenzję jednego ze zbiorów poezji Doroty Chróścielewskiej zdaniem: „Są książki, o których nie sposób pisać fachowym językiem krytyka, gdyż uczuciowe zaangażowanie w ich treść nie pozwala na obiektywizację sądów". I ja mógłbym to samo powiedzieć oceniając „Wino o smaku niezapomnianym".

Z formalnego punktu widzenia jest to powieść tradycyjna z pierwszoosobowym narratorem odwołującym się do zdarzeń przeszłych. Bohaterką „Wina" jest młoda dziewczyna, której psychika ulega przeobrażeniom pod wpływem kolejnych doświadczeń i życiowych nauk. Narratorka zręcznie i z dużą dozą dowcipu, słownego i sytuacyjnego, sprowadza nas po świecie przeżyć wewnętrznych i „przygód" dojrzewającej piętnastolatki. Pozwala nam śmiać się dobrotliwie z jej dziecinnych jeszcze pomysłów i zachowań w świecie dorosłych. Ukazuje jej radość i „problemy", wtajemnicza w jej doznania. Przedstawia świat prosty, beztroski i szczęśliwy, taki jaki jawi się w niedojrzałej świadomości bohaterki. Obok tego świata istnieje w powieści świat drugi, rzeczywisty. W nim żyją dorośli, rodzice bohaterki, którzy boją się wojny nuklearnej, ekstrawagancka poetesa, hydraulik Borys i inne postacie. Te dwa światy, ów wewnętrzny, „dziecięcy", ukryty i „naiwnej" prostoty oraz drugi, groźniejszy i rzeczywisty mogą istnieć równolegle i bezkonfliktowo tylko do czasu. Nadchodzi wreszcie moment, kiedy świat zewnętrzny burzy wewnętrzną rzeczywistość ładu i prostoty. Bohaterka staje wobec dwóch najważniejszych doświadczeń ludzkiej egzystencji — wobec miłości i śmierci. Chociaż wstrząs jakiego doświadcza nastolatka jest nieoczekiwany i bardzo mocny, udaje się jej jeszcze wrócić do zrównoważonego i uładzonego po swojemu azylu własnej świadomości. Ta stabilizacja nie trwa jednak długo. Życie dorosłych ponownie ujawnia całą swoją okrutną dosłowność. Kolejna miłość Poetki-przyjaciółki, teraz ta prawdziwa, staje się przyczyną jej śmierci. Bezpośrednie zetknięcie się piętnastoletniej dziewczyny z tragedią i tajemnicą śmierci unicestwia bezpowrotnie świat pozorów i wyobrażeń, w jakim ukrywała się do tej pory. Brutalne zakończenie ballady o życiu wprowadza bohaterkę w świat dorosłych. Przekonuje się ona, iż cały tragizm istnienia polega na tym właśnie, że życia uczymy się do śmierci, że podlegamy niezmiennie jej prawu. Trzeba więc przyjąć nasze trwanie takim, jakie ono jest.

Piszę o tej powieści jakby jej autorem był jakiś Kierkegaard albo inny mroczny filozof. Otóż nie jest tak. Dorocie Chróścielewskiej udało się mówić o sprawach ważnych, wielkich i ostatecznych z dystansem, w komicznym „cudzysłowie", z ironią w której miejsce na śmiech, wzruszenie, nawet na łzę. Dlatego z pełnym przekonaniem polecam tę książkę także czytelnikom dorosłym.

EMIL BUS

Dorota Chróścielewska, „Wino o smaku niezapomnianym", KAW, Łódź 1986.

Kronika kulturalna

WIESŁAW GARBOLIŃSKI czołowa postać łódzkiego środowiska plastycznego, 2 stycznia br. obchodził 60 rocznicę urodzin i 30-lecie pracy twórczej.

Z tej okazji otrzymał listy gratulacyjne od **Wojciecha Jaruzelskiego** i **Zbigniewa Messnera.**

Serdeczne gratulacje **Jubilatowi** przekazał również I sekretarz KŁ PZPR **Józef Niewiadomski.**

W DNIU 18 GRUDNIA 1986 R. w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi otwarta została bardzo interesująca wystawa pt. **„Podróż".**

Ekspozycja daje widzowi złudzenie przemieszczania się w czasie i obcowania z różnymi stylami artystycznymi.

Oprócz dzieł ze zbiorów **muzeum,** zgromadzone zostały na wystawie **prace Andrzeja Barteczaka, Jacka Bigoszewskiego, Zofii Borkowskiej, Jana Cuchry-Cukrowskiego, Michała Gałkiewicza.**

Na szczególną uwagę **zasługują** prezentowane wytwory historyczne oraz przedmioty użytkowe współczesnej plastyki.

Autorem oryginalnego **scenariusza** ekspozycji jest znany łódzki **artysta plastyk Stanisław Cuchra-Cukrowski.**

W otwarciu wystawy **uczestniczył prezydent Łodzi Jarosław Pietrzyk.**

JUŻ OD TRZYDZIESTU LAT ożywioną i wielce pożyteczną **działalność** społeczników w zakresie **propagowania** zamiłowania do sztuki wśród **mieszkańców** naszego miasta prowadzi **Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych.**

Jego założycielem i pierwszym **prezesem** był **Tomasz Klepa-Klepczyński.**

Obecnie, od kilkunastu lat, **z wielkim** oddaniem, pracami TPSP **kieruje inż. Marian Gwizdka.**

Podczas spotkania, **zorganizowanego** dla uczczenia 30-lecia Towarzystwa, które odbyło się **15 grudnia 1986 r.,** w pałacyku BWA przy ul. **Wólczańskiej,** najbardziej zasłużonym działaczom wręczono **odznaki oraz** listy gratulacyjne.

Obecni byli przedstawiciele **władz** miejskich z wiceprezydentem Janem Nosko.

ŁÓDZKICH MELOMANÓW czeka **dużej** rangi wydarzenie artystyczne.

W dniach 9 i 10 stycznia **1987 r. sir Artura Rubinsteina,** John, **poprowadzi** orkiestrę Filharmonii Łódzkiej.

Program koncertów zapowiada **się bardzo** atrakcyjnie, bowiem obejmuje **szczególnie** ulubione przez Artura Rubinsteina **dzieła** Chopina — **Koncert F-moll (z udziałem Reginy Smendzianki), walce Ravela oraz „Amerykanina w Paryżu" Gershwina.**

John Rubinstein jest **ponadto znanym i** i cenionym aktorem filmowym i **teatralnym.** Na Broadwayu zasłynął tytułową **rolą w m**-hallu „Pippin".

W ten sposób, mocnym **akcentem** emocjonalnym, uczczone **zostanie 100-lecie** urodzin wielkiego artysty, którego imię nosi Filharmonia Łódzka.

DLA UPAMIĘTNIENIA 70. rocznicy narodzin ruchu wolnomyślicielskiego w Polsce, Międzywojewódzka Szkoła Aktywu TKKŚ w Łodzi zorganizowała w dniu 18 grudnia 1986 r. seminarium popularnonaukowe.

Z interesującymi referatami — omawiającymi dzieje zorganizowanego ruchu laickiego — wystąpili: prof. dr hab. **Barbara Wachowska** i prof. dr hab. **Zbigniew Kuchowicz** z Instytutu Historii UŁ.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁODZI, oddział łódzki ZLP i Towarzystwo Kultury Teatralnej zorganizowały w grudniu 1986 r. wieczór poświęcony życiu i twórczości jednego z najciekawszych poetów i dramaturgów Młodej Polski — Antoniego Szandlerowskiego (w 75 rocznicę jego śmierci).

A. Szandlerowski kilka lat zamieszkiwał w Łodzi i tutaj zdobył nagrodę w konkursie na dramat.

Fragmenty utworów pisarza recytowali aktorzy **Teatru Nowego.**

W DNIACH 5—11 GRUDNIA 1986 R. odbyło się w Berlinie Międzynarodowe Seminarium Tłumaczy, zorganizowane przez Ministerstwo Kultury i Związek Pisarzy NRD.

Nasz kraj reprezentowali: **Zofia** Rybicka, znana tłumaczka z Warszawy, i **Tadeusz Giegier,** poeta i tłumacz z Łodzi.

Ludzie nieustannie będą dążyli do tego, aby mieć jak najwięcej kosztem innych, ale prawo będzie im ciągle to uniemożliwiało. Oto dwa przykłady ludzkich matactw i działania prawa.

EUGENIUSZ IWANICKI

Bałuckie riffifi

W mieszkaniu Bożeny Sz. mającej opinię osoby o niekrępujących obyczajach, odbywało się zwyczajowe towarzyskie party. Właściwie nic takiego; jakieś drobne zakąski, umiarkowana ilość alkoholu, próbowanie głosów pod chóralny śpiew. Zazwyczaj przychodzili do Bożeny Sz. faceci mający głowę na karku.

Rozmowa — jak to w takich sytuacjach bywa — toczyła się wokół pieniędzy i ich szybkiego zdobywania. Najpierw były różne wspominki o tym, że kiedyś tam jeden z ich paczki, co teraz odpoczywa na wikcie państwowym, miał przez wiele lat absolutny fart i mamona pchała mu się sama do ręki, że inny kumpel nie tak dawno zrobił „na sufit" sklep futrzarski, że...

I wtedy ktoś powiedział od niechcenia:

— Znam kogoś, kto śpi na forsie.

— I co? — zapytał Henryk, z zawodu ślusarz, ojciec trojga nieletnich dzieci, który przez pięć lat wycierał dechy na pryczy więziennej, a teraz zażywał zasłużonego odpoczynku na wolności.

— Można byłoby coś nieco wziąć dla siebie — odpowiedział zagadnięty. — Dom jak się patrzy, właścicielka prowadzi zakład kamieniarski, życie tam na wysoki połysk, a w schowkach dewizy, złoto i ta, no jakże ich, precjoza. Ino brać.

Henryk M. udał, że go to interesuje o tyle o ile. Przecież będąc w kryminale nauczył się tego i owego, a przede wszystkim zrozumiał jedno: pośpiech jest grabarzem każdego przedsięwzięcia.

Kiedy goście się wynieśli, Henryk M. zagadnął Bożenę Sz., czy to prawda z tym zakładem kamieniarskim.

— Ty się pytasz? Przecież to milionerka! Wystarczy przetrząsnąć jedną z szaf, a do końca życia nie będziesz musiał pracować.

— Mówisz przetrząsnąć jedną szafę, ale jak to zrobić? W takim domu zawsze pełno ludzi..

Bożena Sz. bierze kartkę papieru i rysuje plan domu.

— No i jak? — pyta.

Henrnyk M. chowa kartkę do kieszeni i w milczeniu wychodzi pod gwiaździste niebo. Prawo moralne, jakie miał w sobie, zadecydowało, że należy niezwłocznie przystąpić do działania.

Teraz co dnia podchodził pod dom owej kamieniarki i pilnie obserwował ruch na podwórzu i zwyczaje mieszkańców. Ustalił, że o jednej i tej samej godzinie starszy mężczyzna wychodzi do sklepu monopolowego i jego nieobecność trwa dość długo. Także kobieta — owa właścicielka zakładu kamieniarskiego — często opuszcza dom zamykając drzwi na klucze. Czas nieobecności właścicieli w zupełności powinien wystarczyć do spenetrowania pomieszczeń i uszczuplenia ich zasobów materialnych. Okolicznością sprzyjającą będzie i to, że włamania dokona w biały dzień, kiedy nikt się tego nie będzie spodziewał.

Wielotygodniowa obserwacja utwierdziła Henryka M. w jego zamyśle. Tak, to jest właśnie to, czego szukał.

Pojechał ponownie do Bożeny Sz.

— Sam nie dam rady — powiedział. — Muszę mieć zabezpieczenie.

— Może ja stanę na lipku?

— Nie, ty nie. A jak przyjdzie taszczyć jakieś walizy, to co wtedy?

— To może Zbyszek?

— Jaki Zbyszek?

— No ten, co to tu czasem przychodzi. Pewny facio, nie beknie, znam go.

Po tygodniu M. i ów Zbyszek są gotowi. Skok planują na 12 listopada 1985 r. Będą udawać malarzy pokojowych, więc nikt nie zwróci uwagi na ludzi taszczących drabinę i wiadra. U Bożeny Sz. przebierają się więc w ubrania robocze, wynajdują jakieś wiadra po farbach, pożyczają drabinę malarską i jadą pod dom; gdzie o tej porze nikogo nie powinno być. Całość operacji jest opracowana co do minuty. Henryk M. widział to często w kinie: precyzja — znaczy sukces.

Podeszli pod pierwsze lewe okno i Zbyszek śrubokrętem podważył ramę. Puściła. Teraz należało działać szybko, choć bez nerwowości. Henryk M. lekko przedostaje się przez parapet do środka, a Zbyszek zostaje na tak zwanym lipku. Właściwie to niepotrzebnie, bowiem — wynika to z obserwacji — w domu nie ma nikogo.

Henryk M. nie tracił czasu na szukanie skrytek. Zdecydowanie podszedł do szafy z bielizną i zaczął jej zawartość wyrzucać na podłogę. Jedna półka — nic, pusto, druga — także nic, kolejna — to samo. Co jest?

W tym momencie usłyszał głos Zbyszka krzyczącego, że nadjeżdżają wozy milicyjne!

Henryk M. nawet się nie namyślał: z rozpędu dał susa przez okno, wykonał tak zwany tygrysi skok. Prosto w objęcia milicjantów! Mundurowi byli tak delikatni, że zapobiegli upadkowi Henryka M. na ziemię: po prostu złapali go lecącego w powietrzu i postawili ostrożnie na nogi.

— Co się stało? — dopytywał się. — Co się stało, że już jesteście?

Podejrzewał, iż być może na jego oczach dokonał się cud, bo przecież wszystko było tak precyzyjnie przemyślane... Zapomniał, że przedstawiciele tego resortu są materialistami i w żadne zdarzenia nadprzyrodzone nie wierzą, a w cuda najmniej.

Rzeczywiście, cudu nie było. Natomiast w mieszkaniu była dorosła córka właścicielki zakładu kamieniarskiego, która spokojnie czekała na zjawienie się złodziei. Czekała, bowiem na kilka dni przed planowanym przez Henryka M. „skokiem" przyszedł do domu jeden z robotników — kamieniarzy i powiedział, że ktoś chce zrobić małe riffifi. Więc niech się mają na baczności.

Jak co dnia starszy pan udał się do sklepu monopolowego, właścicielka domu też wyszła, tylko córka czekała w podnieceniu na zjawienie się włamywaczy. A kiedy pseudomalarz już był w środku i wyrzucał z szafy bieliznę, wymknęła się bocznym wyjściem do sąsiadów i zawiadomiła milicję.

Tak więc skok Henrykowi M. nie wyszedł. Natomiast wyszło na jaw w toku czynności śledczych prowadzonych przez bałucką prokuraturę, że ma on na sumieniu trochę więcej niż ten nieudany wypad. Okazało się bowiem, że jest on specjalistą od włamań do kiosków „Ruchu", skąd wynosił dobra doczesne i sprzedawał paserom. I tak:

26 lutego 1985 r. „załatwił" kiosk znajdujący się u zbiegu ulic Piramowicza i Narutowicza zabierając papierosy, żyletki oraz bilety MPK. Było tego prawie na 300 tys. złotych Część rzeczy zostawił dla siebie, część zaniósł do swojego kolegi Jerzego F., który prowadził kiosk „Ruchu" nr 11. Zaniósł i zostawił, bo kolega nie chciał niczego przyjąć. Była to torba wypchana po brzegi. Zostawił i więcej po nią nie przyszedł. W sierpniu 1985 roku w kiosku nr 11 rozpoczęto inwentaryzację. Sprawa się od razu skomplikowała. Wówczas Henryk M. podejmuje decyzję: trzeba się tam włamać i zabrać pozostawione rzeczy. Podrobionym kluczem otwiera kłódki, wciska się do środka ale torby nie znajduje. Zabiera więc co się da na sumę 155 tys. złotych.

I znów część skradzionych rzeczy pozostawia dla siebie, zaś część postanawia znów wstawić do jakiegoś kiosku. Nie szuka długo: jego kumpel niejaki Andrzej M. wziął w dzierżawę kiosk „Ruchu" nr 69 Panowie znają się od dawna, nie raz robili interesy, więc i teraz powinno się udać. Udaje się. Andrzej M. bierze wszystko oprócz biletów MPK. Boi się, rzecz jest trefna, bo przecież może ktoś tam spisuje numery bloczków i wie, co do jakiego kiosku poszło. Ale Andrzej M. ma brata Bronisława, a Bronisław z kolei ma znajomą kioskarkę, która prowadzi kiosk nr 4. Może weźmie? Elżbieta M. bierze bez zastrzeżeń. I prosi o jeszcze.

31 października 1985 roku Henryk M. włamuje się do kiosku „Ruchu" nr 35. Niestety, łup jest mały, zaledwie jakieś 66 tys. zł. Właściwie szkoda było fatygi i zachodu. Zabrany towar przekazuje do kiosków Andrzejowi M. i Elżbiecie M.

Nasuwa się jednakoż pytanie: czy Henryk M. z tych kradzieży żył dostatnio? Przypominam, iż miał na utrzymaniu trójkę nieletnich dzieci w wieku 8 i 7 lat, a potrzeby odzieży i obuwia w tym okresie dorastania są wręcz wielkie. Podejrzewam, że mimo uprawiania złodziejstwa w domu Henryka M. nie przelewało się.

Na dobrą sprawę ma — jak to się mówi — dobry fach w ręku, gdyż jest z zawodu ślusarzem, lecz ten zawód mu jakoś nie odpowiadał.

Na rozprawie zabraknie jedynie owego Zbyszka, który stał na lipku, w czasie kiedy Henryk M. buszował w mieszkaniu kamieniarki. Jakoś nikt z zainteresowanych, a zamieszanych w sprawę, nie zna jego nazwiska ani gdzie mieszka i co robi. Owszem, przychodził do Bożeny Sz., ale mało to chłopów do niej przychodziło i przychodzi? I co, zaraz każdemu ma zaglądać do metryki?

Prywatna mennica

W pomieszczeniu przy ul. Gospodarczej nr 3 doszło kolejny raz do kosmicznej awantury: pijany kompletnie Tomasz Ch. zwalił całą zastawę stołową i obalając krzesła runął z pięściami na żonę. I mimo otępienia bił mocno i celnie. Pozostali uczestnicy libacji przyglądali się temu ze spokojem: nie pierwszy to i nie ostatni raz. Trójka nieletnich dzieci wcisnąwszy się za tapczan popłakiwała cichutko. Krzyki bitej kobiety wypełniały cały budynek. Ktoś z sąsiadów, kto oglądał właśnie telewizję i komu zagłuszano fonię, wezwał milicję.

Składając zeznania dotyczące awantury żona Tomasza Ch. nie tylko opowiedziała o swojej krzyżowej drodze życia, jaką jej zgotował mąż, ale „zapodała" także fakt, iż Tomasz Ch. trudni się fałszowaniem medalionów z wizerunkiem papieża, które to medaliony kupuje w „Veritasie".

Oboje małżonkowie byli na komisariacie częstymi gośćmi, a picie i bójki w ich mieszkaniu stanowiły nieodłączne atrybuty ich wspólnego pożycia, to sprawa medalionów bardzo wszystkich zaciekawiła. Sprawdzono więc wiarygodność słów maltretowanej żony. Istotnie, Tomasz Ch. właśnie był wpadł na szczęśliwy pomysł szybkiego wzbogacenia się. Pomysł właściwie był prosty: wystarczy nabyć w „Veritasie" okolicznościowy medal za 330 zł z wizerunkiem Jana Pawła II, wybity z okazji drugiej pielgrzymki papieża do ojczyzny, co nieco na nim zmienić — i gotowe. Tomasz Ch. wpierw kalkotekstem zmieniał napis. Oryginalny brzmiał: „Druga pielgrzymka Jana Pawła II do Polski — 16—23.VI.1983" i był wykonany metodą profesjonalnego sitodruku. Tomasz Ch. kalkotekstem zmienił go tak: „Wydanie drugie — nakład 1.200 sztuk — srebro — złocone — próba 0.800 — BN-734/05/84 — cena 15.950 zł". Technika kalkotekstu jest dość nietrwała i z czasem niektóre litery odklejają się i wykruszają, ale tym Tomasz Ch. się nie przejmował. Niech się o to martwi nabywca.

Sprzedawał, jak sam zeznał, zawsze meliniarzom. A to z dwóch powodów: po pierwsze — mają pieniądze i pragną je ulokować w czymś pewnym, w tym przypadku w złocie, po drugie — kiedy się zorientują, że zostali oszukani nigdy tego faktu nie zgłoszą na milicję. Trzeci argument był natury społecznej: Tomasz Ch. podał do protokołu w czasie przesłuchania, iż oszukując meliniarzy działał w interesie społecznym, gdyż pozbawiał ich sporej części wpływów czerpanych z nielegalnego handlu wódką.

Tomasz Ch. miał jednak szczęście. Po przeprowadzonym śledztwie, prokuratura sprawę umorzyła, wychodząc z założenia, że działalność Tomasza Ch. posiadała niewielki stopień niebezpieczeństwa, bo raptem „wyprodukował" takich medalionów kilka.

A więc udało się. I tym razem Tomasz Ch. uniknął więzienia. Tylekroć naruszał prawo i zawsze jakoś wychodził z tego wszystkiego obronną ręką. Pracy nie cierpiał. Czasem gdzieś się zaczepiał na krótko, by po kilku miesiącach po raz któryś wrócić na wikt swoich rodziców staruszków. Bowiem Tomasz Ch. ma naturę wolną, lubiącą niezależność, dobry wikt, częste biesiady, a jeśli ktoś mu nadepnie na odcisk, wtedy nie żałuje pięści. Był jednak w jego życiu mankament: chroniczny brak pieniędzy. Owszem, mógłby pójść do pracy, miał nawet intratny zawód — malarz, ale praca to przecież kupa obowiązków: wczesne wstawanie, wykonywanie różnych czynności, wysiłek. Dlatego zawsze szukał czegoś ekstra, czegoś, co przysporzyłoby mu kapitału, a co za tym idzie, umożliwiłoby łatwe i lekkie życie. Dzieci? Owszem, ma trójkę, ale jakoś tam się chyba chowają, bowiem ani on, ani żona specjalnie się nimi nie zajmują, a żyją i rosną.

Tomasz Ch. jest człowiekiem wierzącym, a to, że darzy specjalną estymą papieża Polaka nie jest w tym kraju niczym specjalnym. Tylko że Tomasz Ch. jest przekonany, iż papież powinien w jakimś stopniu uczestniczyć w jego życiu osobistym. Zaczął fałszować medale z jego wizerunkiem — nie wyszło, choć robił to ostrożnie i dyskretnie. Jak pech to pech.

Szczęście wreszcie uśmiechnęło się do niego w pewien mroźny lutowy dzień. Tego dnia do jego syna przyszła w odwiedziny koleżanka szkolna, przynosząc — pochwalić się — srebrną tysiączłotową monetę z wizerunkiem Jana Pawła II. Tomasz Ch. aż zaniemówił. O, Boże! — pomyślał. — Jakie to proste!

— *Pokaż no tę monetę* — powiedział przymilnie do dziewczynki.

— *To nie moneta, to pieniądze z Ojcem Świętym.*

— *Właśnie. Ja do Ojca Świętego mam szczególną sympatię. Pokażesz?*

— *Ale tylko na chwilę.*

Tomasz Ch. dokładnie przyjrzał się monecie, zważył ją na dłoni, potarł w palcach.

— *Wiesz, co* — powiedział do dziewczynki. — *Wy się tu pobawcie, a ja trochę poprzyglądam się Ojcu Świętemu, dobrze?*

— *Ale potem pan mi to odda, prawda?*

— *Oczywiście, oczywiście.*

W kuchni szybko przystąpił do pracy. I znów — jak poprzednim razem — wszystko szło nadzwyczaj gładko: odcisk, przygotowanie form gipsowych. Zanim dziewczynka skończyła lekcje, już stał przed nią i dziękował za monetę.

W kuchni urządził laboratorium — odlewnię, czyli prywatną mennicę. Pierwszy egzemplarz miał być, jak twierdzi w śledztwie, jedynie zabawą. Ot — mówi — będę miał w domu pamiątkę. Próby były udane: w aluminiowym garnku mieszał cynę, którą wlewał potem do formy. Zastygała dość szybko i błyszczała jak srebro. Kiedy wykonał pierwszy egzemplarz, aż gwizdnął z zachwytu: jak prawdziwy! Więc znów roztopił metal, wlał do formy, ostudził, obrobił, wypolerował. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Jednocześnie wiedział na pewno: będzie teraz panem!

Zeznania kioskarki Heleny M.:

„...około dwóch tygodni temu do kiosku Ruchu przy ul. Gagarina—Rzgowska przyszedł młodzian prosząc o 5 paczek Popularnych, płacąc mi monetą 1.000 z wizerunkiem papieża. Monetę obejrzałam, wydała mi się bardzo ładna i wydałam resztę z 1.000 zł. Nie jestem w stanie tego człowieka rozpoznać, bo przy kiosku było więcej osób".

Zeznanie Krzysztofa Ł.:

Otóż — powiada — był akurat w „Uniwersalu", bo tam się umówił ze swoją dziewczyną. I tam do jego dziewczyny podszedł kolega o imieniu Wojtek, który pracuje przy stoisku z częściami motoryzacyjnymi i pokazał monetę tysiączłotową, mówiąc, że jakiś mężczyzna chce to sprzedać. Moneta była nowa, z wizerunkiem papieża. I chociaż Krzysztof Ł. monet nie kolekcjonuje, tę jednak kupił płacąc 1.000 złotych. Nie, nawet się nie zastanawiał, dlaczego ktoś sprzedaje srebrną monetę tysiączłotową za tysiąc złotych skoro mógłby dostać za nią dużo więcej.

Tomasz Ch. obrał najłatwiejszy sposób puszczania w obieg fałszywych pieniędzy. W kioskach z reguły siedzą kobiety, które na widok monety z wizerunkiem papieża nie będą się zastanawiały, czy jest ona prawdziwa czy fałszywa. Przecież to nie byle jaka gratka mieć taką dla siebie. Na czarnym rynku można za coś takiego sporo zarobić, nie wspominając, iż posiadanie gotówki w srebrze to znakomita lokata kapitału.

Ile Tomasz Ch. wykonał takich falsyfikatów? Twierdzi, że około setki, ale dokładnie nie pamięta. Dziś tego nie ustali ani milicja, ani prokurator, ani sąd. Mogą być jedynie przypuszczenia, bowiem nie wszyscy ci, którzy nabyli te monety od Tomasza Ch. zgłoszą się jako świadkowie.

W czasie przeszukania w domu u Tomasza Ch. znaleziono m.in.: trzylitrowy garnek aluminiowy, zupełnie zakopcony, z mocnym nagarem w środku; kubek aluminiowy z pozostałością stopu metalowego w kolorze białym; foremkę blaszaną wypełnioną tymże stopem; trzy odlewki w kolorze szarym, a także medal z metalu żółtego z wizerunkiem papieża Jana Pawła II po jednej stronie i z Matką Boską Częstochowską po drugiej.

Tomasz Ch. całe życie miał pecha. Właściwie to życie od niego się odwróciło, bo co się zabrał za jakiś interes, to zaraz wpadał albo okazywało się, że nie osiągnie zamierzonych zysków. A chodziło, by te zyski były od razu, z dnia na dzień, żeby nie trzeba było czekać na gotówkę latami. Na dobrą sprawę to każdy głupi może się gdzieś zaczepić i będzie przez całe życie ciułać, niedojadać, oszczędzać, by w dniu śmierci najbliższa rodzina stwierdziła, że nie uskładał nawet na porządny pochówek. Nie, Tomasz Ch. nie należał do idiotów. Pragnął mieć dużo i od razu. Już wtedy, gdy podrabiał medale, liczył na swoją szczęśliwą gwiazdę, snuł marzenia o beztroskim życiu, o zastawionym stole, kolegach, chóralnych śpiewach. Natomiast nie znosił okrutnej prawdy, że pozostaje wraz z rodziną na utrzymaniu swoich rodziców — staruszków. Nawet kumple niekiedy się podśmiewali, że niby chłop jak się patrzy, a do interesów ma dwie lewe ręce. Fałszowanie monet z papieżem miało być także odpowiedzią na owe głupie docinki.

W czasie przeszukiwania mieszkania milicjanci oprócz wspomnianych garnków i formy znaleźli 8 sztuk gotowych fałszywych monet, których Tomasz Ch. nie zdążył puścić w obieg.

W śledztwie Tomasz Ch. niczemu nie zaprzecza ani niczego się nie wypiera. Mówi dużo i chętnie o szczegółach technicznych (właściwie każdy, kto ma odrobinę smykałki może u siebie w kuchni założyć prywatną mennicę i fałszować dowolnie walutę polską i obcą), obszernie wyjaśnia sposób kolportowania (najlepiej kupić w kiosku jakiś drobiazg posyłając kogoś młodego, bo taki nie wzbudza podejrzeń), z mgiełką melancholii i sentymentu wspomina o urządzanych w domu pijatykach (zarobione pieniądze przeznaczał wyłącznie na alkohol, bowiem jego organizm nieustannie domagał się wódki). Jednakże czytając te jego wynurzenia, ma się przekonanie, iż pozostaje coś jeszcze, jest jakaś tajemnica, którą stara się ukryć za potokiem słów. Dlatego tak bardzo pragnie kontaktu z „wolnością", tak bardzo zabiega o widzenia, o korespondencję. Tę oficjalną i tę nielegalną. W miarę upływu czasu, kiedy wszystko wskazuje na to, że tym razem nie znajdzie pobłażliwości u Temidy, postanawia przemycić poza mury aresztu grypsy. I nie wie, że wszystkie one trafiają do jego akt i będą stanowić dodatkowe dowody w czasie rozprawy sądowej. Jednocześnie świadczą one niezbicie, że Tomasz Ch. nie wszystko jednak powiedział w śledztwie.

Pisze on mianowicie: *„Cześć Tadek! Ja jestem na „Wojewódzkiej", powiedz Markowi, że fajansiarz za dużo pucuje. Skontaktuj się z nim i powiedz żeby nic więcej nie gadał na zeznaniach ja biorę wszystko na siebie...".* I dalej: *„Tomek w razie byście byli z Markiem wzywani na Komendę to się do niczego nie przyznajcie ja nic nie pucuje tylko nie wiem co gada fajansiarz".*

Tomasz Ch. ma żal do naszego ustawodawstwa: przecież miało być zielone światło dla oddolnych inicjatyw, a gdy on tylko spróbował — od razu ujrzał szarość więziennych murów. I gdzie tu jest sprawiedliwość!

Polemiki • Listy • Opinie

„BORUTA NAD ZGIERZEM"

Artykuł opublikowany przez Włodzimierza Kupisza w 46 numerze Odgłosów z 15 listopada 1986 r. pod tytułem „Boruta" nad Zgierzem" wywołał w „Borucie" duże rozgoryczenie. Wielu pracowników „Boruty" zastanawia się bowiem, jaki cel chciał osiągnąć autor, pisząc w przedstawionej formie wspomniany wyżej artykuł. Jeżeli miał on służyć zwiększeniu troski i nakładów na ochronę środowiska w „Borucie", to cel jest chybiony, gdyż nawet z artykułu wynika, że zagadnienie to nie schodzi z uwagi kierownictwa przedsiębiorstwa. Jeżeli chodzi o udowodnienie szkodliwości produkcji dla otoczenia, to jest to wyolbrzymione a przypisywanie „trucia" otoczenia przez „Borutę" jest dużym nieporozumieniem. Zakład ten wyróżnia się wyraźnie wśród zakładów barwnikarskich w kraju w zakresie ochrony środowiska.

Opinia o „Borucie" została ukształtowana kilka lat temu i nie ma wiele wspólnego z obecną sytuacją w zakładzie. Wynika to także z artykułu, ale z komentarzem pana redaktora, podtrzymującym tę opinię a nawet zwiększającym psychozę o szkodliwości działania „Boruty" dla otoczenia i pracowników.

Nie miał chyba autor na celu, poprzez swój artykuł, wymuszenia zamknięcia „Boruty", gdyż trudno sobie wyobrazić zmniejszenie produkcji krajowej barwników o prawie 70 proc. Sądzę, że wówczas naturalne kolory bawełny, wełny i innych surowców byłyby powszechną barwą naszych ubiorów. Częściowo jednak autor osiągnął ten cel (może nawet niezamierzony), gdyż artykuł ten wyraźnie utrudnia nabór nowych pracowników, na co bardzo liczono. Niskie zatrudnienie (około 50 proc. z lat 70) uniemożliwia szybki wzrost produkcji barwników niezbędnych w kraju i na eksport.

Z danych przedstawionych przez Włodzimierza Kupisza można by także przy dobrej woli napisać artykuł zmieniający dotychczasową, niekorzystną opinię o „Borucie". Autor nie uczynił tego, gdyż nie musiał tego robić, ale także nie musiał przedstawiać tendencyjnie sytuacji „Boruty".

Przejdźmy jednak do faktów.

CZY NIKT NIE BADA SKAŻEŃ?

Najpierw sprawa wysypiska śmieci i odpadów. Nie jest prawdą, że nic się nie czyni, aby wysypisko to nie było szkodliwe dla otoczenia. Jego powierzchnia nie jest zwiększana od wielu lat, rośnie natomiast wysokość. Stoki wysypiska zarośnięte są krzewami a powierzchnia szczytowa ugniatana i przesypywana ziemią. Wystarczy więc zobaczyć zarośnięte krawędzie bujną roślinnością, aby zmienić zdanie o szkodliwości wysypiska dla otoczenia. Przy każdym zakładzie tego typu musi być miejsce na gromadzenie odpadów. Ważne jest natomiast, aby było ono odpowiednio zabezpieczone i rekultywowane, co ma miejsce w „Borucie".

Zupełnie inaczej wygląda także sprawa badania skażeń wewnątrz fabryki, niż to przedstawiono w omawianym artykule. „Boruta" posiada Pracownię Badań Warunków Pracy i Środowiska, gdzie pracuje 8 osób. Osoby te dokonują ciągłych pomiarów czystości powietrza na stanowiskach pracy na terenie zakładu oraz w strefie ochronnej „Boruty". Ponadto w strefie tej są zainstalowane stałe stacje poboru ewentualnych zanieczyszczeń działające w sposób ciągły przez całą dobę. Są one sprawne od 1974 r. Wyniki tych badań wykazują, że stężenia zanieczyszczeń utrzymują się w granicach norm a w wielu przypadkach są dużo niższe. Trzeba też uczciwie przyznać, że zdarzają się sporadyczne przypadki przekroczenia zapylenia. Jednak nie można powiedzieć, że pyły te są produktem tylko „Boruty".

Badania stężeń zanieczyszczeń na stanowiskach pracy na wydziale Kwasu H od dłuższego czasu nie wykazują także przekroczeń norm a oddział betaoxy, gdzie występował betanaftol, jest nieczynny od połowy 1985 r. Mieszanie faktów z lat poprzednich z bieżącymi daje błędne wyobrażenie o aktualnej rzeczywistości a tym samym deprecjonuje nawet najlepsze osiągnięcia.

Wymaga też wyjaśnienia sprawa emisji zanieczyszczeń przez elektrociepłownię. Posiadane i zainstalowane elektrofiltry są najbardziej sprawne w aglomeracji łódzkiej, i nie można mieć pretensji do „Boruty" że brak w kraju jeszcze lepszych.

Ogólna ilość pomiarów dokonywanych w ciągu roku na terenie fabryki i otoczenia sięga 11.000. Nie można więc w żadnym przypadku twierdzić, że sprawa ta wygląda źle w „Borucie".

Godnym podkreślenia jest fakt, że „Boruta" posiada, jako jedyny zakład na terenie Zgierza i okolic oczyszczalnię ścieków i obecnie rozpoczęła jej rozbudowę i modernizację poprzez budowę nowego zbiornika o pojem. 27 tys. m sześć. Nakłady tylko na ten cel wyniosą około 1 mld zł. Ścieki powstałe w „Borucie" są neutralizowane, uśredniane i natleniane, a zanieczyszczenia stale pozostają w osadnikach. Ścieki są już przygotowane do przyjęcia przez Grupową Oczyszczalnię Ścieków, budowaną na obrzeżach Łodzi. Faktycznie wody rzeki Bzury wpływające na teren zakładu posiadają większe zanieczyszczenia niż ścieki „Boruty" odprowadzane obecnie do tejże rzeki. Jako dowód powyższego faktu jest widok zimujących dzikich kaczek na zbiorniku wód przemysłowych „Boruty" Teren całego zakładu stał się w ostatnich latach wielkim parkiem. Drzewa świetnie się rozrastają a więc na pewno nie szkodzi im atmosfera i gleba „Boruty". Nie można tego natomiast powiedzieć o otoczeniu innych zakładów chemicznych. Dlatego też sądzę, że zakwalifikowanie „Boruty" do 12 największych trucicieli w Polsce nie znajduje uzasadnienia.

Badania własnej służby bezpieczeństwa pracy jak również jednostek niezależnych od przedsiębiorstwa nie wykazują od kilku lat przekroczenia norm emisji. Potwierdza to osoba najbardziej kompetentna — dyrektor Wydziału Ochrony Środowiska Gospodarki Wodnej i Geologii UMŁ, Jan Diebl. Włodzimierz Kupisz po jednorazowej, 2-godzinnej bytności w zakładzie, wie lepiej od fachowców, że jest inaczej i twierdzi, że „Boruta" należy do trzech najrozleglejszych i najniebezpieczniejszych rejonów skażeń.

PROBLEMY ZDROWOTNOŚCI ZAŁOGI

Na tym odcinku działania „Boruty" można przyjąć jako wzorcowe. Dowodów na prawdziwość tego stwierdzenia jest dużo. Zakład wybudował ośrodek zdrowia z oddziałem szpitalnym. Nie chodziło „Borucie" o leczenie zatrutych pracowników, lecz o szeroko pojętą profilaktykę. Następnym dowodem troski o własną załogę jest fakt zamknięcia oddziału produkcji benzydyny. W latach 70 wybudowano nowy oddział benzydyny za olbrzymią kwotę jak na ówczesne czasy — 120 mln zł. Po stwierdzeniu, że nie udało się zlikwidować kontaktu pracowników z tym produktem, mimo zastosowania znanych najnowocześniejszych rozwiązań, oddział zamknięto w 1981 r. Produkt ten jest wytwarzany w innych krajach i musi być importowany za ciężkie dewizy, gdyż jest niezbędny do produkcji wielu wyrobów finalnych w kraju. Zatrzymanie tej produkcji było dla „Boruty" bardzo kosztowne tak pod względem konieczności wyeliminowania produkcji znacznej części barwników, dla których benzydyna stanowiła półprodukt oraz poważnego zmniejszenia eksportu. Zdrowie pracowników jest najważniejsze i nie wahano się z podjęciem tak radykalnej decyzji.

Należy podkreślić, że w ostatnich latach według statystyki prowadzonej przez Przemysłową Służbę Zdrowia zachorowalność ogólna pracowników „Boruty" jest niższa niż pozostałych mieszkańców Zgierza. Wielu pracowników pracuje w „Borucie" ponad 20 lat i nie jest zatrutych i nie cierpi na choroby zawodowe. Odchodzą oni na emeryturę tak jak i w innych przemysłach, w górnych granicach wieku.

Praca w zakładzie chemicznym, jakim jest „Boruta" bywa na pewno bardziej uciążliwa niż w innych gałęziach gospodarki narodowej i powinna być za to odpowiednio wynagradzana. Można także stwierdzić, że paląc papierosy dobrowolnie się zatruwamy, co potwierdzają badania naukowe, a jednak palenie dynamicznie się rozwija. Jestem bardzo ciekawy, czy Wł. Kupisz jest palaczem i czy bierze pod uwagę powyższy fakt? Mówiąc poważnie, trudno sobie wyobrazić, że rozwój przemysłu chemicznego zostanie nagle zatrzymany, nawet jeżeli nie zawsze przyjemnie pachnie. Wyciąganie spraw z przeszłości i przedstawienie ich w czasie teraźniejszym przyniosło „Borucie" wymierne szkody. Dlatego też uważam, że wydrukowanie niniejszego artykułu w całości pozwoli zmniejszyć chociaż w części niekorzystny dla zakładu skutek poprzedniego artykułu „Boruta nad Zgierzem".

LECH JĘDRZEJCZAK

KONKURS BHP

Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych; Ministerstwo Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki; Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Naczelna Organizacja Techniczna ogłaszają: „Konkurs w dziedzinie poprawy warunków pracy"

Celem konkursu jest osiągnięcie trwałej i kompleksowej poprawy warunków pracy na stanowisku pracy, w oddziale lub w całym zakładzie.

Za najlepsze rozwiązania przyznawane są nagrody:
zespołowa — pierwszego stopnia do wys. 250.000 zł, drugiego stopnia do wys. 150.000 zł; trzeciego stopnia do wys. 50.000 zł; indywidualne — pierwszego stopnia do wys. 50.000 zł; drugiego stopnia do wys. 30.000 zł; trzeciego stopnia do wys. 20.000 zł.

W konkursie mogą wziąć udział zespoły pracownicze oraz osoby indywidualne. Termin składania opracowań upływa 15 stycznia 1987 r.

Wszelkich informacji udziela Dział Organizacyjny Oddziału Łódzkiego NOT w Łodzi, Plac Komuny Paryskiej 5a.

KONKURS NA PLAKAT

Wydawnictwo „Epoka" i „Kurier Polski" ogłaszają dla artystów plastyków, absolwentów i studentów wyższych szkół plastycznych ogólnopolski konkurs otwarty na plakat o następującej tematyce:

UCHWALENIE KONSTYTUCJI 3 MAJA — DOROCZNYM ŚWIĘTEM STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO

50-LECIE KLUBÓW DEMOKRATYCZNYCH I STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO.

Pokolenia Polaków wychowały się na akceptacji wartości idei zawartych w Konstytucji 3 Maja. Dorobek Sejmu Czteroletniego miał istotny wpływ na kształtowanie się polskiej myśli demokratycznej. Również Stronnictwo Demokratyczne sięgnęło u zarania swej działalności do dziedzictwa Konstytucji 3 Maja. Hierarchia zasad polityczno-państwowych, praw i obowiązków obywateli zawarta w Konstytucji legła u podstaw programu SD, zwłaszcza jeśli chodzi o takie idee, jak: zasada suwerenności narodów, nadrzędności prawa, przezwyciężenia anarchii i samowoli, udział obywateli w rządzeniu państwem, ogólnospołeczna rola pracy.

Obchody mają także wzbogacić działania programowe Stronnictwa oraz poszerzyć obszar jego społecznego oddziaływania. 50-lecie partii — to niezwykle ważny moment w jej dziejach, który należy właściwie zdyskontować propagandowo.

DANE TECHNICZNE PLAKATU:

1. Technika druku — offset.
2. Format plakatu — B-1 (99 x 68 cm po obcięciu).
3. Liczba kolorów — do 6 (próbki kolorów czystych i wypadkowych należy zamieścić na odwrocie plakatu).
4. Farby fluoryzujące — wykluczone.
5. Na plakcie konieczny jest napis: 3 Maja — święto Stronnictwa Demokratycznego (1) oraz 50-lecie Klubów Demokratycznych lub 50-lecie Stronnictwa Demokratycznego (2). Wskazane jest, aby w projektowanym plakacie uwzględnić godło SD.
6. Projekt powinien być naklejony na tekturę.
7. Do pracy konkursowej, oznaczonej sześciocyfrową sygnaturą należy załączyć zamkniętą kopertę opatrzoną tą samą sygnaturą zawierającą wewnątrz:

a) powtórzoną sygnaturę, imię i nazwisko oraz adres autora pracy,

b) podpisane oświadczenie autora lub autorów, stwierdzające, że projekt jest ich osobistym dziełem i wszelkie prawa autorskie należą do niego lub do nich.

8. Prace należy składać lub przesyłać do 15 lutego 1987 r. do Wydziału Propagandy i Prasy Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, 00-029 Warszawa, ul. Nowy Świat 27.

Prace wpływające po ustalonym terminie (decyduje data stempla pocztowego) lub nie odpowiadające warunkom konkursu nie będą rozpatrywane.

Sąd konkursowy złożony z przedstawicieli organizatorów oraz środowiska plastycznego po rozpatrzeniu prac przyzna:

Jedną nagrodę specjalną w wysokości 50 tys. zł za plakat o najwybitniejszych walorach ideowych i artystycznych.

Ponadto przyznane zostaną:
— jedna nagroda I stopnia — 50 tys. zł
— jedna nagroda II stopnia — 30 tys. zł
oraz trzy wyróżnienia po 20 tys. zł.

Sąd konkursowy rezerwuje sobie prawo do innego podziału nagród lub ich nieprzyznania. Wypłata nagród i wyróżnień nastąpi w ciągu 21 dni od dnia rozstrzygnięcia konkursu.

Za prace przeznaczone do druku autorzy otrzymują, niezależnie od nagród, honorarium według obowiązującego cennika za prawo reprodukcji. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo wystawienia prac na wystawie pokonkursowej w CK SD w Warszawie.

Wyjaśnień związanych z konkursem udziela: sekretarz konkursu — Marian Ratajkiewicz, Warszawa, tel. 26-10-01 w. 47 w poniedziałki i czwartki w godz. 12—14.

LONDYŃSKIE DROBIAZGI

Po przeczytaniu relacji Marka Brzezińskiego z pobytu w Londynie („Odgłosy" nr 51 z 20 grudnia 1986 roku) nijak nie mogę się opędzić od pewnych wątpliwości. Dotyczą one choćby zdania „Biada jednak pieszemu, gdyby próbował przejść przez jezdnię w innym niż dozwolone miejsce". Być może dotyczy to szybkich tras przelotowych, ale na ulicach centrum Londynu wiele razy widziałem, jak kierowcy bez zdenerwowania przepuszczali niefrasobliwych pieszych, choć ci nie znajdowali się na wyznaczonym przejściu. Panuje w tej mierze podobna tolerancja, jak przy wypuszczaniu samochodów uwięzionych w bocznych, najczęściej jednokierunkowych, uliczkach, o czym zresztą autor wspomina. Obserwacje te nie są wprawdzie najnowsze, lecz nie sądzę, by w krótkim czasie konserwatywni skądinąd Anglicy zmienili swoje nawyki.

Pisząc o dojazdach londyńczyków do różnych punktów miasta, M. Brzeziński wymienia nazwę kolei (British Railway) przemilczając jednak określenie tamtejszego metra — London Tube, którego podziemna sieć jest rozplanowana niezwykle precyzyjnie.

Wreszcie autor używa sformułowania: „na głównej ulicy handlowej, na Oxford Circus". Brzmi to niejasno. Jeśli uznać Oxford Street za „główną ulicę handlową", to trzeba powiedzieć, że nazwa ta oznacza centralny odcinek ciągnącej się ze wschodu na zachód wielokilometrowej arterii po północnej stronie Tamizy, zaś wspomniany Oxford Circus to po prostu... niewielki placyk będący skrzyżowaniem Oxford Street i Regent Street.

A poza tymi drobiazgami — generalnie wszystko się zgadza.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

VI OGÓLNE ZEBRANIE CZŁONKÓW KLUBU ADWOKATÓW PISARZY

VI doroczne ogólne zebranie członków Klubu Adwokatów Pisarzy którego siedzibą jest Łódź, odbyło się w dniach 6 i 7 września 1986 r. w Łodzi, w lokalu Okręgowej Rady Adwokackiej. Program obrad obejmował bieżące problemy związane z działalnością Klubu, wybór nowych władz Klubu oraz prezentację utworów poetyckich i prozy członków Klubu. Wśród dyskutowanych zagadnień omawiano sprawę publikowania utworów członków klubu także poza „Palestrą Literacką", również potrzebę nawiązania łączności z innymi ośrodkami literackimi w kraju i za granicą.

Nowe władze klubu ukonstytuowały się następująco: prezesem wybrany został ponownie adw. Alfred Dreszer (Łódź), wiceprezesami — adw. adw. Karol Pędowski (Warszawa — ponownie) i dr Leszek Sługocki (Łódź), sekretarzem — adw. dr Juliusz Leszczyński (Łódź), skarbnikiem — adw. Ludomir Sierakowski (Łódź — ponownie) oraz jako członkowie — adw. adw. Halina Piekarska (Warszawa — ponownie) i Aurelia Mikulińska-Korczyńska (Kraków). W skład Komisji Rewizyjnej weszli jako przewodniczący adw. Tadeusz Mazurkiewicz (Maków Podhalański — ponownie) oraz jako członkowie adw. adw. Janina Kruszewska (Łódź) i Wiesław Uptas (Kołobrzeg — ponownie).

W części literackiej prezentowali swoje utwory w kolejności ich wygłaszania adw. adw. Aurelia Mikulińska-Korczyńska, Stanisław Mikke, Józef Malcen, Juliusz Leszczyński, Henryk Nowogródzki, Alfred Dreszer, Leszek Sługocki, Janina Kruszewska, Karol Pędowski, Wiesław Uptas, Kazimierz Oblizajek, Maria Budzanowska, Miron Kołakowski, Andrzej Bartkowski, Edward Muszalski. Ponadto aktorka Teatru Nowego w Łodzi recytowała utwory nieobecnych adw. adw. Stefana Wolskiego i Janusza Waliszewskiego, także obecnej Wandy Klott i fragment opowiadania z książki Henryka Nowogródzkiego „Ze wspomnień warszawskiego adwokata".

Zgodnie z przyjętym zwyczajem ogólne zebrania członków klubu odbywają się każdego roku w innym mieście. I tak pierwsze organizacyjne zebranie miało miejsce w Łodzi, następne w Warszawie, dalsze kolejne dwa — w Domu Pracy Twórczej Adwokata w Grzegorzewicach, ubiegłoroczne w Krakowie. Zebrani uchwalili, aby doroczne zebranie w 1987 r. odbyło się w Katowicach.

A.D.

KTO ZAWINIŁ W SPRAWIE SKAUTÓW PIWNYCH?

W nr 50 „Odgłosów" z 13 grudnia 1986 r. W. Afelt opublikował list pt. „Migawki", który poruszył sprawę dotyczącą „Skautów Piwnych".

W liście tym pisze: (cytuję)

„...Prasa doniosła, że któryś z organów społecznych wniósł do prokuratury zarzut przeciwko „Skautom Piwnym", iż reklamują oni spożywanie napojów alkoholowych. Mój Boże — różne rzeczy sobie wyobrażałem, ale wyobraźnia moja (i chyba nie tylko moja) nie nadąża za rzeczywistością. Tak więc wykonawcy, a może nawet autorzy programu TV, który leciał przez szereg miesięcy, był akceptowany, cenzurowany itp., nagle naruszają przepisy ustawy o wychowaniu w trzeźwości!

Nasuwa się pytanie: gdzie byli ci działacze wcześniej? Czemu nie skarżą telewizji, bo ta przecież pierwsza publikowała niecne podobno produkcje Skautów. Dlaczego dopiero teraz? A może rzeczywiście wykonawcy pobierają jakieś apanaże od producentów piwa i — nie daj Boże — innych napojów alkoholowych, co przecież jest domeną Państwa, za reklamę".

A moim skromnym zdaniem winę w całej historii można by przypisać Głównej Kwaterze ZHP w Warszawie, która nie zdobyła się na to, aby zaprotestować jeszcze w miesiącach letnich przeciwko ośmieszaniu Związku (jak wskazywały na to pomijane milczeniem listy wielu instruktorów ZHP).

Od wielu lat tak się utarło, że skautów uważano za pierwowzory harcerstwa, które przecież w najcięższych dla Ojczyzny czasach, spełniało wobec niej z poświęceniem swój obowiązek. W samej chorągwi łódzkiej wojna obronna 1939 roku zamknęła się wśród harcerstwa bilansem 43 poległych i 13 rannych.

Nie wyobrażam sobie stanowisk innych organizacji społecznych, gdyby powstały np. zespoły „Zblazowanych Krwiodawców" lub „Kiziorowatych Działkowców", pomijając już tego rodzaju „wycieczki" w stosunku do ZSMP lub ZMW.

MIECZYSŁAW KOZAK

Gdy czytam o takich sporach, mam zaraz wątpliwości, czy przypadkiem nie mamy spraw poważniejszych, o których warte byłoby się pospierać. I rodzi się pytanie: a gdzie poczucie humoru? Jeśli każdy się będzie obrażał, gdyż go skarykaturowano, to z czego się będziemy śmiali? Z siebie się wzajemnie śmiejmy. Tak być powinno.

Ale listy w sprawie Skautów Piwnych nadal będziemy drukowali.

REDAKTOR DYŻURNY

NIEFORTUNNY SKRÓT

Szanowny Panie Redaktorze

W moim artykule „Maskotki demokracji?" („Odgłosy" — nr 51 z 20 grudnia 1986 r.), po niezbyt fortunnym dokonaniu przez Redakcję skrótu we fragmencie dotyczącym Społecznej Rady Konsultacyjnej, powstała niezamierzona przeze mnie sugestia, jakoby członkowie Rady pobierali wynagrodzenie za swe funkcje doradcze. Jest to mniemanie błędne — o ile wiem, członkostwo Rady jest zajęciem honorowym i nie opłacanym przez przewodniczącego Rady Państwa. Proszę poinformować o tym Czytelników „Odgłosów".

TOMASZ SAS

Łódź, 20 grudnia 1986 roku

Na południe od Czernobyla (3)

Strefa podwyższonej szlachetności

ROMAN KUBIAK

Przechadzka mokrymi ulicami Kijowa coraz rzadziej przywołuje echa tamtych trwożnych i niepewnych dni, kiedy awaria w czernobylskiej elektrowni jądrowej odmieniła życie wielkiego miasta. Tylko czasem jeszcze jakiś pojedynczy przechodzień zatrzymując się przy ulicznym stoisku z ciastkami czy owocami zapyta ściszonym głosem:

— *Zdrowe?*

— *Oczywiście!* — obruszy się sprzedawczyni w przepisowo białym fartuchu i uważniej zerknie na niedowiarka.

— *Wy na pewno nie z Kijowa* — odgadnie.

— *A skąd wiecie?*

— *Nasi już od dawna nie pytają o te sprawy.*

Trudno jednoznacznie wyrokować, czy w atomowym świecie pół roku to długi okres, czy może zaledwie chwila. Życie człowieka zestawione z aktywnością niektórych pierwiastków promieniotwórczych jest tylko epizodem. Dla nas, którzy z dystansu obserwowali czernobylski dramat, ta świadomość nie daje spokoju. Lecz tutaj, w bliskości nieszczęsnego reaktora, intryguje coś zgoła odmiennego — postawy. Chłodne, piekielnie racjonalne zachowania ludzi, którym przyszło na co dzień obcować z niewidzialnym wrogiem. Dla nich pół roku znaczy dawno. Najgorsze minęło dawno temu, czyli parę miesięcy wstecz.

Najgorsze miało obraz pustki. Z kijowskich ulic zniknęły tak charakterystyczne dla miasta stoiska i straganiki z lodami, owocami i chrupiącymi ciasteczkami. Obowiązywał zakaz ulicznego handlu i prowadzenia sprzedaży żywności na wolnym powietrzu. Zamarły nawet automaty z sodową wodą i sokami. W całej republice wprowadzono okresowe, bardzo surowe normy jakościowe dla wszystkich produktów rolnych. Ale bazar prawie nieprzerwanie tętnił gwarem.

Lubię krążyć po bazarowych placach, oglądać krzykliwych sprzedawców czosnku pod niebiosa zachwalających swą garstkę towaru. Lubię patrzeć jak rumiane handlary tłustymi palcami zawijają w gazety łykowate cielska patroszonych gęsi. Na kijowskim bazarze jest to wszystko i jeszcze obrazki, których należy spodziewać się na targu pod każdą szerokością geograficzną. Są więc barwne piramidki przeróżnych owoców i byle jak rzucone pęki zieleniny, sznury suszonych grzybów i białe jak śnieg sery. Jest melodia brzęczących monet i jazgot pierzastych stworzeń. Jest rzeka ludzi wijąca się między straganami, gdzie kipi bezczelność stu kramarzy, z których co najmniej jeden chwyta mnie za rękaw i każe próbować parchate jabłko.

— *Smaczne?* — pyta z nadzieją na garść kopiejek.

— Gorzkie — wyznaję szczerze, żując kęs owocu podłej odmiany — Może to od radiacji...

Kramarz w teatralnym geście obejmuje zdziwioną głowę i wylewa potok słów oburzenia:

— *Moje jabłuszka są czyste jak łzy popa! Wszystko co przywożę na targ jest sprawdzane i niech mnie piorun trafi, jeśli komuś życzę radiacyjnej choroby. Zresztą tu mam urzędowy papier, że owoce były badane i są zdrowe.*

— *Dobrze mówi* — włącza się sąsiad po kramarskim fachu. — *Bez przepustki na targ nie wejdzie nawet kartofel. Było już tak, że ludzie najpierw pytali o przepustkę, a potem dopiero o cenę.*

— Podobno wiosną ceny bardzo spadły?

— *Tylko przez kilka dni, zaraz po wybuchu w elektrowni.*

NIEWIELU BYŁO ODWAŻNYCH,

a więcej ostrożnych. Dlatego na przykład piękne, soczyste truskawki marnowały się, chociaż można je było kupić prawie za darmo.

— A co z sałatą, jarzynami?

— *Tak samo. Mało było jarzyn na targu, bo świeżych ludzie się bali. Woleli kupować te w puszkach i słoikach. Zresztą były komunikaty, żeby unikać sałaty.*

— Teraz nie są już potrzebne przepustki na bazar?

— *I bardzo dobrze. Przecież nie ma strachu. W gazecie pisali, że jabłka ze skażonej strefy też były badane, no i wyszło, że trzeba ich zjeść aż trzysta kilogramów, by zaszkodziły zdrowiu.*

— *Tylko miodu nie będzie* — dorzuca trzeci kramarz. — *Dużo pszczół padło w tym roku, podobno są najmniej odporne na radiację.*

— *To może dać arbuza* — nalega pierwszy i wielkim nożem rozcina zieloną kulę. — *Arbuz jest słodki jak miód.*

— Rzeczywiście.

— *Mam też smaczne winogrona, pierwsza klasa* — zachęca kupieckim uśmiechem. — *Nie trzeba ich nawet myć przed jedzeniem. Są czyste jak łzy popa...*

Na obrzeżu bazarowego placu kwitnie handel ciuchami. Głównie modnymi kurtkami i bluzami w szałowych, obowiązujących w tym sezonie kolorach. Ubrania są w większości zagraniczne — obowiązkowo z oryginalnymi metkami, albo nieudolnie podrabianymi na „paryski" styl. Ceny ciuchów należą raczej do kosmicznych, a tłok przy stoiskach też jest nieziemski. Przewodzi młodzież w pasiastych adidasach i wycieralnych dżinsach, które za niecałe sto rubli można już bez problemu kupić w domu towarowym. Toteż bawełniane spodnie na dobre zniknęły z miejskich targowisk, ustępując pola bajernym fatałaszkom z błękitnych gniecіuchów i różowego misia. Takie miejsce, gdzie modny ciuch przechodzi z ręki do ręki, a forsa z kieszeni do kieszeni bez udziału kasowego paragonu, nazywa się „tołkuczką".

„Tołkuczka" jest jak barometr zbiorowego nastroju: cichnie w niepewnych chwilach i ożywia się, kiedy znów zaświeci słońce. Bo człowiek w czasach niepokoju, nawet jeśli ma pieniędzy bez liku, przestaje dbać o detale, uciechy i błahostki. Wtedy obojętnie mija się takie miejsca jak ciuchowy bazar. Wtedy myśli się jedynie o stokroć ważniejszej sprawie, bez której wszystko inne nie ma sensu. Dzisiaj kijowska „tołkuczka" znowu pulsuje życiem, znów jest jarmarkiem maleńkich uciech i drobnych radości codziennych. Więc niech ten barometr mówi sam za siebie...

W metrze jest czas na przejrzenie porannej gazety. Najlepiej podczas jazdy ruchomymi schodami, które wynoszą pasażerów ze stacji na powierzchnię, albo mkną w dół pochyłym tunelem na marmurowy peron. Schody są szybkie, lecz korytarze metra głębokie, dlatego jazda trwa dostatecznie długo, by rzucić okiem na gazetę, lub przewertować skrypt — jeśli akurat jest się studentem i wysiadło się na stacji „Uniwersytecka". Poranna prasa już tylko w krótkich komunikatach informuje o tym, co aktualnie dzieje się pod Czernobylem. Dla mocno tym zainteresowanych kijowian jest to wiadomość spóźniona o kilkanaście godzin. Wczoraj wieczorem wszyscy słuchali jej przy telewizorach. Zawsze w „gorących" sprawach prasa musi uznać sprinterską wyższość kamery. Ostatni komunikat ze skażonej strefy mówi o zakończeniu kolejnego etapu pracy przy zniszczonym reaktorze. Sytuacja jest całkowicie opanowana, dlatego czernobylskie wieści są coraz krótsze. Kiedy sprawa, która od miesięcy nie schodziła z czołówek dzienników powoli staje się informacyjnym tłem, to znaczy, że nastał czas refleksji i rozliczeń.

Każdy naród ma takie mądre przysłowie, które mówi, że w obliczu dramatycznych wydarzeń ujawnia się prawdziwa wartość człowieka. Opada starannie kreowana maska i człowiek jakim jest staje przed wielką próbą charakteru. Bywa, że od rezultatów takiej próby zależy wszystko: życie własne i innych ludzi. My Polacy nader rzadko używamy określeń „bohater" i „tchórz". Wolimy mniejsze słowa. Tutaj, być może dlatego, że tak blisko najważniejszego wczoraj miejsca na Ziemi, sprawy, rzeczy i ludzkie postawy nazywa się po imieniu. A nawet po nazwisku. Ze wskazaniem palcem.

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy usłyszałem nazwisko Sołowiow. Chyba jeszcze podczas jazdy jakimś zatłoczonym trolejbusem, gdzie raczej nie ma okazji, by dociec pełnej treści przypadkowo podsłuchiwanej rozmowy. Ale przypominam sobie, że nazwisko to było wymawiane z dziwnie twardym akcentem. Potem kilkakrotnie jeszcze słyszałem je przy różnych sposobnościach, lecz mój prywatny wizerunek owego pana S., o którym mówiono jak najgorzej, ciągle pozostawał mglisty. Aż któregoś dnia

NADARZYŁA SIĘ SPOSOBNOŚĆ WYJAŚNIEŃ.

To było w młodzieżowym klubie. Chłopak z gitarą rzucił fragment piosenki. Jej refren brzmiał mniej więcej tak: „*Wstań, podnieś rękę, nie bądź jak Sołowiow*".

— Kto to jest Sołowiow? — zapytałem, gdy skończył grać.

— *Tchórz!* — padła jednoznaczna odpowiedź.

— Tchórz to bardzo mocne słowo. Kim jest ten człowiek i co takiego uczynił?

— *Raczej kim był. Był zastępcą dyrektora czernobylskiej elektrowni atomowej i tej nocy,*

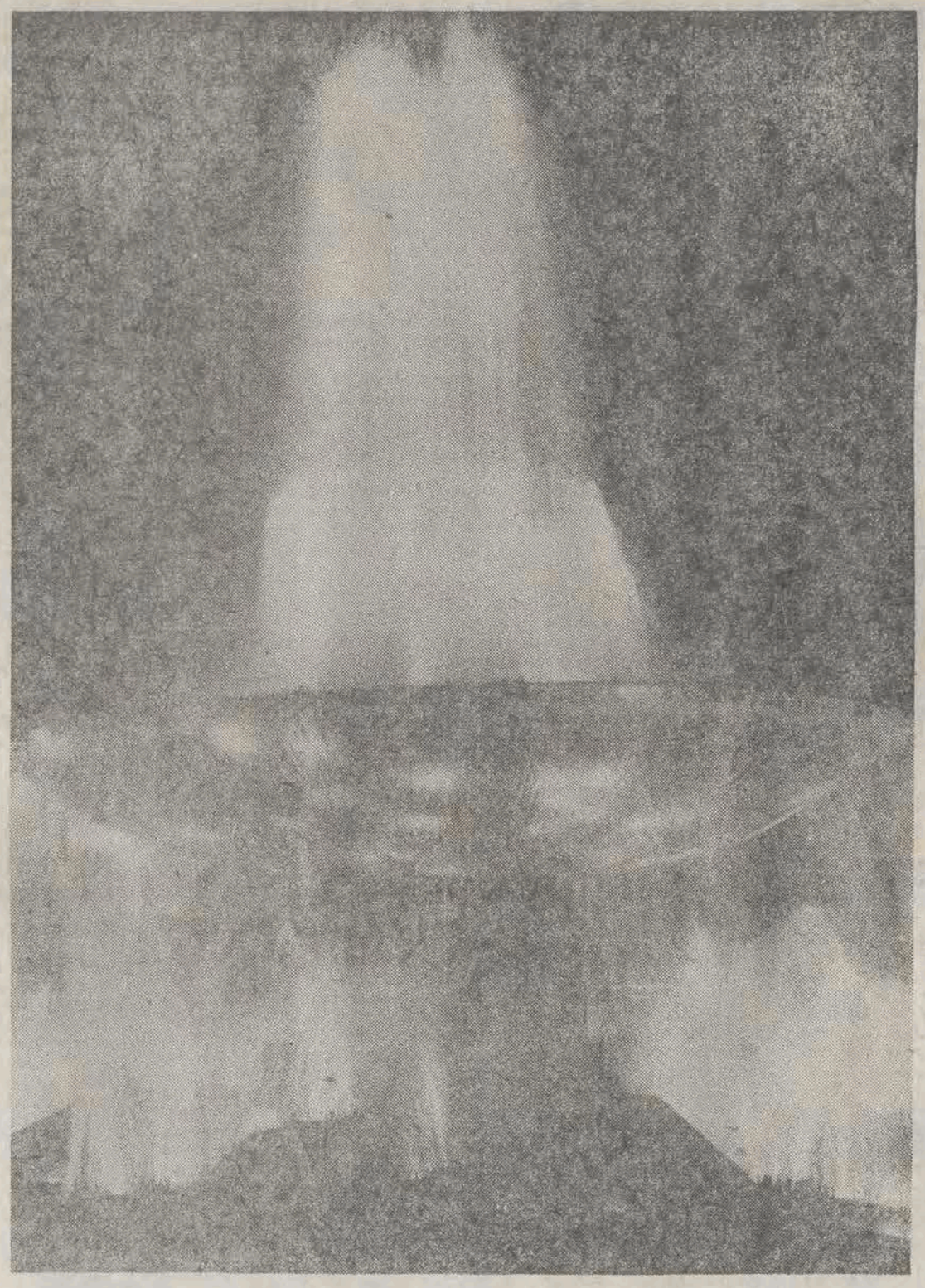

Foto: Grzegorz Gałasiński

kiedy nastąpił wybuch w reaktorze, Sołowiow po prostu uciekł stamtąd zostawiając swoich podwładnych na pastwę losu.

— Odnaleziono go?

— *Jeszcze nie, ciągle ukrywa się na jakimś odludziu.*

Uciekli i także ukrywają się kierownicy zmian z czwartego reaktora i kilku odpowiedzialnych za wypadek inżynierów.

— Dlaczego?

— *W elektrowni popełniono szereg poważnych błędów, które stały się przyczyną tragedii. Ci ludzie zaniedbali swoje podstawowe obowiązki. Dobrze o tym wiedzą, lecz nie mają odwagi po męsku przyznać się do winy. Czy to nie jest podłe tchórzostwo?*

O tych, którzy zawiedli w najważniejszej próbie charakteru mówi się z goryczą i wstydem. Ale nie milczy się. Rozdrapywanie świeżych jeszcze ran jest bardzo bolesne, lecz milczenie byłoby policzkiem dla tych, którzy pod Czernobylem oddawali życie. Więc głośno mówi się i pisze o ponad stu pracownikach elektrowni, członkach partii z miasta Prypeć niedaleko Czernobyla, którzy panicznie opuścili miejsce dramatu. O kierowniku ekipy odkażającej, Małofience, który po kilku godzinach pracy uciekł ze strefy i chciał wyłudzić lekarskie zwolnienie, a zostawił bez opieki ewakuowane autokarami kobiety i dzieci...

W cztery miesiące po czernobylskim wypadku dziennik „Prawda" pisał tak:

„W każdej rodzinie może się zdarzyć czarna owca. Organizacje partyjne wnikliwie badają wielotysięczny kolektyw czernobylan. Wspierają tych, którzy na to zasługują i rozliczają tych, którzy postępują niewłaściwie. W kijowskim komitecie obwodowym partii wymieniono nazwiska dwudziestu ośmiu byłych członków partii. Był wśród nich naczelnik grupy projektowania roboczego oddziału instytutu Hydroprojekt, W. Faustow, który samowolnie porzucił podległy mu personel, byli kierownicy Griszczenko i Gałasiuk, usunięci z szeregów KPZR z jednakowo bezwzględnym sformułowaniem: za tchórzostwo i panikę".

W rozmowach, w radiu, telewizji i na kolumnach tutejszych gazet coraz częściej powtarza się wyrażenie „*szirokaja głasnost*" — szeroka jawność. W przypadku codziennych relacji spod Czernobyla oznacza to konsekwentne mówienie wprost o faktach, zdarzeniach i ludziach z nimi związanych. Bez osłonek i niedomówień. Kiedy rzecz dotyczy haniebnych ludzkich postaw, jawność jest surowszą karą niż sądowy wyrok.

Ale byłoby wielce niegodziwym, wytykając tchórzy zapominać o bohaterach. Tych także nazywa się po imieniu, choć granica między bohaterstwem a obywatelską postawą jest bardzo delikatna. Nie zastanawiał się nad tym operator Walery Chodemczuk, którego grobem jest krater zniszczonego reaktora. Ani jego przyjaciel Włodzimierz Szaszenko, który poparzony i śmiertelnie napromieniowany ozolgał się, by ratować Walerego. Ani dzielni strażacy, którzy ugasili pożar czwartego bloku, a potem skonali w straszliwych mękach popromiennej choroby. Ani lekarz pogotowia Paweł Tyniakow, który siedem razy wracał pod dymiący reaktor, by nieść pomoc rannym ludziom. Ani piloci helikopterów w karkołomnych lotach zrzucający piasek i bor w gardziel jądrowego wulkanu. Ani zbudzeni ze snu ratownicy, kierowcy, sanitariusze...

W walce z niewidzialnym, atomowym wrogiem nie wolno wierzyć w szczęście. Na wojnie kula może przejść obok, a w skażonym polu promienny pocisk dosięga wszystkich bez wyjątku. Tylko ci, którzy dobrowolnie i świadomie wkraczali w zasięg cichej śmierci po to, by ratować innych, a może nawet przyszłe pokolenia, wiedzą ile kosztuje taka decyzja. Rosjanie mawiają, że skażona strefa była strefą podwyższonej szlachetności.

Tę postać bezbłędnie rozpoznają wszyscy: krępy mężczyzna po pięćdziesiątce, zmęczone oczy, wyraźna łysina. To akademik Jewgienij Wielichow, fizyk, doradca rządu w sprawach nuklearnych, wiceprezes Akademii Nauk i obrońca pokoju. Człowiek, który przez długie tygodnie był najwyższym autorytetem w czernobylskich sprawach. Jego słowa miały moc przekonywania, przywracały spokój. Bo akademik Wielichow osobiście dowodził wielką bitwą z pożarem jądrowego reaktora. Był

NA PIERWSZYCH LINIACH ZMAGAŃ,

czterdzieści razy z pokładu śmigłowca zaglądał do wnętrza krateru, żeby skutecznie obezwładnić go na zawsze. A później kierował jeszcze pracami przy dezaktywacji i dozymetrycznej kontroli strefy. Dlatego słowa Jewgienija Wielichowa były jak wyrocznia.

W stolicy Ukrainy czas nie zaciera pamięci o ludziach i zdarzeniach stamtąd. Lekarz kijowskiego szpitala opowiada, że kiedy na badania profilaktyczne przywożona jest grupa żołnierzy pracujących przy odkażaniu strefy, wtedy kijowianie przynoszą żołnierzom bukiety kwiatów. Stare kobiety witają ich jak synów powracających z wojny.

Ludzie zwyczajnie chcą pokazać, że nie stoją na uboczu i że potrafią pomóc. Myślą i czynem. Wysyłają zaproszenia do ewakuowanych spod elektrowni rodzin, pytają czego im potrzeba. Młodzież zorganizowała rockowy koncert na stadionie w Moskwie. Przyszło dwadzieścia pięć tysięcy młodych i każdy kupił drogi bilet wstępu. Za darmo grały zespoły „Brawo", „Awtograf" i „Kruiz", śpiewała Ałła Pugaczowa. Sto tysięcy rubli dochodu i kolejne setki tysięcy ze sprzedaży płyt oraz kaset wpłacono na konto pomocy ofiarom czernobylskiego dramatu.

C.D.N.

Na ulicach Konstantiny
(Algieria)

WŁODZIMIERZ KAŁCZAK

ze str. 1

wspólnie z pewnym docentem — pracę na ten temat. Ów docent, korzystając ze swej pozycji naukowej, wydał tę pracę pod swym nazwiskiem. Tadeusz Sarnecki ujął się honorem, porzucił zajęcia na uczelni. Zapisał się na studium pedagogiczne, praktykując jednocześnie jako nauczyciel w gimnazjum im. Joachima Lelewela w Warszawie.

Pracował tam do roku 1934. Potem przeniósł się do Chełma Lubelskiego, gdzie przez rok był nauczycielem języka polskiego w Gimnazjum Kupieckim, a następnie do Zamościa, gdzie zatrudnił się również w miejscowym Gimnazjum Kupieckim. Jako młodzieniec wrażliwy na poezję pisał wiersze. w Zamościu, w roku 1935, wydał swój debiutancki tomik „Poszukiwanie siebie".

— *Poznałam się z moim przyszłym mężem właśnie w Zamościu, w szkole* — wspomina Hildegarda Sarnecka. — *Pracowaliśmy razem, ja byłam tam germanistką. Zbliżyło nas do siebie wspólne zainteresowanie literaturą polską i niemiecką, wspólna działalność w harcerstwie. Latem jeździliśmy razem na wizytację obozów. Taki ciekawy szczegół: Tadeusz był w Zamościu, mimo młodego wieku, osobą bardzo popularną, wszyscy mu się kłaniali: ale nie jako poloniście — jako sportowcowi. Rozpierała go energia, grał w piłkę nożną i opiekował się miejscową drużyną piłkarską, zabierał mnie na mecze. Poza tym świetnie tańczył, razem chodziliśmy na bale. Któryś bal, pamiętam, inaugurował modny wówczas walc angielski: poszliśmy w pierwszą parę, potem dołączyli do nas inni...*

Piękne, beztroskie lata. Ale tylko do czasu. W roku 1937 postawiono Tadeuszowi Sarneckiemu zarzut, że zarała młodzież poglądami lewicowymi. Narosły też konflikty w gimnazjum. W rezultacie opuścił Zamość i wrócił do Łodzi. Hildegarda pojechała do Piotrkowa Tryb.

Kiedy w rok później Tadeusz Sarnecki zaczął wydawać w Łodzi, wespół z Grzegorzem Timofiejewem, miesięcznik „Wymiary" i kiedy poszukiwał współpracowników w innych miastach napisał również do Zamościa, do swego znajomego z gimnazjum, Feliksa Czekierdy. Zachowała się w archiwum domowym poety odpowiedź jego korespondenta, w której ten m.in. pisze:

„Niech Pan nie ma żalu do mnie za stosunki w Zamościu, bowiem niewiele byłem w stanie Panu pomóc, a było trochę winy po Pańskiej stronie, że nie potrafił Pan zdobyć się na bardziej energiczne przeciwstawienie się małemu światkowi koltuństwa, z którym cackał się zbyt po dżentelmeńsku. Dlatego potraktowano Pana jak każdego porządnego, ale słabego człowieka. Dla takich środowisk uczciwość musi być opancerzona w brutalną siłę, gdyż bezbronna zostanie zepchnięta w błoto".

— *Podtrzymaliśmy znajomość,* — wspomina dalej Hildegarda Sarnecka — *Tadeusz przyjeżdżał do mnie do Piotrkowa. Wreszcie pobraliśmy się, mimo skomplikowanej sytuacji. Byłam z pochodzenia Niemką, a w powietrzu wisiała wojna z Niemcami. Nasz ślub odbył się w sierpniu 1939 roku. Czekały nas, przy tej napiętej atmosferze, małe wakacje, które postanowiliśmy spędzić na wodzie. Mąż sam zbudował łódź, ja uszyłam żagle i namiot. Ruszyliśmy na spływ Wartą, chcieliśmy dotrzeć kanałem do Gdańska. Ale kanał był już zamknięty. Zakończyliśmy więc nasz tygodniowy rejs koło Wrześni.*

WYBUCHŁA WOJNA.

Tadeusz Sarnecki poszedł wraz z innymi bronić Warszawy. Został ranny, na szczęście niegroźnie; uratowała go maska gazowa, w którą trafił pocisk, i która zmniejszyła jego siłę. Po powrocie do Łodzi zaczął działać w konspiracji jako redaktor tajnych pism: „Kroniki", „Kroniki Polskiej", a potem „Biuletynu Kujawskiego", któremu nadano taki tytuł dla zmylenia okupanta. Gestapo deptało mu po piętach.

— *W tym czasie poważnie zachorowałam* — mówi Hildegarda Sarnecka — *miałam wirusowe zapalenie stawów, byłam przykuta do łóżka. Pod nogami miałam wałek, a w nim ukrytą „bibułę". Kilka razy odbyła się rewizja w naszym domu, jednak „bibuły" nie znaleźli.*

W lipcu 1942 roku Tadeusz Sarnecki został skazany zaocznie na karę śmierci. Grunt zaczął mu się palić pod nogami. Musiał uciekać z Łodzi. Przedostał się do Warszawy. Tam dalej wydawał konspiracyjne pisma.

Był wrażliwy na ludzką niedolę. Po upadku powstania zabiegał o to, żeby Niemcy zwolnili rannych, i w rezultacie wywieziono go z Warszawy ostatnim transportem, który był już mocno strzeżony. O ucieczce nie mogło być mowy. Trafił do obozu pracy w Appeldornie w północno-zachodniej Nadrenii. Zapędzono go do kopania rowów strzeleckich w gliniastej i mokrej ziemi. Później został przeniesiony do obozu przejściowego nad Renem, z którego przewożono jeńców i robotników cudzoziemskich na wschodni brzeg rzeki. W marcu 1945 roku udało mu się zbiec, dotarł do linii frontu i przez Holandię przedostał się do Belgii. W Brukseli redagował wznowioną „Kronikę Polską".

— *Stamtąd* — mówi Hildegarda Sarnecka — *dostałam od niego wiadomość, że po wyjeździe do Warszawy w jego życiu pojawiła się inna kobieta i że urodził mu się syn. A myśmy dziecka nie mieli.*

W książce „Miłość nie zna zmęczenia", wydanej w roku 1959, Grzegorz Timofiejew pisze:

„Czas był niespokojny, łuna nadciągającej wojny świeciła już prawie w oczy, kiedy wespół z Tadeuszem Sarneckim, moim kolegą szkolnym i literackim, przystąpiłem w roku 1938 do wydawania w Łodzi pisma „Wymiary". Był to miesięcznik literacko-artystyczny dużego formatu, w układzie graficznym Władysława Strzemińskiego.

...„Wymiary" starały się służyć sprawom łódzkim, propagowały badanie dziejów ojczystego miasta i rejestrowały bieżące wydarzenia kulturalne.

...Publicystykę społeczno-polityczną w „Wymiarach" reprezentował głównie Tadeusz Sarnecki, pisujący zadziornie i pod różnymi pseudonimami."

Leży przede mną

PIERWSZY NUMER „WYMIARÓW",

datowany: „Kwiecień 1938". Papier trochę pożółkły, ale wytrzymał próbę czasu — prawie pół wieku. Zastanawiam się, jak po takim czasie będą wyglądać dzisiejsze periodyki — i czy w ogóle będą wyglądać? Znakomity druk świetne reprodukcje zdjęć z przedstawień teatralnych. Rzecz jasna, interesuje mnie przede wszystkim, co pisał wtedy Tadeusz Sarnecki. W numerze znajduję jego wiersz „Wizje polarne", a także — pod pseudonimem Jerzy Korwin Kosarski — artykuł „Walka o kulturę Łodzi". Czytam:

„...w Łodzi powstaje wyraźny bunt przeciw jałowej atmosferze miasta. Oto powstała już w międzyczasie nowa inteligencja zawodowa spośród dzieci dawnych rzemieślników i robotników. Ta inteligencja wypiera żywioł niemiecki z technicznych stanowisk w przemyśle, ogarnia poza tym handel, urzędy i instytucje społeczne. Wyrosła już w Łodzi i do niej po studiach wróciła, jest z miastem związana uczuciowo, ma prawo do miłości własnego środowiska. Kilku starszych panów z elementu napływowego do Łodzi w okresie jej rozwoju może tylko na mieście tym spekulować, ale ci młodzi ludzie potrafią coraz piękniejsze miasto swoje kochać, wbrew nawet logice entuzjazmują się jego życiem. To zupełnie zmienia postać rzeczy".

W jednym z następnych numerów, pod tym samym pseudonimem, Tadeusz Sarnecki publikuje artykuł „O atmosferę kulturalną Łodzi". Oto fragmenty:

„...Wyjdźmy z zaścianka, z kręgu małości i zawiści. Wielkość leży tylko na szerokich drogach świata, niesie ze sobą oddech północy i południa, zachodu i wschodu. Walczmy o kulturalną atmosferę Łodzi. Jeszcze kiedy nie ma kultury, może być już właściwa jej atmosfera. Zjawia się natychmiast wtedy, gdy wydano walkę chamstwu i egoizmowi i naprzeciw brutalnego buta i pięści postawiono myśl i książkę.

...Chcemy w Łodzi kultury. Wierzę wszystkim na słowo. Dla tej kultury pracują już „Wymiary", ale niestety więcej mają trudności niż poparcia i życzliwości."

Ewa Sarnecka, druga żona Tadeusza Sarneckiego, mieszkająca w Świdrze, udostępniła mi przechowaną pieczołowicie korespondencję „Wymiarów". Cóż to za ciekawe dokumenty. „Wymiary" nawiązały szeroką współpracę z dziennikarzami, literatami, krytykami i naukowcami łódzkimi i nie tylko łódzkimi. Ci pierwsi to m.in. Eugeniusz Ajnenkiel, Mieczysław Jastrun, Kazimierz Sowiński, Czesław Garda, Stefania Skwarczyńska, Anna Rynkowska. A dalej? Jakże to szeroka plejada nazwisk i rozpiętość geografii!

A więc z Warszawy: Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Jerzy Zawieyski, Jan Nepomucen Miller, Julian Rogoziński, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Karol Zawodziński, Witold Doroszewski, Julian Krzyżanowski, Stanisław Helsztyński, Witold Hulewicz, Karol Irzykowski.

Z Krakowa: Kazimierz Wyka, Michał Chmielowicz, Kazimierz Czachowski, Jalu Kurek, Tadeusz Hołuj, Zygmunt Fijas.

Z Zakopanego: Jerzy Kamil Weintraub, z Poznania — Hieronim Michalski, z Bydgoszczy — Władysław Dunarowski, z Mysłowic — Ignacy Fik, z Częstochowy — Wacław Kubacki, z Ostrzeszowa — Stanisław Czernik, z Wielowsi — Stanisław Piętak, z Cieszyna — Julian Przyboś, z Radomia — młody podwówczas poeta Tadeusz Różewicz, z Wielunia — młody satyryk Wiesław Brudziński.

A obok Wielunia — Paryż: Jan Brzękowski, Jerzy Paczkowski, Józef Wittlin, Berlin — Aleksander Brückner, Lucca we Włoszech — Felicja Campetti. Ta ostatnia pisze:

„Czytałam właśnie w piśmie włoskim o powstaniu nowego czasopisma w Łodzi, mającego na celu m.in. szerzenie znajomości literatury włoskiej w Polsce. Jestem z pochodzenia Polką, łodzianką nawet, mieszkam od lat kilku we Włoszech, obecnie mej ojczyźnie. Znając oba języki — polski i włoski — i mając za sobą dość obszerną działalność literacką, zapytuję, czy współpraca moja nie mogłaby być pożyteczną Redakcji? Z radością witam podjętą przez WWPPanów walkę ze złym imieniem — i złym stanem kulturalnym — mego rodzinnego grodu."

Julian Tuwim tak skwitował pojawienie się „Wymiarów":

„Bardzo dziękuję za „Wymiary", którym chętnie przyślę jakiś utwór — 1) gdy się on zjawi, 2) gdy mi się uda wyrwać go z chciwych rąk mojego „monopolisty", Grydzewskiego. Piszę ostatnio b. mało, jako że „lasy płoną", a co napiszę — zaraz mi Grydz porywa. Ale mam nadzieję, że dla Łodzi okaże się on wyrozumiały. Przesyłam „Wymiarom" życzenia najpomyślniejszego rozwoju! Mierz siły na „Wymiary"!.

„Wymiary" borykają się z rozlicznymi trudnościami, przede wszystkim natury finansowej. Pismo powstało ze składek, zabiega o dotacje — najczęściej bezskutecznie. Autorzy prawie w każdym liście upominają się o zaległe honoraria lub kwestionują jego wysokość. Jedni proszą o potrącanie należności za prenumeratę z listy wypłat, inni — jak np. Stanisław Ryszard Dobrowolski — nie życzą sobie takich praktyk. W kartce datowanej 22 maja 1939 ten ostatni pisze:

„Uprzejmie zapytuję, na jakiej zasadzie bez mego upoważnienia i bez uprzedzenia mnie została mi potrącona z honorarium autorskiego należność za prenumeratę (której nigdy nie deklarowałem) — zł. 7.50. Zastrzegając się stanowczo przeciw tego rodzaju nigdzie nie praktykowanym a wielce niestosownym metodom postępowania, oczekuję rychłego wyjaśnienia sprawy."

„Wymiary" wychodzą dalej, co na ówczesne stosunki jest dużym sukcesem. Można się tylko domyślać, ile trudów i zabiegów włożyli ich redaktorzy. Wydawali przy tym pismo w nieprzychylnej dla siebie atmosferze, ze względu na jego postępowy charakter. Znamienna jest ta część korespondencji, w której czytelnicy proszą, by nie wymieniać ich nazwisk w publikowanej liście prenumeratorów.

Organizowane są, znów chyba składkowym sumptem, „kawy redaktorskie", na które zaprasza się literatów, dziennikarzy z miejscowej prasy, przedstawicieli władzy. Ci ostatni z reguły nie przychodzą, pomijają zaproszenie milczeniem lub wystosowują zdawkowe podziękowania. Ale „Wymiary" nie kapitulują. Urządzają wieczory autorskie, jak np. wieczór poezji Kazimierza Wierzyńskiego ze wstępem Tadeusza Sarneckiego. Usiłują zmontować koalicję pism postępowych: świadczy o tym korespondencja z lwowskimi „Sygnałami", z warszawskim „Piórem", z katowicką „Fantaną". Ba, troszczą się nawet o młode talenty, organizują konkurs na wiersz i opowiadanie. W archiwum „Wymiarów" zachowało się sporo listów, pisanych przez młodych adeptów pióra i twórców-robotników. Jeden z nich, przesyłając wiersze, pisze do redaktora: *„W Pańskim ręku spoczywa mój los!"*. Inny dziękuje za umożliwienie mu debiutu.

Tak trwało do lipca 1939 roku. Potem nastąpiła przerwa wakacyjna. Numer wrześniowy, złożony i wydrukowany, już się nie ukazał. „Wymiary" były fenomenem na ówczesnym łódzkim gruncie. Wychodziły bez przerwy rok z okładem i niewątpliwie ukazywałyby się dalej, gdyby nie wybuch wojny. Dla ścisłości trzeba dodać, że w tym czasie funkcjonowało również inne, konkurencyjne pismo na dobrym poziomie — „Kultura Łodzi", a także poświęcona sprawom plastyki „Forma". Trzy periodyki artystyczne, utrzymywane wysiłkiem kilku ludzi — nobilitujące miasto.

Dwa rozdziały życia (1)

TADEUSZ GICGIER

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pożar

(7)

WALENTIN RASPUTIN

— Jestem zmęczony, Afonia. Wyczerpany. Sam widzisz, dogadać się ze mną nie można.

— A Jegorowka?

— Co Jegorowka?

Myślał, Afonia powie: ona jest w nas, w nas. Myślał, zacznie mówić, że jak stąd powyjeżdżamy, to tak, jakby jej wcale nie było, naszej Jegorowki, a półkiśmy tutaj, to i pamięć o niej żyje. Dlatego, że sam tak uważał. Ale Afonia powiedział:

— Znajdziesz na wodzie to miejsce, gdzie była Jegorowka?

— Nie wiem. Jak obrachuję, to znajdę.

— Bo ja chcę teraz latem znak jakiś postawić na tym miejscu. Że tu była Jegorowka, pracowała nie najgorzej dla mateczki-Rosji.

— Jak to postawisz? Kto ci pozwoli?

— A kto mi zabroni? Nie ma takiego zakazu, Iwanie Pietrowiczu. Nie słyszałem, żeby taki zakaz był. Nigdy nie słyszałem. Jeśli wolno na ziemi, to dlaczego nie wolno na wodzie?

Iwan Pietrowicz otrząsnął się:

— To wszystko dziecinada. Co to, małym dzieckiem jesteś, żeby się w coś takiego bawić? Komu od tego lżej będzie?

— Ech, Iwanie Pietrowiczu — jakoś tak swobodnie, ale bez ulgi, z goryczą, roześmiał się Afonia — Policz sobie: ile dziecinady jest naokoło... może moja zabawa nie będzie od rzeczy?

Musiał skręcać w swoją uliczkę — i skręcił.

21.

Tak to już jest: dopóki nie było ognia, grzebali się we dwóch z Afonią, jak ogień podszedł — to się ludzie zlecieli. I gęsto ich teraz kipiało jak w kotle, w ostatnim magazynie, skąd wylatywały w białym tumanie wyrzucane jak popadnie worki z mąką, kaszą i cukrem. I wszyscy się pchali tutaj, do tego żaru i gorąca. Samo w sobie to byłoby dobre, przecież chleb, a nie co inne, ratują, ale pokazali się pomiędzy ratującymi pijani. Jednego — chłopaka, z którym zrzucali dach, a potem wyciągali olej, Iwan Pietrowicz wyciągnął z żaru, gdy tamten już nie wiedział, co się z nim dzieje. Wyciągnął i spuścił na drogę, a ten od razu się tam ułożył na nocleg na mące: Drugiego, archarowca w nadpalonym waciaku, ktoś wyrzucił ze środka niczym worek, i kiedy tak się grzebał pomiędzy workami, gramoląc się żeby wstać, zobaczył na nim Iwan Pietrowicz nowe, nie zadeptane walonki.

Wyrzucali worki zaraz za drzwi, wyrzucali tyle aby wyrzucić, wyrwać spod ognia. I tu, o dwa kroki od magazynu, wcale dla nich ratunku nie było. Runie dach, i zostanie tam wszystko pod ogniem. Iwan Pietrowicz zabrał się do znoszenia ich na zwalony płot. Już nawet nie wrzucał ich na plecy, lecz podciągał tylko na mokry brzuch i niezgrabnie biegnąc zrzucał na pochyłość. Tam znowu ktoś je łapał i wynosił na drogę. I z tego, jak łapał, krzywo przygarniając do boku, Iwan Pietrowicz poznał, że był to jednoręki Sawielij.

Silny chłop z tego Sawielija, nie sterany i zręczny, mimo lat. I teraz też obracał raz za razem, bez paniki a szybko, i jego silna ręka, jak kleszcze, nie obsuwała się, kiedy chwytał worek.

Jakiś pijany głos wołał Iwana Pietrowicza. Jeśli dochodził głos to znaczy, że nie z ognia, znaczy, że człowiek nie płonie — i nie odwracał się Iwan Pietrowicz. Teraz liczyła się każda minuta.

Nagle zachciało mu się dowiedzieć: co teraz jest — noc czy rano? Chciał to wiedzieć bardziej niżby upaść i złapać oddech. Podniósł oczy ku górze, skąd przychodzi świt, i tam, wydało mu się, ciemność jak gdyby wilgotniała, zaciągała się czymś mętnym i mokrym. Znaczy, już niedługo będzie rano. Gdy tak patrzył w górę, potknął się i o mało nie przewrócił.

I dziwne: to nagle wszystko wokół ścichało i Iwan Pietrowicz stał w absolutnej ciszy i pustce, to znów nadlatywały dźwięki i obok zaczynali miotać się ludzie. I wówczas urywanym echem odzywał się w nim każdy okrzyk — jakby właśnie ku niemu biegł i w nim osiadał, i wówczas, nie patrząc, widział całe podwórze z płonącymi teraz już na całej długości magazynami, ziejącą na cztery strony przestrzenią na miejscu płotów i bezładną krzątaniną wewnątrz.

W rogu, gdzie się zapaliło, dopalał się żar. Wydawało się, jakby to stamtąd dmuchało, stamtąd niósł się ogień podwójnej miary wygiętym koromysłem, na końcach którego ciemniały jeszcze spore płomienie jak wisiorki dwa skrajne magazyny. Tamten, który był na drodze do sklepu, został do połowy zburzony, znowu tam komenderował głos Kozielcewa. Ludzie, doskakiwali i odskakiwali, doskakiwali i odskakiwali, gorące ich wymiatał, jak śmiecie.

Nie gwizd, nie świst i nie ryk był tym głównym dźwiękiem, z którym szalał ogień, lecz trzask, potężny trzask — zupełnie jakby płomień wyłamywał się z drzewa i wzlatując rozpruwał niebo.

I wszyscy na podwórzu krzyczeli i krzyczeli.

Wala-magazynierka żądała od Wodnikowa komisji, żeby, nie odkładając sprawy, zrobić spis tego, co się uratowało. Boris Timofiejcz charczał zdartym głosem:

— Jaka komisja?! Zgłupiałaś?! Jakie teraz komisje! No popatrz!

— Nie, to ty popatrz! — Wala rozkładała szeroko ręce i pokazywała nimi naokoło. — Co się tu zostało, no popatrz! Skrzynki były liczone — pokazała na piramidę skrzynek z wódką.. — Sześćdziesiąt osiem skrzynek było policzone — gdzie one są, gdzie te sześćdziesiąt osiem?!

— Niech je szlag trafi, te twoje skrzynki! Kto je wynosił? Ja nie dawałem polecenia, żeby je wynosić! Niechby się spaliły.

— Nie, szlag to niech trafi twoich pracowników! Te skrzynki mnie siedzą na karku!

I jak pomyślała magazynierka, co jeszcze siedzi jej na karku, jak ścisnęło rozpaloną obręczą ten wątły karczek, to znowu zapłakała Wala. A kiedy odjęła ręce od oczu, Wodnikowa już przy niej nie było, lecz dreptał obok stary Misza Champo, próbujący jakoś użalić się nad biedaczką.

— No popatrzcie tylko, wujku Misza, no popatrzcie — poprosiła po raz dziesiąty przez łzy i zaczęła zbierać, pomagał jej stary Misza, porozrzucane przedmioty w jedno miejsce.

W magazynie z mąką zaczęło pokrzykiwać głośniej i ordynarniej — bez wrzasku, bez ponaglania i popędzania nie mogło się obyć. I coraz częściej, wyrzucając worki, zaczęli przystawać ludzie — żeby zaczerpnąć powietrza. Iwan Pietrowicz ciągle przenosił worki. Już rąk ni nóg nie czuł, i w zabójczym tempie zgubiło się gdzieś i nie skakało więcej serce. Pamiętał tylko jedno: podnieść, utrzymać i zrzucić, i te trzy nieskomplikowane ruchy, powtarzane bez końca, dzieliły jego bieg na trzy oddechy.

Wypuszczając z rąk worek, w kotłującym się wokół bałaganie poczuł jakiś szczególny dysonans. Naprawdę, jakby nie zobaczył, ale poczuł, że coś złego się kroi, i dopiero potem spojrzał. I znowu jakaś postać odeszła dalej niż wymagał ten chaos, i szła do łaźni, szła tam i niosła worek. Iwan Pietrowicz zszedł na drogę. W drodze powrotnej postać drgnęła, zauważywszy, że ktoś na nią czeka, i przyspieszyła kroku. Nie z tych był Sawielij, co tracą rezon.

— Co ty robisz? — powitał go Iwan Pietrowicz. — Przegłodziłeś się?

— A widziałeś coś?

— Widziałem.

— Figę żeś widział. Podanie napisałeś. Tam patrz teraz, gdzie napisałeś. Jasne?

I opuścił swoją jedyną, ciężką rękę Iwanowi Pietrowiczowi na ramię.

Dlaczego, kiedy chcą namówić do złego, klepią po ramieniu?

Zdążyli. Z ostatniego magazynu zabrali wszystko i wypadli na zewnątrz — wrzeszczący, rozpaleni i wściekli. Krzyczał dzikim rykiem także Afonia Bronikow, człowiek zawsze spokojny i zrównoważony, podobny teraz do starego diabła: w mące, w sadzy, rozdarty. Iwan Pietrowicz patrzył na nich ze zdziwieniem i poczuciem winy, jakby sam stał tu z założonymi rękami. Łupnęło coś wewnątrz opróżnionego magazynu, zawyło i ogień wyrwał się do góry, łącząc ostatnim objęciem wszystkie magazyny spożywcze w jedną wysoką ryczącą pochodnię.

Ktoś, przyczaiwszy się resztą, wyrwał z siebie, wściekle chrypiąc:

Wrogowi nie podda się „Wareg" nasz dumny,
O litość nikt z nas nie poprosi!

Stary Misza Champo, napatrzywszy się różności w tej gorączkowej bieganinie, aż przetarł oczy dla lepszego widzenia: dwójka ludzi grała w piłkę. Skopana i złachmaniona, przypominająca spore rozłażące się zawiniątko, odskakiwała od nogi do nogi, i tak przy pomocy podań i strzałów, zygzakami zbliżała się do powalonego płotu. Stary Misza obejrzał się, żeby pokazać, ale akurat nikogo nie było w pobliżu. Tymczasem piłka uderzyła o płot i coś z niej wypadło. Dłużej się nie zastanawiając, Champo rzucił się do graczy. Jeden z nich złapał piłkę rękami, przerzucił na ulicę i skoczył sam. Stary Misza skoczył za nim. I kiedy tamten się schylił, żeby podnieść, stary Misza dopadł go, opuściwszy na kolnierz zdrową rękę, oderwał, jak dziecko od ziemi i zdążył zauważyć, że „piłka" była w rzeczywistości zawiniątkiem z kolorowym wachlarzem rozmaitych ciuszków. A tym, kto ją podnosił, był Sonia.

Champo ledwie zdążył się rozejrzeć, kto to — co to, gdy z boku spadł na niego cios. Zdążył tylko przełożyć rękę, ścianąć Sonię za szyję i przyciągnąć do siebie. Ten zakwiczał jak prosię, próbując z podskoku podciąć starego Miszę. I jeszcze raz, i jeszcze raz uderzyli go czymś ciężkim — nie rękami. Stary Misza wyciągnął głowę, żeby zobaczyć, kto go bije, lecz za nic nie mógł jej podnieść, i tylko wystawiał prawą, bezwładną rękę próbując się bronić. I cały czas bili go i bili, ciągle bili i bili...

Tak też potem zobaczył ich Iwan Pietrowicz: leżą na rozdeptanym śniegu, objęci — mały, zgięty w pałąk Sonia i przywalający go, z wykręconą głową stary Misza Champo. O pięć kroków dalej leżał młotek.

18.

Wszystko ma swój koniec. Skończyła się też ta straszna noc, nastał poranek, i w dziennym świetle ogień opuścił się na dół i przycichł, ospale dojadając resztki. Ranek był ciepły i wilgotny, i piekący dym, nie podnosząc się, oblókł osadę i nie opuszczał jej. I na brzegu, i na lodzie czerniały i dymiły głownie, rozdeptane, brudne podwórza, wyraźnie obrysowane z dwóch stron szeroką i dymiącą smugą pożaru przedstawiało sobą obraz strasznej i skrajnej beznadziejności. I ocalały zieloniutki sklepik bynajmniej nie koił, lecz przeciwnie, wzmagał swoim wyróżniającym się wyglądem i gorycz, i ból, i oburzenie.

Pod wielką nową brezentową płachtą leżały pośrodku podwórza uratowane z pożaru towary. I pod brezentem leżeli nie rozłączeni do tej pory stary Misza Champo i Sonia. I tu i tam stała przy brezencie straż, nie dopuszczając nikogo i nie wdając się w rozmowy. Czekali na milicjanta i śledczego. Czekali na komisję — jedną, drugą, trzecią, którym teraz nie będzie końca... Czekali na własne kierownictwo i wysokie, przyjezdne. Z pierwszą godziną pracy wszędzie były wysłane telegramy. Nie zajmowano się żadną pracą, cicho było w bazie i na ulicach, i ani jeden dźwięk nie dochodził ze składnicy manipulacyjno-spedycyjnej. Czekali.

Czekali: co będzie dalej?

Iwan Pietrowicz, wróciwszy od pożaru, nie położył się. Rozpaliło się w piecu, kiedy przyszedł. Alona i pod bombami nie zapomniałaby zatroszczyć się o dom, i zaraz coś naprędce podała na stół. A potem gorzko zapłakała i upadła na łóżko.

Iwan Pietrowicz posiedział chwilę, nie dotykając jedzenia, potem obuł się, popatrzył przez okno, jak dym się niesie od brzegu, i wyszedł. Poszedł do Afoni, żeby zdążyć, zanim Afonia legnie spać. Ale Afonia też wcale nie zamierzał się kłaść. Górka przemywała mu i opatrywała czymś dwa głębokie, zaklejone krwią otarcia na czole i podbródku. Kiedy córka odejmowała rękę, popijał herbatę z dużego białego garnka.

Zapytał Iwan Pietrowicz:

— Co teraz będziemy robić, Afanasij? Wiesz, co teraz będziemy my robić, nie?

— Żyć będziemy — marszcząc się czy to od poruszonych ran, czy to od poruszonej duszy, powiedział Afonia. — Ciężka to sprawa, Iwanie Pietrowiczu, żyć na świecie, a jednak... a jednak trzeba żyć.

I także zapytał, łyknąwszy z garnka:

— A ty co zdecydowałeś?

— Będziemy żyć — jedynie przestawiwszy te same słowa w innej kolejności, odpowiedział Iwan Pietrowicz.

19.

Ziemia leżała w miękkim śniegu cicha, smutna i przyczajona, jakby i ją samą dotknęło nocne nieszczęście. Od góry spełzała płasko w dół nagim polem i za rzadkimi sosenkami przechodziła w lód. Na górze rósł las, z lasu wysuwały się na pole dwie ciemne postacie, las czerniał także w przodzie, dokąd szedł z osady Iwan Pietrowicz, ale już zupełnie rzadki, a za nim zaczynał się zalew. Na styku z pierwszą postacią, przyciskając ją do drogi, rozciągał się cmentarz, któremu będą na dniach oddawać człowieka z Jegorowki, który już odcierpiał swoje i nieznanego nieboraka, który stracił imię. Oni, żywi, zarządzą, gdzie kogo pochować, ale to jej, ziemi, decydować, jej noszącej i prawych, i grzesznych, swoich i obcych, we własnych żarnach rozsądzić, co i z kogo będzie potem.

Tak cicho było naokoło — jak w osadniku, w którym kumuluje się zdolność do nowych procesów. Nie docierał tu dym z osady i w dziennym spokojnym świetle widać było daleko i czysto. Ociężałe, o nieświeżej bieli niebo, takież samo, jak podtajałe pod nim pole, wydłużoną pochyłością odchodziło za Angarę, gdzie zachodzi słońce. I tam ciemniał las, też przerzedzony.

Ale już wyciągały się w odzewie, poddając się pierwszym ciepłym promieniom, sosenki na brzegu i nagrzewało się powietrze, już grząski śnieg zapadał się pod nogami i rozmiękały rozległe ręczne przestrzenie. Wiosna odnalazła i tę ziemię — i ziemia się budziła. Przyjdzie jej teraz odliczać, co ocalało i co obumarło, co dzięki ludziom przybyło, i co ubyło, zbierać to, co ocalało i nie obumarło i przygotowywać do wyjścia. Rozgrzeje się słonko — i znowu, jak każdej wiosny, wywiedzie swoje gospodarstwo w zieleni i kwiatach i przedstawi gotowe do nowej umowy. I nie wspomni, że umowy tej nie dotrzymuje człowiek.

Każda ziemia ma swój rodowód.

Iwan Pietrowicz długo szedł, oddalając się od osady, i, jak mu się zdawało, od siebie, coraz głębiej i dalej wtłaczając się, wstępując w zdobytą tak samotność. I nie dlatego tylko odczuwał to jako samotność, że nie było obok niego żadnego człowieka, ale i dlatego, że i w sobie czuł pustkę i znużenie. Czy to było przyzwolenie, czy zmęczenie, krótkie oczarowanie czy zaczynające się twardnienie — kto wie! — lecz szło mu się lekko, równo i swobodnie, jakby nagle odnalazł i krok swój, i oddech, jakby w końcu coś go wyprowadziło na właściwą drogę. Czuł smolny zapach, lecz to nie człowiek w nim go odbierał, lecz coś innego, coś, co się zlało w jedno z tym smolnym powiewem; dzięcioł stukał w suchy pień, ale to nie dzięcioł stukał, lecz pośpiesznie i wdzięcznie odpowiadało na coś serce. Z dalekiej dali widział siebie: oto idzie po wiosennej ziemi maleńki błądzący człowiek, który stracił już nadzieję, że odnajdzie swój dom, i oto zajdzie zaraz za lasek i skryje się na zawsze.

Milczy, albo witając, albo żegnając go, ziemia.

KONIEC

Przekład:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Kot Pafnucy

Najpierw się zdenerwowałem. Przeczytałem uroczą książkę Stanisława Głąbińskiego pt „PAP w herbie" i na końcu znalazłem rozdział poświęcony psom, a szczególnie jamnikowi Tapciowi, który wraz z autorem przewędrował pół świata. Stał się nawet przedmiotem ataku „czerwonej gwardii" w Chinach w czasach rewolucji kulturalnej". Ludzie lubią psy — i to jest w porządku — ale dlaczego wynoszą je pod niebiosa kosztem innych czworonogów, na przykład kotów.

Później się uspokoiłem. Trzeba być tolerancyjnym. Jedni lubią psy, inni koty, inni świnki morskie, inni kanarki, a jeszcze inni złote rybki. No i bardzo dobrze. Winston Churchill miał ulubionego kota Kacpra, który należał do tego samego klubu, do którego należał były brytyjski premier. Kot Feliks został kosmonautą, jak i słynna Łajka. Wystrzelono go we Francji w 1962 roku w rakiecie „Veronique". Również w ZSRR badano reakcje kotów na nieważkość, powstała nawet na ten temat rozprawa naukowa. W Lancaster (Anglia) kotka Pussy zmusiła strażaków do pójścia za nią i uratowania sześcioletniego chłopca z płonącego domu. Lubili i mieli koty Isaac Newton i Ernest Hemingway. Kota w prezencie otrzymał od paryżan radziecki kosmonauta Jurij Gagarin. Starczy o kotach. Przekonałem chyba Czytelników, że koty nie wypadły sroce spod ogona i wszelkie mity o kotach są po prostu bzdurą.

A teraz będzie o Kocie Pafnucym. W wydanej niedawno książce Tadeusza Konwickiego „Nowy Świat i okolice" jest rozdział poświęcony Kotowi Iwanowi. Wypisz wymaluj jest to też portret Kota Pafnucego. Również i on zimą ma brzuch jakby posypany cynamonem. Chodzi oczywiście o kolor futra na brzuchu, a nie o zapach tego futra. Kot Pafnucy jest zresztą czystym kotem i nigdy — co się może wydać dziwnym, ale przysięgam, że jest prawdą — nie miał pcheł. Kot Pafnucy też niegdyś łapał wróble na balkonie, a dziś wróble całymi gromadami siadają na poręczy balkonu i drwią sobie z biednego staruszka, który ucieka chyłkiem do pokoju i pomrukuje smutno, wspominając widać niegdysiejsze boje z tymi przebrzydłymi ptakami. Bardzo też nie lubi, gdy na poręczy balkonu siadają gołębie. Niegdyś próbował — z powodzeniem zresztą — je spędzać. Teraz udaje, że nie dostrzega tych ptaków.

Kot Pafnucy ma już prawie 14 lat, co dla kota jest wiekiem poważnym i w pełni zasłużył sobie na emeryturę. Ale Kot Pafnucy wcale nie chce emerytury, on nadal rządzi w naszym mieszkaniu. On tu jest pierwszy, my jesteśmy następni i dla niego.

Przed prawie czternastu laty zachciało się nam kota. Wybraliśmy się na Olechów i zaczęliśmy szukać murzynka. Kot Pafnucy miał być czarny jak noc. Umówiliśmy się z pewnym panem, który kazał nam przyjechać za trzy dni i miał na nas czekać, czarny jak noc, kot. Ale czekał szaroniebieski chudzielec, przerażająco ryczący i drapiący. Tego jesiennego dnia lało niemiłosiernie, grzmiało i była straszna wichura. Dopiero później zrozumieliśmy, że to Dobra Bozia, która wie wszystko i widzi przyszłość, dawała nam znaki, żeby nie jechać na Olechów i nie brać kota, bo będzie to nasz najnieszczęśliwszy dzień. Ale myśmy tych znaków nie rozumieli. Nie było to dawać je bardziej wyraźnie?

Kot Pafnucy ryczał w autobusie, ryczał w taksówce, wreszcie wylądował na Czerwonym Rynku i bardzo mu się spodobało nasze mieszkanie. Bystro rozejrzał się po kuchni i wiedziony tajemnym kocim instynktem podszedł do lodówki i przeraźliwie zamiauczał.

— On jest głodny — domyśliła się moja lepsza połowa i dodała zrezygnowana: — Może to i lepiej, że on nie jest czarny. Trzeba go dobrze odkarmić, bo chudy jest przeraźliwie.

Odkarmiliśmy kota. Wśród ludzi krąży przekonanie, że koty lubią mleko. Kot Pafnucy mleka nie znosi, je czasami tylko masło. Henio M., który niekiedy opiekuje się Kotem Pafnucym, gdy oboje wyjeżdżamy, próbował nauczyć go jeść zupę, ale była to próba ze wszech miar nieudana. Regularnie czytałem Kotu Pafnucemu wszystkie komunikaty, przemówienia, oświadczenia, prognozy, wyjaśnienia oraz sam wygłosiłem kilka referatów o naszej trudnej sytuacji gospodarczej. Kot Pafnucy patrzył na mnie wielkimi zielonymi oczami i mruczał jakby ze zrozumieniem. Później prowadził z radośnie zadartym ogonem do lodówki, jakby dając mi do zrozumienia, że piękne to wszystko było, ale on jest... drapieżnikiem. I z ryb oraz mięsa nie zrezygnuje. Żre bydle moje mięso, które dostaję na kartki, a ja muszę powoli stawać się... jaroszem. Wiem, wiem, grzmiało, huczało, lało i wiało, mogłem nie jechać na Olechów po kota, byłbym usprawiedliwiony kataklizmem. Stało się!

Czasem mam wrażenie, że Kot Pafnucy zeczłowieczał. Przebywa stale z nami. Nie lubi, gdy czuć od nas jakiś koniak, wino, a nawet piwo. Nie lubi, gdy długo śpimy. Z kocią przebiegłością zrozumiał, co dla mnie ma wartość. Gdy — jego zdaniem — zbyt długo śpię, a może do takiego wniosku dojść na przykład o godzinie piątej rano, wtedy zaczyna drzeć papiery. I wie bestia, co ma drzeć. W ostatniej chwili uratowałem kiedyś wieczorem napisany felieton. Rwie nie doczytane gazety, próbował dobierać się do książek, ale dostał po grzbiecie i jakby zaprzestał. Gdy więc obudzony szelestem rwanego papieru wstaję, kot Pafnucy z dumnie zadartym ogonem idzie do drzwi łazienki, gdyż wie już z wieloletniej praktyki, że najpierw tam skieruję swe kroki. W łazience kładzie się niczym pies u drzwi i cierpliwie czeka. Później idzie z tak samo dumnie podniesionym ogonem do kuchni i staje przed lodówką. A gdy ma już nałożone na spodeczek, trzeba go jeszcze delikatnie poklepać po zadzie i... można wracać do łóżka.

Kot Pafnucy lubi gości. Szczególnie tych, którzy boją się kotów lub nie lubią kotów. Mirek K. ma psa Pikusia i boi się kotów. Często widzę przez okno, jak Pikuś z uwiązanym na końcu długiej smyczy Mirkiem K. biega po osiedlu, targając Mirkiem niczym wiatr chorągwią. Nie próbuję go wszakże przekonywać o wyższości kota nad psem. A Kot Pafnucy, ilekroć Mirek K. przyjdzie do mnie, próbuje go czymś zaskoczyć. Że też się chce robić takie sztuczki staruszkowi. Skacze na przykład niespodziewanie przez nogę Mirka, a ten podskakuje ze strachu.

Uwielbia Kot Pafnucy wszelkich rzemieślników, którzy przychodzą coś zreperować i przynoszą z sobą przepastne torby pełne narzędzi. Kot Pafnucy obwąchuje takie torby, a następnie próbuje wleźć do środka, aby wszystko dokładnie zbadać. Czasem mu to się udaje ku niezadowoleniu panów rzemieślników.

Godzinami może też przysłuchiwać się rozmowom i dyskusjom. Patrzy wielkimi zielonymi oczyma i mruczy. Chwilami mam wrażenie, że wszystko doskonale rozumie i chętnie wyraziłby nam swoje zdanie, gdyby mu się tylko chciało. Ale mu się nie chce. I może ma rację?

Psów się nie boi. Gdy znajomi przychodzą z psami, chodzi dumnie po mieszkaniu, dając do zrozumienia intruzom, że on tu jest panem, a oni mogą najwyżej cicho siedzieć w kącie, bo on im na to pozwala. Nie znosi żadnych poufałości. Raz tylko pozwolił się z sobą pobawić małemu psiakowi podobnemu trochę do pekińczyka. Ale bawił się tak, jak dorosły z dzieckiem.

Teraz siedzi na tapczanie i patrzy na mnie. Czy wie, że o nim piszę?

ZENON POROWATY

1
Rozmawiać też trzeba umieć

Od dłuższego czasu przysłuchuję się rozmowom. Jest to — zapewniam — bardzo interesujące zajęcie. Na przykład rozmowa w telewizji dwu osób. Jedna pyta, druga odpowiada. Wydawałoby się, że ta, której zadaniem jest pytać, chce się czegoś dowiedzieć od tej drugiej. Ale to tylko złudzenie. Ta, która powinna pytać, daje wszystkim do zrozumienia, że zna już odpowiedzi, a rozmowa jest jedynie tylko pretekstem do tego, aby te odpowiedzi wygłosić.

Karel Čapek napisał niegdyś: „Mówienie w imieniu wszystkich jest bardzo zabawne, ponieważ daje mówcy odwagę wypowiadania sądów, które wstydziłby się lub wahał przedstawiać jako swoją własną opinię". Z niektórymi „wywiadowcami telewizyjnymi" dzieje się coś podobnego. Gdyby postawić ich przed kamerą i kazać mówić na określony temat, być może „zapomnieliby języka w gębie" i dukaliby coś strasznie się jąkając. Ale gdy stają obok kogoś innego, kto ma firmować ich sądy i opinie, stają się strasznie wymowni. Zadają pytania i, nie czekając na odpowiedź, prezentują własną w imieniu swego rozmówcy. Pytają siebie i sami odpowiadają. Bardzo to zły wzór telewizyjnej i radiowej — bo zdarza się to też i w radiu — rozmowy.

Johann Wolfgang Goethe nie znał wprawdzie telewizji, być może nawet nie przeczuwał, że coś takiego powstanie, ale znał ludzi i na podstawie tej znajomości doszedł do wniosku, że „każdemu się wydaje, że ponieważ umie mówić, może rozprawiać o języku". Dziś być może myśl tę ująłby inaczej: każdemu się wydaje, że ponieważ umie mówić, może rozprawiać o wszystkim. I rozprawia.

Gdy czytam protokoły rozmów dyplomatycznych, ważnych rokowań, a nawet rozmów nie tak bardzo decydujących o losach świata, to uderza w nich wielka precyzja sformułowań. Widać, że są one wynikiem długich przygotowań, rozważań i rozmyślań. W takich rozmowach liczy się każde sformułowanie, każda myśl. Czasem słowa mają na celu ukrycie myśli. Czyta się takie teksty z wielką przyjemnością. Myślę, że podobnie słucha się tak formułowanych zdań.

Również w literaturze niektórzy autorzy troszczą się o to, aby dialog był piękny, płynny, komunikatywny, aby czytało się go z przyjemnością. A w życiu?

Gdy przysłuchuję się niektórym dyskusjom, to niekiedy dochodzę do smutnego wniosku, że czysta to strata czasu, że to, co się właśnie rozgrywa nie ma na celu wypracowania wspólnego stanowiska we wspólnej sprawie, ale dzieje się tylko dla czystej formalności, aby w sprawozdaniu można było coś napisać. Najczęściej, że się odbyło. Ludzie mówią nie na temat, aby tylko zamanifestować swoją obecność, rozwlekle, fatalnie, bez troski o myśl i słowa. Widać nic to nowego, bo już Aleksander Świętochowski — który zmarł w 1938 roku — zauważył był, że „gdy człowiek rozumny zacznie mówić jakieś zdanie, nie domyślamy się, jak je skończy. Gdy zacznie głupi — wiemy na pewno".

Wielu mówców nim wejdzie na mównicę i otworzy usta, już słuchacze wiedzą, czego się można po nich spodziewać. Dzieje się być może tak dlatego, jak to zauważył Tadeusz Kotarbiński, że „łatwo jest umieć mówić, kiedy się ma coś do powiedzenia, lecz trudno mieć coś do powiedzenia, kiedy trzeba mówić". Otóż niektórzy uważają, że trzeba mówić nawet wówczas, gdy się nie ma nic do powiedzenia. Czyż nie lepiej się wtedy przyznać, że w danej sprawie, chwili nie ma się nic do powiedzenia. Albo stwierdzić, że spotkanie zostało źle przygotowane, celu nie określono, ludzie się do tego nie przygotowali. Stracono tylko czas.

Weźmy przykład rozmów przy stole. Wydawałoby się, że spotyka się tam kilka osób, które mają sobie wzajemnie coś do powiedzenia. Taka wymiana myśli i doświadczeń przy stole, skromnie nawet zastawionym, może być dopełnieniem duchowym uczty cielesnej. Ale to tylko złudzenie. Często okazuje się, że przy stole spotykają się ludzie, którzy przede wszystkim nie mają sobie nic do powiedzenia. Mówią, aby popisać się przed sobą, aby zaspokoić własną potrzebę mówienia. Nie słuchają innych, przerywają, nie dopuszczają ich do głosu. Tworzy się harmider, gwar, z którego nic nie wynika. Lepiej już jeść w milczeniu. Ale milczeć też trzeba umieć. Człowiek po takim spotkaniu wychodzi zmęczony i z przyjemnością chłonie ciszę miejskiej nocy.

Takim biesiadnikom warto zadedykować myśl Tadeusza Kotarbińskiego: „Nie powinieneś się mądrzyć, jeżeli nie chcesz się wygłupić". Ale czy to na coś się przyda. Czy wezmą tę myśl do siebie?

Umieć rozmawiać, to przede wszystkim umieć słuchać. Uczmy się tej trudnej sztuki, aby rozmowa była przyjemnością, a nie męczarnią.

LUCJAN BOGUSZ

2
Opowieści wschodnie

Upojna noc...

Polacy świętują Nowy Rok już przed jego nadejściem: moi przyjaciele zaprosili mnie na kolację z tańcami w wieczór poprzedzający Nowy Rok. Nie poznałem ich mieszkania — największy pokój był pozbawiony mebli i dywanu, jedynie pod ścianą stał stół z tzw. zimnym bufetem. Panie były w wydekoltowanych sukniach wieczorowych, panowie w uroczystych garniturach, niektórzy nawet w smokingach. Zdałem sobie sprawę, że zapewne wszyscy pójdziemy na jakiś bal i zrobiło mi się głupio w moim popielatym ubranku.

Tymczasem wszyscy ochoczo zajęli się trunkami, dość pogardliwie traktując zakąski — zupełnie inaczej niż w czasie świąt! Wkrótce jednak sprawa się wyjaśniła: operowanie widelcem, talerzykiem i kieliszkiem było na tyle skomplikowane, że większość zebranych darowało sobie ten kłopot, zajmując się tylko kieliszkiem, jako sprzętem najmniej ambarasującym. Do czasu zresztą, tj. do momentu, gdy jeden z biesiadników przełamał smutę milczenia:

— Dajcie do cholery krzesła, wystawimy ten stół na środek i zjemy jak ludzie. O! Już mam sałatkę na klapie marynarki!

Tak się też wkrótce stało i stół — mimo protestów niektórych pań (cudzoziemca zaprosili, a nie mogą zachowywać się światowo!) — powędrował na należne mu miejsce. Atmosfera korzystnie się odmieniła — wszyscy poczuli się swojsko i normalnie. Jedli, gęsto wznosząc toasty. Mimo iż z magnetofonu stale sączyła się muzyka, nikt nie tańczył, a moje zaniepokojenie rosło: na pewno po kolacji pójdziemy na bal, a tu ten mój niemodny, popielaty garniturek. Zgroza.

Tymczasem niektórzy panowie pozdejmowali wizytowe marynarki i rozluźnili krawaty — zatem nigdzie nie idziemy! Odetchnąłem z ulgą...

Ale dlaczego nikt nie tańczy? Muzykę ciągle słychać... Sam nie tańczę, ale lubię, kiedy ludzie tańczą — są tak nieodparcie śmieszni. No, nareszcie! Jeden z panów — wprawdzie bez marynarki i krawata, ale za to w szarmanckim ukłonie poprosił damę i wycisnąwszy na jej dłoni pocałunek, jął nieszczęsną tarmosić bez składu i ładu, popychać, szarpać itp. Wzbudziło to ogólny aplauz, nikt natomiast nie stanął w obronie poniewieranej, a nawet ona sama sprawiała wrażenie głęboko uszczęśliwionej. Co kraj to obyczaj. Znam kraje Islamu, w których jednak żaden kulturalny mężczyzna nie odważyłby się na zademonstrowanie tak sadystycznego stosunku do kobiety, zwłaszcza publicznie.

Wówczas, ponieważ nikt jednak nie poszedł w ślady tancerza-sadysty, ktoś zaproponował oglądanie telewizji. Znów zaoponowały panie: — telewizja jest na co dzień, dziś Sylwester, należy tańczyć. Były jednak w mniejszości i gospodarz — rad nierad — włączył telewizję. Zanotowałem wówczas kolejną ciekawostkę obyczajową: wszyscy zerkali na ekran, ale tak naprawdę nikt nie oglądał programu, zajęty rozmową na najróżniejsze tematy, między innymi także na temat programu TV, ogólnie uznanego za nudny i nie zasługujący na emisję w tym szczególnym dniu.

Tak zeszło do północy. Goście ożywili się, panowie znów wciągnęli marynarki i podciągnęli krawaty. Z dwunastym uderzeniem zegara wszyscy radośnie rzucili się sobie w ramiona wymieniając gorące uściski, pocałunki zwane w Polsce „z dubeltówki", życzenia zdrowia i szczęścia. Wszyscy! Z jednym wyjątkiem: biesiadnik w średnim wieku zasnął słodko w fotelu...

Po północy atmosfera rozluźniła się — do tańca ruszyli niemal wszyscy, szampan zniknął, a tylko czysta wódka lała się strumieniem. Nabrałem przekonania, że w nowym roku wprowadza się w Polsce prohibicję — wielu biesiadników wlewało w siebie nieprawdopodobne ilości alkoholu, jakby pili ostatni raz w życiu...

Wypiłem z sympatycznymi współtowarzyszami zabawy tzw. bruderszafty. Podobało mi się coraz bardziej, choć niewiele pamiętam... Tylko tyle, że jedna z pań usiłowała zrobić striptiz, do czego — na szczęście! — nie doszło.

Obudziłem się w fotelu w moim mieszkaniu. Na głowie miałem papierową czapeczkę, cudzą marynarkę na grzbiecie, a mój tapczan zajmowała dama, która usiłowała się rozebrać. Z trudem wyekspediowałem ją do domu...

Nigdy w życiu nie połknąłem tyle aspiryny. I zupełnie nie rozumiem, skąd wzięły się u mnie balony, w ilości kilkunastu sztuk, zatknięte na kiju. Co mam z nimi robić?

BEN GRUNDIK

3
Schematy i rzeczywistość

Dawno temu pewien mój znajomy chciał się założyć, że po świętach ukażą się w prasie znamienne tytuły: „Święta, święta i już po świętach". Nie mógł jakoś znaleźć naiwnego, który chciałby zgodzić się na z góry przegraną. W tym roku również wszyscy musieli stwierdzić tę prawdę, że już minęły święta. W wolną sobotę (27 grudnia 1986 roku) Ziemowit Dziennicki prowadził „Radioranek" w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia też pod tym hasłem. Był to dziwny „Radioranek", gdyż miasto o tej porze spało, zmęczone świętami, mało kto słuchał radia. Mnie się to zdarzyło zupełnym przypadkiem. W zasadzie był to trzeci dzień świąt, jako że mało kto szedł tego dnia do pracy, a nazajutrz była niedziela. Czwarty dzień świąt. Po świętach więc już było, czy jeszcze trwały święta? Wszystko było zgodnie ze schematem, czy też rzeczywistość zadała kłam schematowi?

Inny jest też schemat, który nakazuje wierzyć w świąteczny spokój. Święta muszą być spokojne. Wszyscy pragniemy spokoju i pokoju. W poniedziałek (29 grudnia 1986 roku) „Dziennik Łódzki" zamieścił w środku pierwszej strony depeszę Polskiej Agencji Prasowej pod znamiennym tytułem: „Spokojne święta". I bardzo ładnie.

Mój przyjaciel Grzegorz G. przybiegł do mnie, cały w chichotach i przeprowadził ankietę.

— Jakie były święta? — zapytał.

— Spokojne — odpowiedziałem. — Śnieg sobie padał, ludzie odwiedzali się, pojadali, popijali. Nikt się niczym nie przejmował. Spokojnie było.

— Zgodnie z depeszą PAP.

— A co ma do tego PAP?

Wtedy Grzegorz G. rozłożył pierwszą stronę „Dziennika Łódzkiego".

— Czytaj! — powiedział.

Przeczytałem:

„Dwa śmiertelne wypadki. Pękające rury. Zima na drogach. Co się dzieje pod pierzyną?"

„Próba uprowadzenia irackiego samolotu. 62 osoby zabite".

„Wypadek kolejowy pod Częstochową".

„ZSRR. Katastrofa w kopalni węgla".

„Zmarł prof. J. Górski".

Odłożyłem gazetę. Rzeczywiście było spokojnie w Łodzi, w Polsce i na świecie. Dziękuję za taki spokój. Ale rozumiem depeszowca „Dziennika Łódzkiego" Jerzego Barskiego, który zmęczony świętami nie pomyślał. Wedle schematu święta mają być spokojne i taka depesza była, a że poza tym działo się coś zupełnie innego, to już inna sprawa. Rzeczywistość znów zadała kłam schematowi. Nie ma tragedii, ale myśleć trzeba nawet po świętach, a może tym bardziej po świętach...

W poświąteczny poniedziałek powiało nagle ciepłem, śnieg zamienił się w deszcz, ulicami zaczęła płynąć woda. Natychmiast stanęły tramwaje, tylko autobusy MPK jakoś starały się trzymać kursu. Studzienki zasypał śnieg, a teraz zatykała błotnista woda. Zalewała przejście przez ulicę, przystanki. Ludzie brodzili po kostki w wodzie, godzinami stali w strugach deszczu czekając na tramwaj. Postoje taksówek były oblężone. „Święta, święta i po świętach". Przez święta nikt nie pomyślał, że śnieg trzeba odgarniać, studzienki czyścić. Wprawdzie Dariusz Woszczalski pokazywał w DTV zaśnieżone łódzkie ulice, bardziej przypominające wiejskie trakty niż ulice dużego miasta. Ale święta mieliśmy spokojne, nikomu nie przyszło do głowy, że po czterech dniach świąt i padającego śniegu może nadejść gwałtowna odwilż.

W poniedziałkowych telewizyjnych „Wiadomościach" Andrzej Królikowski ostro przepytywał inżyniera województwa Andrzeja Sobierajskiego, ale ten bronił się słabo. Zarządzano, nakazywano, grożono sankcjami, ale nikt się tym nie przejął. Służby miejskie dały ze 150 mandatów, dały ostrzeżenia. Opornych powoła się przed kolegia. A poza tym nie ma sprzętu do walki ze śniegiem.

Wtorkowe gazety przeszły nad kolejnym przykładem nieudolności służb komunalnych Łodzi do porządku dziennego, nie podjęły tematu. Opublikowano depeszę PAP o obfitych opadach w Turcji i mrozach w Grecji, a także o tym, że wszędzie odwilż wszystkich zaskoczyła. Poniedziałkowy DTV pokazał zalany wodą Wrocław. W kupie raźniej. Wtorkowy „Express Ilustrowany" opublikował „Komunikat Inżyniera Województwa", w którym przypominano, kto ma jakie obowiązki i zapowiedziano, że niewywiązanie się z nich grozi represjami. Ale boję się, że nikt się tym nie przejął. Tylko „Życie Warszawy" nie ukrywało faktycznego stanu rzeczy i na pierwszej stronie odważnie donosiło: „Mróz źle, odwilż — jeszcze gorzej. Dozorcy i MPO znów zaskoczeni. Przechodnie w strugach wody i błota. Opóźnione pociągi i autobusy. Zaspy blokują 185 km dróg. Najbliższe dni mokre". Przynajmniej człowiekowi raźniej, że nie tylko jego szlag trafia i cholera bierze! Że ktoś też dostrzega rzeczywistość nie pasującą do schematów, że potrafi wytknąć bezmyślność i brak odpowiedzialności.

Na szczęście najbliższe święta mamy dopiero na Wielkanoc, 19 i 20 kwietnia 1987 roku. I wiosną nie powinno być śniegu. Byle do wiosny zatem!

WITOLD BOROWY

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(32)

Telewizja odniosła sukces — wykiarował sobie Eccels. — Rozmaite trikowe slajdy tak dalece zawładnęły naszym życiem duchowym, że nie tylko nie odróżniamy fikcji od faktów, ale bez zastrzeżeń przyjmujemy fikcję za fakty nawet wtedy, kiedy jej mechanizmy działania w sposób oczywisty naruszają porządek świata.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Elias wsiąknął. Już wkrótce, jako niebezpieczny komunistyczny agitator i szpieg będzie on ścigany we wszystkich stanach. Cedric Eccels, którego MacTea przeniesie do pracy papierkowej, pożegna się z Agencją i rozpocznie poszukiwania tego proroka na własną rękę.

Śmierć Eliasa była banalna i miała nikłe wartości dramatyczno-widowiskowe. Nie towarzyszyły jej ani trzęsienia ziemi, ani powodzie, ani też wybuchy wulkanów, więc na Vincencie Sherwoodzie nie wywarła ona większego wrażenia.

— Jeszcze jeden powód, żeby pakować dupę w troki i spływać stąd w podskokach — oświadczył. — Rozruchy na tle rasowym to nie moja dziedzina.

Już niebawem razem z Pat Partanem i ze swoim asystentem Sepem Diazem poleci on do stanu Nowy Jork, ponieważ południowo-wschodni brzeg jeziora Ontario na długości czterdziestu mil obsunie się do wody, pociągając za sobą miejscowość Oswego. W oparciu o zdobyte materiały filmowe Vincent Sherwood zrealizuje szósty odcinek „Kataklizmu miesiąca" — absolutnie rewelacyjny.

Doreen Thornhill i Jeremy Brown wiadomość o śmierci Eliasa przyjęli z mieszanymi uczuciami. Doreen wpadła w kwaśny humor i uderzając w sarkastyczny ton całe niezadowolenie wyładowała (z satysfakcją) na swoim koledze. Jeremy przeciwnie — mimo zakłopotania (ale doprawdy nieznacznego), był w humorze dziecięco beztroskim.

No, bo czyż nie jest to ingerencja Patrona Fantastów? Nic ich teraz nie nagli, mogą wracać do Dutson bez pośpiechu, robiąc częste przerwy w podróży i zwiedzając wszystkie te cudowne miejsca położone wzdłuż szosy numer jeden, od Coral Gables do Jacksonville. No, są te cyprysowe gaje, ptaszarnie, fermy węży, muzea, historyczne manufaktury, lunaparki, sklepy z pamiątkami... już nie mówiąc o Disney World tutaj, dosłownie pod nosem!... jest plaża Daytona, jest to jedyne w swoim rodzaju safari i... och, niech mnie diabli... przede wszystkim jest Centrum Lotów Kosmicznych na Cape Canaveral.

A co się tyczy Eliasa... Już wkrótce, po powrocie do Dutson, siedząc w „Klubie Prasy", przy kawie, dobrej whisky i z notatnikami na kolanach Doreen Thornhill i Jeremy Brown przygotują pasjonujący reportaż z ostatnich godzin jego życia.

Na wieść o śmierci Eliasa Brian B. Bliss zapytał obojętnie, z nutą sceptycyzmu:

— Naprawdę?

I zaczął myśleć o kupnie pensjonatu „Patriarchal".

Pensjonat ten — rozważał — ma nobliwy wygląd, dobrą lokalizację i przecież miejsce to w przyszłości stanie się Mekką dla czarnuchów. Wolnej przestrzeni jest tam trochę skąpo, ale w lesie dałoby się chyba ustawić małe, tanie chaty... Hej, to jest coś: wszędzie drewniane kładki przerzucone nad bagnem i cała wioska wzniesiona na palach, pośród drzew. Tamtą polanę można by ogrodzić wysokim płotem i raz w tygodniu urządzać na niej pokaz tego rytuału agni... agni-coś-tam-olbrzymie-ognisko.. w połączeniu z paleniem kukły Eliasa. Można by nawet zatrudnić na stałe paru aktorów...

Planów tych Brianowi nie uda się wprowadzić w życie. Już niebawem straci on wszystko. Pewne ograniczone, ale gwałtowne procesy geologiczne sprawią, że część terenów na południu Florydy przestanie nadawać się do zamieszkania i firma ThreeB's zbankrutuje.

Sierżant Chip Dennis zbyt był pijany, żeby skapować, o co chodzi temu rypańcowi, który z ekranu telewizora bajtlował o czyjejś śmierci.

— ...a prawdy, być może, nie poznamy nigdy — bajtlował rypaniec.

— No pew...ie — przyznał mu rację sierżant Dennis. Wyszedł z namiotu, stanął w chwiejnym rozkroku i odlał się na ziemię, na wszystkich rypańców... chromolonych... i na własną przeszłość. — Chyb-że dasz nuuura w ba...gno.

Już wkrótce sam to zrobi. Jego gazik po ostrym wejściu w zakręt wyleci z szosy, przekoziołkuje po skarpie i wpadnie do mokradła — w pobliżu miejsca, gdzie leżą zwłoki Iry Buell, i pogruchotany, uwięziony za kierownicą sierżant Dennis wessany zostanie w cieplawą, błotnistą głębię.

Z „EWANGELIARZA ELIASA"

Do sto sześćdziesiątej sekundy po godzinie „G" i...

5 kilometrów od punktu „0". Martwy Cat...

† Cat.

...z zakręconym zaworem wodociągu mózgu siedział oparty o metalowe butle po sprężonym powietrzu, a William Frankley oraz Gary leżeli brzuchami na betonowej posadzce hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istniał, paląc skręty i patrząc na serpentynki dymu i konfetti popiołu figlujące w rdzawych promieniach gasnącego brzasku, i wsłuchując się w coraz głębszą ciszę zakłócaną postękiwaniem ziemi stygnącej gdzieś na górze.

„Znowu palisz to świństwo, Bill, kochanie? — odezwała się Olie. — Hmmm? Myślałam, że dawno z tym skończyłeś".

„Wylew krwi do mózgu — wtrącił doktor Oughterson. — Będę z panem szczery, panie Frankley. Nie wiem, jak pańska żona, ale pan z tego nie wyjdzie".

— Nie wyjdziemy stąd nigdy — powiedział Frankley.

Gary parsknął tłumionym śmiechem.

— Dopiero byłby wściekły! — zauważył.

„Pamiętasz to opowiadanie w »Playboyu«? — odezwała się znowu Olie. — To o naszych potomkach w odległej — odległej — odległej — przyszłości? Mieli oni taką starą mapę, sporządzoną przez ich pra-pra-pra-przodków, przechowywaną jak relikwię. Najbardziej żyzne ziemie oznaczone na niej były kółkami noszącymi różne nazwy i ci nasi potomkowie według tych kółek zakładali plantacje, bo tam warzywa zawsze dawały obfite zbiory. Na plantacji Pittsburgh rosła fasola, na plantacji Filadelfia — sałata, na plantacji Waszyngton — pomidory, na plantacji Detroit — buraki, na plantacji Milwaukee — rzodkiewka, na plantacji Chicago — ogórki, na plantacji Nowy Jork — pietruszka...".

— Chciałbym, żeby tutaj, nad nami założyli plantację kapusty — rzekł Frankley.

— Lubię kapustę — zgodził się Gary.

W promieniu pięciu kilometrów od punktu „0" był on jedynym człowiekiem (wyjąwszy Williama Frankleya), który mógł to powiedzieć o sobie. Lub o kimkolwiek innym.

A także w promieniu jedenastu kilometrów od punktu „0".

11 kilometrów od punktu „0". Tutaj, w tym publicznym schronie (ciemnym, cichym i zadymionym) i poza jego murami (w ciemności, w ciszy i w dymie) też nie było nikogo, kto mógłby powiedzieć o sobie lub o kimkolwiek innym, że lubi kapustę.

No bo:

† Rebby Courgan

† Szkrabulek Courgan

† Ten sympatyczny i życzliwy młody człowiek

† Żona tego sympatycznego i życzliwego młodego człowieka

† Płód, którego głowa uwięziła między nogami żony tego sympatycznego i życzliwego młodego człowieka

† Personel pobliskiej sali porodowej

Oraz gdzieś tam:

† Michael Tomashek

† Ronnie

† Connie

† Itd.

Jednym słowem:

† Dziesiątki tysięcy mieszkańców tej dzielnicy z

Inaczej mówiąc:

† Wszyscy w tym publicznym schronie (ciemnym, cichym i zadymionym) i poza jego murami (w ciemności, w ciszy i w dymie)

A także:

† Wszyscy między jedenastym a siedemnastym kilometrem od punktu „0".

Nie, chwileczkę! Tam — wśród tych ruin, zgliszcz i tlących zwalisk, wśród iskier, żaru i płomieni, wśród brązowo-biało-żółto-czarnych kłębów dymu — tam się jeszcze coś rusza. I tam. O, i tam! I tam i tam, i tam!

Ale poza tym:

†

†

†

† Itd.

17 kilometrów od punktu „0". Adam, chłopcze, ocknij się!

Ocknij się, ty leniwy sukinsynu!

No i co? No i poskutkowało. A teraz, chłopcze, posłuchaj mnie uważnie: słońca wprawdzie nie widać i zapada mrok, ale do wieczora jeszcze daleko. Nie, nie zostałeś daltonistą. Wszystko dokoła istotnie ma barwę szaro-czarną. Wszystko, oprócz niektórych kłębów dymu i — oczywiście — ognia. Właśnie ten dym i ogień stanowią dla ciebie największe niebezpieczeństwo. W ciągu minuty rozszaleje się tu pożar, więc nie masz chwili do stracenia. Nie patrz na boki, nie zaglądaj do basenu. Te trupy fala uderzeniowa przywlokła z ulicy. Goście klubu „Enklawa przyrody", których chciałbyś odszukać...

† Linda Tossey

† Richard Copperman — cholerny wymoczek

† Derrick Danube

† Ta nadtopiona kobieta

† Pan Jarvis

† Pani Jarvis

† Sophy

† Te dwie nieznajome dziewczyny w jednakowych kostiumach i w słomkowych kapeluszach

† Bass

† Ezra

† Obie córki Cyrusa Folsoma

† Pani Klein

† Hal Hennesy — finansowy doradca pani Klein

† Tu możesz, chłopcze, umieścić nazwisko kogoś z pozostałych gości tego klubu

† — Jak wyżej

† — Jak wyżej

† — Jak wyżej

† Itd.

...obgotowani albo podpieczeni leżą trochę dalej.

Adam, chłopcze, widzisz to kopcące usypisko gruzu na wprost siebie, sto metrów stąd? Znajduje się tam garaż podziemny, zniszczony tylko w nieznacznym stopniu. Drugi od prawej stoi w nim biały Cadillac. Ma pełny bak paliwa, świetnie wyregulowany silnik i opony wzmocnione stalowymi taśmami. Jest gotów do jazdy, wystarczy przekręcić kluczyk tkwiący w stacyjce.

Adam, chłopcze, pośpiesz się!

26 kilometrów od punktu „0". Rozmarowany jak pasztet na grzance kapitan wojsk lądowych Norman McLorren...

† Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren

...leżał na ulicy, przykryty ważącym dwie i pół tony dachem, a wokół niego, wśród brązowo - biało - żółto - czarnych kłębów dymu, strzelających na nowo płomieni, rozpaczliwych nawoływań i oznak obłędu nadal ginęli ludzie...

† Ludzie

† Ludzie

† Ludzie

...na przykład tam. I tam. O, i tam! I tam i tam, i tam!

† Itd.

Byli to z reguły ci, których fala uderzeniowa śmiertelnie zraniwszy nie zdołała jednak dobić. Leżej ranni w popłochu biegli do samochodów, po drodze ratując wybiórczo dobytek — niekoniecznie własny, bo Współczesna Córa Dzeusa, Atomowa Tyche zasypała ich profuzją kosztownych drobiazgów, tak, że dzielnica ta mogła się teraz chlubić mianem Dzielnicy Rogu Obfitości.

Trzy przecznice od pasztetu à la McLorren pułkownik Dowd przytrzymując się ściany schronu podszedł do apteczki i wyjął z niej strzykawkę, igły i dwa opakowania ampułek z morfiną, po sześć sztuk w każdym.

Śmierć lekka i przyjemna, ale... Znów oblał się zimnym potem, krew odpłynęła mu z twarzy i poczuł zawrót głowy. Tępe ostrza bólu, jakby na próbę, jakby na razie badały to spalone ciało, nim zaczną je drążyć, musnęły go po czole, policzkach, szyi, piersi i dłoniach. O rany boskie, jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz; trzeba jeszcze sprawdzać urządzenia schronowe, trzeba Eddiemu wyjaśnić sytuację, poinstruować go, co ma robić w wypadku awarii i kiedy wolno mu będzie stąd wyjść...

Przykro mi, pułkowniku Dowd, ale pański wnuczek nie wyjdzie stąd nigdy. I nie jest to zależne od Wyższych Hierarchii Duchowych. Cuda są domeną ludzi. — Eddie, Bóg świadkiem, jak bardzo mi przykro z tego powodu, że muszę cię wkatrupić.

28 kilometrów od punktu „0". Gdyby nie ta stacja benzynowa, gdyby nie ta kałuża benzyny rozlanej przy dystrybutorze, może spaliłaby się tu tylko restauracja Howarda Johnsona, może tylko kafeteria, może tylko część hali handlowej, może tylko kiosk „Kentucky Fried Chicken", a może tylko firany i kotary w oknach motelu. Ponieważ jednak obsługujący dystrybutor mężczyzna zagapił się haniebnie i rozlał tę benzynę, spali się tutaj wszystko — nawet drzewa, nawet ogrodzenia, nawet barierki, nawet trawniki, nawet ziemia.

(Inna sprawa, że każdy ma prawo się zagapić, zwłaszcza jeśli niespodziewanie opodal niego wybuchnie bomba termojądrowa.)

Wszędzie wokół trwała tymczasem samorzutna ewakuacja. Przy akompaniamencie cichnących grzmotów, w brązowo-biało-żółto-czarnym dymie i w mroku, który to gęstniał, to rzedł nad powiększającym się rozlewiskiem płomieni — samochody umykały szosą w obu kierunkach, wyjąc na pierwszym biegu, ciągnąc za sobą grzywy ognia i trąc o asfalt kołami jak wirujące fajerwerki.

Wkrótce w tym miejscu pozostanie tylko Lucy...

† Lucy

...przyszpilona do maski swojego Chargera masywnym ułomkiem masztu telewizyjnej anteny oraz kilku innych pechowców...

† Jeden pechowiec

† Drugi pechowiec

† Trzeci pechowiec

† Itd.

...którzy albo już nie żyją (sztuk — 3), albo jeszcze żyją, leżąc na ziemi i wydając z siebie agonalne jęki, taktownie wstrzemięźliwe (sztuk — 2), albo też dopiero teraz żyją naprawdę, ewaluując tu i tam, niesłychanie podnieceni świadomością, że żywcem płoną (sztuk — 5, w tym jedna ma szansę wykaraskać się z tego).

Mnóstwo ludzi żywcem spłonie. Więcej niż zostanie żywcem pogrzebanych.

50 kilometrów od punktu „0". Grzmoty nad panią Leinster...

† Pani Leinster

...która znajdowała się nieledwie w tej samej odległości od punktu „0" co Lucy — już ucichły, ale nad pięcioletnim Powellem rozległy się one dopiero teraz, huczące i długotrwałe, napełniając jego serce radością i ochotą, bo utwierdziły go w przekonaniu, że faktycznie ma do czynienia z prawdziwą, najprawdziwszą bombą wodorową. No, jak są grzmoty, to był wybuch, a jak był wybuch, to jest ogień i mama na pewno się pali na sto milionów tysięcy fajerek — dumał brnąc przez śnieżycę białych i różowych płatków fruwających mu rzęsiście przed oczyma, maszerując po zwarzonej murawie pola golfowego i konsekwentnie kierując się w stronę szosy, na której przed upływem dwudziestu minut...

— Wysłuchaj mnie, Eliasie, proszę — odezwa się nagle znajomy głos. To interweniuje mój Duch Opiekuńczy. — Tego chłopca można ocalić.

— Ocalić go? — pytam z wahaniem. — Z mojego dzisiaj widzę, jak za mniej więcej siedemnaście minut wyjdzie on na szosę i wpadnie pod rozpędzony samochód, jeden z tych, co uciekają z miasta.

— Nie potrafimy przekraczać praw rządzących materią, Eliasie, niemniej możemy pokierować ludzkim postępowaniem. Mężczyzna, który prowadzi ten samochód, jest na pół oślepiony i pedał gazu naciska w przerażeniu. Ześlemy na niego spokój, zreflektujemy go, skłonimy, by ze swoim zięciem zamienił się miejscami... Zdążymy z tym na czas.

— To dobra wiadomość — mówię — i z pewnością ucieszy Sandrę. Ona chciałaby ocalić wszystkich moich bohaterów, wstawia się u mnie za każdym z nich. Przynajmniej to mogę dla niej zrobić.

— Tym bardziej, że będziesz musiał poświęcić Florence.

— Poświęcić Florence?

— Ona niebawem umrze.

— Jak to...? Dlaczego?

— Stojąc tam, w odkrytym terenie, na wprost kuli ognistej, była prawie naga. Gdyby miała na sobie bodaj cienką sukienkę, gdyby bodaj przykucnęła... Zbyt dotkliwe, zbyt rozległe odniosła oparzenia, by utrzymać się przy życiu.

— Czy pan to słyszy, panie Leinster? — pytam duszy pana Leinstera nadal podążającej za Świetlistą Postacią, podczas gdy jego harcerskie zwłoki...

† Harcerskie zwłoki pana Leinstera

...leżą Bruegelowsko rozwalone na dnie koryta wyschniętego strumienia. — Pańska córka niedługo przybędzie tam do pana. Niech pan w tych pierwszych, trudnych dla niej chwilach roztoczy nad nią ojcowską opiekę.

C D N.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".